



TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

---

## Słowa cienkie i grube

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

## Słowa cienkie i grube

### SŁOWA CIENKIE I GRUBE

Po którymś moim niedzielnym felietonie pewien znajomy, spotkawszy mnie, zapytał: „Czy bardzo panu nawymyślano? — Nie bardzo, odrzekłem; ot, wszystkiego jedno pismo zaczęło mnie i to dosyć miękko. — Cóż panu napisali? — Że powinno się mnie postawić pod przęgierzem... — To pan nazywa miękko? No, to pan jest wymagający”...

Wzdrygnąłem się, jakbym na nowo usłyszał. Prawda! Ależ to jest najcięższa zniewaga, jaką można komuś powiedzieć. *Pręgierz*, pod którym stawiało się złoczyńców i nierządnice... W istocie, to nie jest tak „miękko”...

I zadumałem się nad straszliwym zużyciem słów w epoce, w której żyjemy. To zaczyna być niebezpieczne: niedługo nie będzie sposobu człowieka zwymyślać ani obrazić w druku; zatracą się wszelka wrażliwość na obelgi. O ileż roztropniej postępowano w tym dawniej, zaczynając bardzo oględnie, aby sobie zostawić całą drabinkę zniewagi. I jak ludzie rozumieli te odcienie! Na proste: „pan X. mija się z prawdą”, już pan X. nadstawiał ucha; gdy ktoś dodał: „pan X. mniej lub więcej świadomie mija się z prawdą”, pan X. marszczył brwi; a kiedy ktoś napisał: „pan X. nie bez udziału świadomości skłonny jest mijać się z prawdą”, pan X. posyłał sekundantów. Im obraza była subtelniejsza, im bardziej zawinięta w bibułki, tym była dotkliwsza, tym bardziej drażniąca swą dżentelmeńską ironią. A teraz co? Pisz się: „Pan X. łże jak pies”. Pan X. czyta to przy śniadaniu i śmieje się. Co gorsza, nawet pies nie czuje się obrażony.

Stanęliśmy u kresu. Stała wyczerpana. Powie kto: „łże jak tysiąc psów, jak sto milionów psów” etc., to już jest tylko proste zjawisko inflacji psów bez pokrycia. Doszliśmy do granic, w których zwykły słownik nie wystarcza, w których trzeba sięgać do archaizmów, do folkloru, trzeba improwizować, tworzyć rzeczowniki, czasowniki, zaskakiwać niespodzianką połączeń, wtedy można nareszcie mieć nadzieję, że ktoś usłyszy. Wyzwisko musi być obrazowe, niesłychane, trzeba nim umieć żonglować, podbijać je jak wolant<sup>1</sup>. Słowem, wymyślanie — aby je ktoś zauważył — musi być twórcze; dziś, aby kogoś zwymyślać, trzeba być artystą słowa. Ciężkie słowo musi frapować, musi bawić, elektryzować; ten kto je tworzy, musi je tworzyć w radości, w upojeniu. Inaczej nic nie osiągniecie; wazszych „pręgierzów” nikt nawet nie zauważy. Banalność nic dziś nie wskóra. I ta konieczność *uartystycznienia* zniewagi, to jest jedyny pocieszający objaw towarzyszący jej dewaluacji.

Może to jest mój narów myślenia, ale kiedy słyszę wyzwiska, oceniam je przede wszystkim miarą — literacką. Interesują mnie jako dokument twórczości polskiego języka. I kiedy, niedawno temu, po pewnym historycznym orędziu, wszyscy dokoła pytali z niepokojem „co na to powie Europa”, mnie daleko bardziej interesowało, co o tym mówi — Linde.

Biorę czcigodny tom słownika Lindego, tej arki polskiego słowa, dzieło, do którego zawsze zaglądam ze zmysłową przyjemnością. Szukam (traktuję rzecz naukowo, więc będę mówił tu z całą prostotą) szukam więc bezokolicznika *fajdać*. Znajduję: „*fajdać*, obacz *fejdać*”... Skrzywiłem się. Bardzo nie lubię w słowniku i encyklopedii znaku „patrz” albo „obacz”. Kiedy się uczyłem francuskiego, miałem stary słownik francusko-polski. Szukam raz słowa „*stad*”, znajduję „obacz *ztąd*”; zaglądam pod „*ztąd*”, znajduję „obacz *stad*”...

<sup>1</sup>wolant (daw.) — tu: korkowa piłeczka z piórkami, lotka, używana w grze w wolanta, przeznaczona do odbijania raketkami ponad siatką. [przypis edytorski]

Słowo, Obyczaj

Pies

Z pewnością (myślę) pod *fejdać* będzie „obacz *fajdać*”, i tyle. Ale nie, jest. Jest etymologia i znaczenie, i przykłady. Ach, przykłady:

Anielskie tam mieszkanie, gdzie nie jadają, ani fejdają...  
Nie pomogą rajce, kiedy się fejdać zachce...  
By był wilk nie fejdał, już by był dawno za górą...

Cudowne! Daruję wam pierwsze dwa aforyzmy, ale ten ostatni, o wilku, jest niesłychany, wspaniały, na wysokości najwyższych rzutów geniuszu, przewyższa owo molierowskie „*qu'allait il faire dans cette galère*”<sup>2</sup>. Cóż za skrót, coś za filozofia, coś za przedziwna satyra na owo jałowe „gdybanie”, na owo bezcelowe grzebanie się w niepodobieństwach. Gdyby nie był..., byłby za górą, oczywiście, ale ponieważ wiadomo jest, że nie może nie... A może to jeszcze inaczej rozumieć: jako kontrast między znikomą czynnością a ogromem góry do przebycia? Tak czy owak, trudno większą sumę mądrości zamknąć w dziesięciu wyrazach.

I oto mały przykład, ile my tracimy przez naszą pruderię, jakich się skarbów pozbawiamy. Bo tak już jest, że najtęższa mądrość ludu kryje się właśnie w tych odrobinę sprośnych, „niecenzuralnych” porzekadłach. Jędrna i zdrowa myśl okazuje do nich szczególną, niepojętą predylekcję. Kiedyś już notowałem z żalem, że wielka *Księga przysłów polskich* Adalberga<sup>3</sup>, mimo że przeznaczona dla badaczy, a nie dla popularnego użytku, przez pruderię wytrzebiona jest z tych najlepszych, najsoczystszych maksym. Pierwszym zadaniem przyszłej *Akademii literatury* powinno być wydać właśnie te brakujące w Adalbergu przysłowia wygnane niebacznie z sanktuariów języka.

I zadumałem się, na czym polega istota grubych słów, ich tonizujące działanie? Jest w tym jakaś tajemnica mowy i myśli ludzkiej. Bo że ta mistyka — nie waham się jej nazwać mistyką — istnieje, nie ulega wątpliwości. Żył w XVI wieku pisarz nazwiskiem Rabelais<sup>4</sup>, pisarz, którego sam wzniosły i katolicki Chateaubriand<sup>5</sup> nie waha się ze czcią nazwać „ojcem literatury francuskiej”. Otóż, dzieło Rabelais’go — cud mądrości i geniuszu! — jest po prostu tak zapaskudzone grubymi i sprośnymi słowami, w takim nadmiarze i w tak monstrualnych kombinacjach, że człowiek delikatny, nie mówiąc już o kobiecie, nie może pism tego autora wziąć do ręki. Zaczęto tedy mówić tak: mamy genialnego pisarza, mamy arcydzieło rozumu i dowcipu, ale zanieczyszczone. Cóż prostszego, jak oczyścić je z tych szpetnych narośli? Zostawić to, co mądre, wyciąć to, co plugawe, i dać narodowi francuskiemu, francuskiej młodzieży, czystego Rabelais’go. I o dziwo, kiedy spróbowano dokonać tej operacji, okazało się, że w tym oczyszczonym wydaniu Rabelais przestał być mądry, przestał być zabawny, nie zostało z niego nic. Grube słowa — jak się okazało — nie były naroślą, ale były jakimś chemicznym połączeniem, mistycznym naczyniem myśli. Można Rabelais’go nie czytać, ale nie da się go oczyszczać.

Kiedy dalej rozmyślałem nad tą mistyką, doznałem naraz olśnienia. Miałem wrażenie, że zrozumiałem. Uderzyła mnie pewna ekonomia natury, znanej zresztą ze swoich groszowych, można rzec, i brudnych oszczędności. Zważmy. Wydychamy z płuc zepsute powietrze. Wydychać je musimy, pod grozą zatrucia. Otóż, to zepsute powietrze zużywa natura dodatkowo, mimochodem, do wydawania głosu, przepuszczając je przez naszą krtani. To jest tak, jakby na przykład siłą popędową wody spływającej ze zlewów dmuchać w wielkie organy w filharmonii. Oszczędność, niewątpliwie; ale jest coś niesamowitego w tym, że najcudniejsza pieśń, najpodniosłejsze słowo, wszystko to pędzone jest przez naszą krtani zepsutym powietrzem. Czyż wobec tego można się dziwić, że mowa ludzka bywa nieschludna? Raczej powinniśmy się dziwić, że nie same plugastwa z ust naszych wychodzą! I czyż dziw, że kiedy mowa ludzka chce być absolutnie, nieziemsko czysta, wówczas tak często trąci hipokryzją?

<sup>2</sup>*qu'allait il faire dans cette galère* (fr.) — coś miałby robić na tej galerze; słynny cytat z *Szelmostw Skapena* Moliere. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*Adalberg, Samuel* (1868–1939) — historyk, paremiolog, tj. badacz przysłów. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*Rabelais, François* (ok. 1484–1553) — fr. pisarz, lekarz i mnich, autor powieści *Gargantua i Pantarguel*. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*Chateaubriand de, François-René* (1768–1848) — fr. pisarz i polityk, autor m.in. powieści poetyckiej *René* oraz opowiadania *Atala*, czyli *Miłość dwojga dzikich na pustyni*. [przypis edytorski]

Iluż zresztą myślicieli zastanawiało się przede mną nad tymi tajemniczymi zaiste sprawami; iluż ich dziwiło się osobliwym kombinacjom przyrody, łączącym w jednym organie funkcje nieraz tak bardzo rozbieżne! Miłość, sama miłość, ten najwyższy podobno cel przyrody! Czyż nie mogłaby przyroda sprawić nam na nią (pytano z żalem) osobnego kompletu? To już praktyczność za daleko posunięta; coś jak karabin, który by służył i za lewatywę. Czemu to wieczne połączenie anielstwa z paskudztwem, wzniosłości z przyziemnością? Czy nie tu trzeba szukać najgłębszego źródła wybryków naszej mowy? I tak ze wszystkim. Wracając do narządów mowy, czyż jest jeden jej organ pomocniczy, który by nie służył do innego celu? Jak nie ma być sprzeczności, jak nie ma być obłudy? Kaznodzieja prawiący o wstrzemięźliwości, raz po raz, mówiąc, trąca o podniebienie językiem, który jest narządem smaku; prawiąc o czystości, wypuszcza słowa przez wargi, stworzone zarazem do picia, do gwizdania i do pocałunku. Oszczędność. Nieczyści jesteśmy i nieczyści pozostaniemy; tak orzekła ironiczna natura...

## JADWIGA

Przyszedł do mnie nieznamy starszy pan i zwierzył mi się, że napisał sztukę teatralną. Pierwszą, jedyną w życiu. Jest lekarzem, ma lat sześćdziesiąt kilka, wycofał się już po trosze ze wszystkiego. — Pojmuje pan (mówi mi), nie zależy mi na „sławie”, ani na pieniądzach. Ja już myślę tylko o tym, aby się przygotowywać powoli do ostatniej podróży... Ot, przyniosłem to panu, może się to komu na co przyda. Niech pan przeczyta.

Zwykle wymawiam się mniej lub więcej grzecznie od takich ofert, ale tym razem zaciekawili mnie utwór starego lekarza. Może przeczuwałem, że znajdę tam coś więcej niż złą literaturę? Przeczytałem. Sztuka jak sztuka; można powiedzieć, bez obrazy szanownego autora, że „jako taka” niewiele jest warta. Ale zainteresowała mnie przez swój stosunek do pewnych form życia.

Bohaterką jest niejaka pani Jadwiga, „bardzo ładna, szczupła i zgrabna, ma lat 37 a wygląda na 30”, objaśnia tekst. Pani Jadwiga ma męża, schorowanego i zbankrutowanego; nie kocha go, ale „przeżywszy z nim tyle czasu w bogactwie, nie może go opuścić teraz, gdy znalazł się niemal w nędzy”. Pracuje sama, jest agentką ubezpieczeń. Ale widocznie nie przynosi to dosyć; przy tym pani Jadwiga ma młodszą córkę, zięcia na dorobku, przywykła może sama do estetyki życiowej, więc... ma kochanka, bogatego starszego pana, którego też nie kocha, ale którego lubi i szanuje, który pomaga jej finansowo, z czego zresztą pani Jadwiga korzysta umiarkowanie, sama kładąc tamę wybuchom jego hojności. Ten starszy pan ubóstwia panią Jadwigę, ciągle proponuje jej rozwód i małżeństwo, jest najczulszym przyjacielem całego jej domu.

Interesująca ta osoba kocha potajemnie kogoś trzeciego; młodego lekarza Jana: ale nie widząc wzajemności, a ceniąc go wysoko, chce go dać za męża córce, która się w nim durzy od dziecka. Nie wiedziała pani Jadwiga, że Jan, pod maską udanej oziębłości, też kocha ją, Jadwigę, od dawna. Ale Jan ma swoją tajemnicę; miał syfilis, wyrafinowana uczciwość każe mu nie tylko stronić od kobiet, ale w ogóle unikać ludzi. Jest — trochę z dala — najoddańszym przyjacielem pani Jadwigi. Aby poznać dokładnie metody leczenia własnej choroby, Jan został wenerologiem.

Córka Jadwigi, zrażona obojętnością Jana, wyszła za mąż za innego; dla Jana zachowała zawsze odcień niewygasłego sentymentu. Młody lekarz wyleczył się, ale ponieważ jedynie wtedy można zyskać pewność wyleczenia, gdy się nabędzie tej choroby powtórnie, przeto, dla dobra nauki i ludzkości, Jan postanowił się poświęcić: zaszczepia sobie sztucznie syfilis. Choroba przyjęła się; był więc wyleczony! I znów jest chory, znów musi stronić od ludzi i posuwać najdalej ostrożność. Ale mając już doświadczenie, młody lekarz spodziewa się wyleczyć teraz szybciej.

Tymczasem mąż umiera; Jadwiga zostaje wdową. Pierwszym jej czynem jest zerwać z kochankiem; dzieci już jej pomocy nie potrzebują, ona sama zarabia dosyć na siebie, przeto „dziękuje za służbę” kochankowi, prosząc go: „Daj mi odpocząć od kajdanów, które wklekam; pozwól mi wyprostować zgarbione plecy”. I, w momencie gdy pani Jadwiga prostuje „zgarbione plecy”, zjawia się Jan. Wyleczony, powtórnie wyleczony!... I wiecie, co ten fanatyk zamierza uczynić? Trzeci raz sobie zaszczepić syfilis, aby się przekonać, czy

„leczenie abortywne”<sup>6</sup>, o którym marzył Ehrlich<sup>7</sup>, jest możliwe. Ale pani Jadwiga ma już tego dość. „Tego samego dnia, tej samej godziny przestanę żyć”, woła.

— Janku, mój Janku, podaruj mi na własność ten obiekt twoich okrutnych doświadczeń. Kochałam zawsze tylko ciebie jednego, żyłam tylko marzeniem o tobie.

— Kochałem cię zawsze, Kocham i teraz, moje złote biedactwo — odpowiada Jan, tuląc ją.

— Ale czy ty potrafisz zapomnieć o panu X., o jego akcjach i jeszcze... tego młodego klienta, tak podobnego do ciebie? To były tylko zmysły, ale nie miłość; o, nie...

— Jadziu, czyż nasze cierpienia miały tylko na celu stwierdzenie, że zwierzęca zazdrość i prawdziwie ludzka miłość są identyczne? — pyta Jan. — Postawmy krzyżyk nad naszą przeszłością.

I w chwili, gdy młodzianka babunia — bo pani Jadzia została tymczasem babką — tuli w ramionach Jana, wchodzi jej córka. Zrazu sztywnieje na ten widok; instynkt wszechzaborczości kobiecej staje dęba na widok szczęścia matki z tym, do którego ona zawsze rości sobie pewne prawa; ale na ciepłe i rozumne słowo matki rzuca się zawstydzona w jej objęcia.

I rzecz kończy się sielankowo słowami pani Jadwigi: „Drodzy moi, trzymajmy się mocno tego kawałeczka szczęścia, którego udziela nam skąpy los!”

Tak kończy się sztuka. Gdyby ją sądzić miarą obowiązującej moralności, bilans wypadłby strasznie. Mąż sutener, żona utrzymanka, zięć wprowadzający żonę do mieszkania kupionego za pieniądze kochanka jej matki, którego ona zdradza w dodatku „dla zmysłów” z trzecim, Kochając czwartego! Słowem: błoto! Tymczasem tam nie ma ani jednego złego człowieka, wszyscy są dobrzy, delikatni, Kochający, rzetelni, istna boża czeladka; a już ten doktor-syfilityk, to wprost apostoł, bohater, maniak moralności. Bo ta sztuka jest aż nazbyt moralna, aż nadto sentymentalna.

Gdyby to napisał młody literat, można by powiedzieć, że chce olśnić cynizmem lub rzucić rękawicę społeczeństwu. Tymczasem to napisał stary lekarz, może bez świadomości, jak dalece jest rewolucjonistą. Pisał z tego, na co patrzył, co przemyślał; ot, dla siebie. Czyżby *moral insanity*? Raczej świadczyłoby to, jak bardzo znajdujemy się na przełomie; jak bardzo, w olbrzymich wstrząśnieniach, jakie świat świeżo przeszedł, popękały skostniałe kanony; brak nam jeszcze nowych, żyjemy na razie na dziko. Jesteśmy może w przededniu „przegrupowania” moralności, a raczej obyczajowości.

Jest tam scena między dwiema kobietami: panią Jadwigą i żoną jej kochanka, która — wedle klasycznej formuły — przychodzi żądać od niej zwrotu swego męża i ojca swego dziecka, grożąc skandalem. Pani Jadwiga miażdży ją swoim spokojem. Po stronie tamtej — prawowitej żony — jest obłuda i występki; po stronie Jadwigi prawda i uczciwość. Nie zabrała męża tamtej, niewiernej żonie, od której ten mąż odszedł dawno; nie zabrała ojca dziecku, które nie jest jego dzieckiem; przeciwnie, mimo że kochanek chce ją rozwieść i złożyć u jej stóp cały majątek, ona nie chce rozwodu, bo nie chce opuścić swego biednego i schorowanego męża; nie tylko nie chce nic nikomu wydrzeć, ale przeciwnie dopilnowała, aby jej kochanek ubezpieczył się na rzecz swej rodziny. Pani Jadwiga mówi to wszystko jak kobieta, która się czuje w prawie nosić wysoko głowę do góry; tamta wychodzi zawstydzona, bełkocząc: „Przepraszam bardzo, byłam źle poinformowana... i... dziękuję...”.

Jest w tej sztuce — mimo że wyda się to paradoksem — wybitna, choć może błędząca po manowcach, dążność moralna; poczucie, że nie wystarczają nam dziś stare dogmaty życiowe, że etyka społeczna musi wrócić do swoich źródeł, a te źródła to ludzka dobroć, miłość bliźniego, ludzkie współczucie. To jest pewne, że pani Jadwiga nie wyrządza nikomu nic złego, a wszystkim, którzy są koło niej, zrobiła coś dobrego; jest dla swoich bliskich promieniem słońca, wszyscy mają dla niej wdzięczność i uwielbienie: czuć, że sam autor się w niej podkochuje. Jak tu ją wobec tego lżyć od jawnogrzesznicy i wszetecznic, od złych żon i niegodnych matek? Tak, tu jest zadatek rewolucji etycznej; jesteśmy

<sup>6</sup>leczenie abortywne (daw.) — leczenie profilaktyczne. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>Ehrlich, Paul (1854–1915) — niem. naukowiec, wynalazca leku przeciw kile; laureat Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny. [przypis edytorski]

niewątpliwie w dobie przemiany pojęć, która w teatrze oczekuje swojego Ibsena<sup>8</sup>. Mój autor nim nie będzie; ale jest wyrazem tęsknoty za nim. Jestem pewien, że ludzie sturutowani formułami, w imię których wykrzywiali i marnowali swoje i cudze życie, obeerzawszy się wstecz, zastanowią się bodaj nad tym zagadnieniem. Bo przymierzmy tylko dla próby, jak by wyglądało życie tych wszystkich osób, gdyby strzegły ściśle kanonów moralnych. Pani Jadwiga, wierna swemu schorowanemu i zrujnowanemu mężowi, byłaby nieszczęśliwą. Mąż, patrząc na jej ofiarę i smutek, gryzłby się i byłby nieszczęśliwy. Córnka, mając tak nieszczęśliwych rodziców, też kwaśna dla braku warunków życiowych, byłaby nieszczęśliwa. Amant pani Jadwigi, zamiast grzać się w jej promieniach, wegetowałby przy niekochanej i niekochającej żonie, i byłby nieszczęśliwy. Jan nie znalazłby w pani Jadwidze uroczej i dobrej przyjaciółki i też nie byłby szczęśliwy. Słowem, ile osób, tyle ofiar, tyle nieszczęść lub przynajmniej braku szczęścia. Czy nie za drogo kosztuje nas nasza moralność? — zdaje się pytać autor. I ludziom bardzo moralnym zdarza się czasem w chwilach zwątpienia zadać sobie to pytanie. Nie dziwnym się tedy zbyt temu staremu lekarzowi, który, gotując się — jak powiada — do ostatniej podróży, mówi nam na odchodnym: „Drodzy moi, trzymajmy się mocno tego kawałeczka szczęścia, którego udziela nam skąpy los”.

To musi być dobry człowiek! Szkoda, że pewnie żaden teatr nie zechce zagrać jego sztuki, której, nawiasem mówiąc, cały drugi akt rozgrywa się w gabinecie lekarza chorób wenerycznych. Też nie najmniej ważne pole walki o prawo ludzkości do szczęścia...

## NASI GOŚCIE

W roku zdaje mi się 1920, wyszła powieść znanego pisarza francuskiego, Abła Hermant<sup>9</sup> pt. *L'Heure brève*. Bohaterem jest literat paryski (rzecz dzieje się przed wojną), który zakochał się w utalentowanej Polce (coś w rodzaju Marii Baszkircew<sup>10</sup>), bawiącej w Paryżu, hrabiance *de Wieliczka*. Zainteresowała go tak, że kiedy wyjechała do kraju, literat pośpiesza za nią. Przybywa do Krakowa, mieszka w Grand Hotelu, opisuje dość wiernie pomnik Mickiewicza, obserwuje... „trojki”<sup>11</sup> kursujące po mieście, po czym odwiedza pannę w jej rodzinnym pałacu w Wieliczce. Ogląda w salonie bardzo nowoczesne meble sprowadzone z... Budapesztu, po czym przechodzi do jadalni, bo go panna zaprosiła na obiad. Nieco niemile uderza go, że widzi stół nakryty na pięćdziesiąt osób. „Mieliśmy być sami”... zwraca się z lekką wymówką do panny. — „Bo też będziemy sami, odpowiada hrabianka z zalotnym uśmiechem; to tylko zwyczaj krajowy, że się nakrywa stół *pour les pèlerins* (dla pielgrzymów)...”

Dodajmy, że Abel Hermant należy raczej do Francuzów podróżujących, był podobno jakiś czas w Rosji, może był i w Krakowie. I powieść ta nie jest bynajmniej szarżą w rodzaju jego powieści dyplomatycznych, rozgrywających się w fantastycznym „królestwie Galicji”; nie, to jest powieść psychologiczna.

Niech to da miarę, do jakiego stopnia Polska była dla cudzoziemca egzotycznym krajem. Ponieważ egzotyzm nie jest naszą szczególną ambicją, radzi przeto witamy cudzoziemskich wędrowców, którzy coraz częściej nas odwiedzają, aby nas osobiście poznać. Przyjeżdża ich sporo, najwięcej z Francji, bądź pojedynczo, bądź grupami; niechby ich było jak najwięcej.

Ale nie wyobrażajmy sobie, i oni niech sobie nie wyobrażają, że Polska jest łatwa do poznania. Polska ze swymi arystokratycznymi salonami, w których Francuz czuje się najzupełniej „*du côté de Guermantes*”, a po wyjściu z których opadają go na ulicy zgraje natrętnych żebraków, prawdziwych lub sztucznych kalek; Polska ze swoim północnym klimatem, w którym tak pięknie kwitną jedwabne pończoszki; z dwiema scenami obrotowymi i jednym gettem, z zadymioną i twardą Łodzią dającą 30 tysięcy franków nagrody

<sup>8</sup>Ibsen, Henrik (1828–1906) — norweski dramaturg, reżyser, dyrektor teatru, autor m.in. dramatów *Dzika kaczka*, *Nora* czyli *dom lalki*, *Peer Gynt*. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>Hermant, Abel (1862–1950) — fr. pisarz, autor powieści i sztuk teatralnych. *Abła Hermant* — dziś popr. odmiana nazwiska: Abła Hermanta. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>Baszkircewa, Maria Konstantinowna (1858–1884) — malarka i rzeźbiarka, pochodząca z rosyjskiej rodziny arystokratycznej, znana jako autorka pisanego po francusku dziennika, który został opublikowany po jej śmierci. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>trojka — zaprzęg trzykonny, typowy w XIX-wiecznej Rosji. [przypis edytorski]

poecie, etc., etc., wszystko to jest całość niełatwa do rozplątania dla cudzoziemca. Czuję się to w każdym drobiazgu; zwłaszcza w drobiazgach.

Bawił w Warszawie literat belgijski, wybitny poseł socjalistyczny. Było to w zimie. W pewnym domu, na zebraniu literackim, podano mu krupniczek. Oczywiście litewski. „To nasz napój narodowy”, objaśnia ktoś, widząc, że Belg łyka gorący trunek ze smakiem. „To wyborne, piłem to w Kownie, mówi gość z ledwie dostrzegalnym uśmiechem, tam mi także mówili, że to jest ich narodowy trunek”. Zrobiło się trochę nieprzyjemnie; wyglądało tak, jakbyśmy się podszywali pod krupnik litewski. Jak wytłumaczyć Belgowi, że i jedni, i drudzy mówili prawdę? Trzeba by mu przytoczyć pierwszy wiersz z *Pana Tadeusza*... Czyby zrozumiał? I tak z oparów krupniczka wyłoniła się na chwilę mroczna kwestia litewska...

Życie w Polsce jest może mniej zmechanizowane, mniej ujednostajnione niż w „Europie” i to balamuci cudzoziemca. Stopień i gatunek kultury, sfery zainteresowań są bardzo rozmaite. I dlatego obserwacje i uogólnienia, do których tak skłonni są śpieszący się wędrowcy, zależą w zupełności od kół, w które się przypadkowo dostaną. Pewien francuski literat notuje, że najpopularniejszym w Polsce pisarzem francuskim jest Giraudoux<sup>12</sup> i zdziwiłby się niezmiernie, gdyby mu powiedzieć, że poza tą właśnie garścią osób, z którymi on się zetknął, Polska nic prawie nie wie o istnieniu tego wybornego pisarza. I to są właśnie te nieporozumienia: kiedy np. po rozmowie z uroczą damą polską o najsubtelniejszych odcieniach homoseksualizmu u Prousta wpadnie mu w rękę statystyka analfabetów...

Można ogólnie powiedzieć, że poznawanie Polski przez cudzoziemców, zwłaszcza Francuzów, jest w samej zasadzie niewinnie zafalszowane, przez to, iż — rzecz prosta — skazani są na koła osób władających obcymi językami. Toż samo po trosze, gdy chodzi o wycieczki zbiorowe: też chętnie oddaje się miłych gości w ręce osób mówiących po francusku, co więcej mających czas i środki, aby robić honory. Jedzą podwieczorek u Branickich w Wilanowie i stwierdzają, że w Polsce dobrze się mieszka; polują u Tyszkiewiczów na wilki, zwiedzają Polskę od pałacu do pałacu. Trudno zaprzeczyć, że to jest bardzo dla nas pochlebny sposób zwiedzania; ale przesuwają on pojęcia o Polsce w duchu cokolwiek bardziej feudalnym niż jest w istocie. Widzi się to nieraz, kiedy się czyta wrażenia z takich podróży. Polska przedstawia się w nich jako kraj wybitnie myśliwski, gdzie mieszkania są strojne w głowy dzicze i rogi jelenie, a gospodarz wychodzi rano z fuzją, aby wieczór wrócić obladowany zwierzyną, którą wraz z całym domem się żywi. Serdeczność, z jaką witamy u siebie obcych, wyraża się stołem obficie zastawionym zakąskami (ten okropny sposób jedzenia, przy którym, stojąc, żongluje się małym talerzykiem, nakładając na niego kolejno śledzika, płucka, bigosik, majonez, flaczki, łososia, etc. uchodzi nie wiem czemu za nasz „narodowy”); robi to wrażenie takiego obżarstwa, że goście nasi (czytałem to niedawno) aż ostrym klimatem czują potrzebę tłumaczyć ogrom naszego rzekomego apetytu. Spotkałem też w takim „wrażeniu z podróży” informację, że w Polsce, kiedy się żąda w restauracji porcji jajek, normalna porcja jest sześć jaj. Może to są echa lektury *Krzyżaków*, gdzie przyrządzają Maćkowi z Bogdańca jajecznicę z dwudziestu jaj, bo jest chory?

Toteż, wśród coraz liczniejszej literatury podróżniczej o Polsce, uderza dobrą orientacją nowa książka państwa Barot-Forlière pt. *Notre soeur la Pologne*, z opaską, na której widnieją słowa: „Poznać ją, znaczy pokochać ją”... Państwa Barot pamięta wielu z nas z Warszawy, gdzie bawili, objeżdżając Polskę z wycieczką Przyjaciół Polski organizowaną przez „Różyczkę”. Pan Barot, lekarz, burmistrz Angers, wybitny dziennikarz, przemawiał w Warszawie na paru zebraniach, a jego przemówienia uderzały szczerą a rzeczową sympatią, wolną od zdawkowych łakoci. Zwracał uwagę głównie na konieczność nawiązania bliższej styczności między polską a francuską prasą prowincjonalną, której znaczenia nie docenia się, skupiając całe działanie na Paryżu; tymczasem prowincja to prawdziwa Francja, to wyborcy, to posłowie, to opinia kraju. Dał temu wyraz p. Barot, ogłaszając, rychło po powrocie z Polski, w swoim koncernie dzienników obszerny artykuł o Wilnie. Widziałem potem pana Barot w Angers, gdzie organizował mój odczyt i wobec sali mieszczącej 1.200 osób wygłosił gorące przemówienie o Polsce. Potem byłem u niego w domu: zaprowadził

<sup>12</sup>Giraudoux, Jean (1882–1944) — fr. pisarz, dramaturg. [przypis edytorski]

mnie do pokoju dziecinnego, do swego śpiącego już synka: ściany były dokoła pokryte rycinami etnograficznymi ludu naszego, przywiezionymi z Polski. „Pragnę, mówił mi p. Barot, aby to były pierwsze wrażenia mego syna”.

Książka pana Barot jest wzorem dobrej informacji. Tak wytrawny dziennikarz i dobry obserwator, daje w skrócie żywe i zajmujące obrazy, rodzaj szybkiej wędrówki po Polsce, ilustrowanej zresztą rycinami. Jest tam po trosze wszystko; historia, geografia, upadek i męczeństwo, odrodzenie i rozmach dzisiejszy, przemysł, wojsko, lud, robotnicy, szlachta, inteligencja, dusza polska, kwestia żydowska, „mniejszości”, wędrówka po głównych miastach Polski, od Poznania i Bydgoszczy po Lwów, od Katowic po Wilno z Krakowem i Warszawą pośrodku, wszystko bez przesadnych zachwyty, ale z sympatią i zrozumieniem. Nie najmniej wreszcie interesująca jest końcowa apostrofa pod adresem oficjalnych sfer francuskich, zarzucająca im niedostateczne zrozumienie kwestii polskiej dla Francji. „Szczupły i skąpo dotowany personel dyplomatyczny i konsularny nie może odgrywać w Polsce takiej roli, jaka by mu w najściślejszym kraju przypadła. Trzeba nam konsulów w dwudziestu miastach, a mamy ich w pięciu”, pisze p. Barot.

Francja, mówi dalej, nie umiała wyzyskać entuzjazmu, z jakim Polska garnęła się do poznania języka francuskiego, literatury francuskiej; nie ma dość kursów, nauczyciele są bardzo nierównej wartości. Znajomość Francji, pozostawiona spekulacji, jest bardzo jednostronna, literatura ukazuje raczej swoje wątpliwe strony. Nie dość dba się o odczyty, przyjeżdżają albo zatabaczeni profesorowie, albo zbyt modni literaci, którzy plotą androny, zostawiając rozczarowanie u publiczności; albo wreszcie ludzie zupełnie nieznający Polski i strzelający bąki. „Cała nasza propaganda dopiero oczekuje, aby ją stworzyć”, pisze autor.

Do tego jeszcze delikatna kwestia emigracji polskiej we Francji!

Wobec tych doniosłych zagadnień, pisze dr Barot, przy każdym wielkim dzienniku francuskim powinien być referent, który, znając Polskę, mógłby pisać o niej ze znajomością rzeczy, który byłby zdolny w chaosie telegramów odróżnić prawdę od fałszu, i przedstawiać we właściwym świetle sprawy polskie, tak ważne dla Francji. „Przez ignorancję — mówi ten Francuz — zaniedbujemy nasze stosunki z jedynym narodem w świecie, który nas naprawdę kocha”.

Te sympatie polskie nie są zresztą wymierzone przeciw Niemcom; w konkluzji autor pisze:

Związek gospodarczy, wiążący ściśle trzy wielkie potęgi przemysłowe kontynentalnej Europy — Polskę, Francję, Niemcy — byłby najpewniejszą ochroną przeciw straszliwej pladze przyszłych wojen.

A w końcu, aby uwydatnić znaczenie kwestii polskiej dla Francji, p. Barot przypomina słowa genialnego skarbnika Colberta, ministra Ludwika XIV:

Wielki Colbert mawiał do króla, swego pana: „Wścieka mnie tysiąc funtów wydanych na ucztę, ale kiedy chodzi o miliony złota dla Polski, zastawiłbym w potrzebie mienie mojej żony i dzieci, chodziłbym całe życie piechotą, aby na to znaleźć”.

Prosimy bardzo!

## ROZWAŻANIA ŚWIĄTECZNE

Prosił mnie redaktor, aby poruszyć coś, co by mogło czytelników zająć przez święta. Jestem w kłopotcie; żyję tak na uboczu, tak z dala od świata, że dalibóg nie wiem, co kogo dziś interesuje. Ale jest jedno zagadnienie, które oblega mnie od wielu lat: mianowicie, czemu ludzie, kiedy się całują, muszą prztyknąć ustami. Niech kto spróbuje: samo przyłożenie ust i trzymanie tak, choćby najdłuższe, nie daje moralnego zadowolenia; pozostawia uczucie czegoś niepełnego, niedoskonałego. Koniecznie musi nastąpić choćby lekki ruch warg, wydający owo charakterystyczne cmoknięcie. Pytanie to nie jest tak blahe, jakby się mogło zdawać; w najdrobniejszej rzeczy odbija się tajemnica wszechświata. To daje miarę, jak gęstym otoczeni jesteśmy mrokiem, jeżeli mechanizm rzeczy tak prostej — aby nie rzec codziennej — jest nam zupełnie niezrozumiały. Jeżeli coś wydaje się nam

Pocałunek, Tajemnica



proste, to jedynie dlatego, że wskutek nawyku przestaliśmy się nad tym zastanawiać, ale w gruncie wszystko jest równie cudowne, wszystko równie tajemnicze.

Co znaczy zatem owo przytknięcie, zamykające w sobie misterium pocałunku? Czy ono jest czysto konwencjonalne, obyczajowe, tak jak trącenie się kieliszkiem przy pićiu wódki? Ale czy w takim razie mogłoby ono powodować tak potężny nieraz wstrząs, tak bezwzględny afirmatyw rozkoszy? Czy wargi opatrzone są swoistym aparatem miłosnym? Ależ są na świecie ludy, które znają miłość a nie znają pocałunku. Czy to jest błyskawicznie wywiązująca się reakcja chemiczna, przy której ten mechaniczny wstrząs odgrywa rolę niby potrząśnięcia epruwetki<sup>13</sup> przy doświadczeniu chemicznym? Czy to jest krótkie spięcie elektrycznego prądu, połączone czasem ze spalaniem stopki? Przeciw temu przemawiałaby znów okoliczność, że pocałunek nie jest wszak wyłącznie przewodem miłości. Dlaczego to przytknięcie tak samo odbywa się przy zwykłym pocałunku przyjaźni między mężczyznami? Czemu nawet pielgrzym, oglądający po latach ziemię rodzinną, przypadszy do niej twarzą, nie poprzestaje na przyłożeniu do niej ust, ale musi przytknąć? Ten ostatni przykład przemawiałby przeciw teorii elektrochemicznej. I znów pogrążeni jesteśmy w ciemnościach.

Zasięgam zdania mędrców: patrzę do małego Larousse'a<sup>14</sup>. Definicja: *Poser les lèvres* — przyłożyć usta... Oczywisty fałsz: przyłożenie ust nie jest pocałunkiem, tak jak położenie rąk na klawiszach nie jest graniem na fortepianie.

Biorę polski słownik Arcta<sup>15</sup>:

*Pocałować*: dotknąć kogoś ustami na znak szacunku, miłości, przyjaźni...

Zatem ten sam błąd; dotknąć, tylko dotknąć. Ale jest tu coś więcej, coś bardzo ważnego: pocałunek jest dla Arcta tylko znakiem, *znakiem* miłości; coś tak jak posłanie kwiatów kobiecie w dniu oddania się, obowiązujące w czasach, które tak dobrze opisuje Alfred Konar<sup>16</sup>. Zanotujmy zatem: dla Arcta (biedny człowiek!) pocałunek jest tylko *symbolem*. Znam innych księgarzy, dla których pocałunek jest bezpośrednim *wrażeniem*, wartym, aby dla niego zaniedbać czasem księgarnię.

Ale coś mnie tknęło: zajrzałem jeszcze do tegoż samego Arcta pod wyraz „całować”. Chcecie przykładu jak lekkomyślnie traktuje się tę kwestię? Pocałować, całować, to wszak jedno i to samo; i oto czytacie:

*Całować* (kogo, co, lub w co), cmoknąć, dotykając ustami ściśniętymi ciała lub przedmiotu, jako znak pieśczozy, czci, uszanowania...

Zatem *pocałować* było tylko *dotknąć*; natomiast *całować* jest *cmoknąć ściśniętymi ustami*; w jednym podręczniku dwie zupełnie różne definicje tej samej rzeczy. („Cmoknąć” Arcta pokrywałoby się mniej więcej z moim „przytknąć”). W jednym tylko jest Arct konsekwentny: wciąż pocałunek jest dla niego jedynie *znakiem*.

Nie poprzestałem na tym; biorę jeszcze innego Arcta: *Słownik frazeologiczny*. Czy uwierzylibyście? — mamy trzecią definicję!

*Całować*, *synon.* cmokać, przycisnąć usta do czegoś.

Utrzymało się zatem *cmokać*, ale poprzednie *dotykać* zmieniło się na *przyciskać*. Nieścisłość czy ewolucja? Trzeba by wiedzieć, kiedy Arct zaczął cmokać, kiedy zaczął *przyciskać*, zamiast *dotykać*? Dałoby się to może ustalić przez porównanie dat wydania słowników. *Słownik języka polskiego* wyszedł w r. 1916; ba, ale *Słownik frazeologiczny* ma trzy daty: pierwsze wydanie w r. 1898, ostatnie w r. 1928... Trzeba by mieć wszystkie trzy wydania i stwierdzić, w którym roku na przestrzeni 30 lat — Arct zaczął przyciskać, jeżeli mamy przyjąć ewolucję, a nie prostą nieścisłość.

<sup>13</sup>*epruwetka* (daw., z fr.) — próbówka. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*Larousse* — wydawnictwo encyklopedyczne założone przez francuskiego pisarza, leksykografa Pierre'a Larousse; mały Larousse to podręczny słownik języka francuskiego. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*Arct*, *Michał* (1840–1916) — wydawca i współautor *Słownika ilustrowanego języka polskiego* oraz *Słownika wyrazów obcych*. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*Konar*, *Aleksander Alfred* a. *Konar*, *Alfred Aleksander* (1862–1941) — pisarz, autor m.in. powieści *Ojcowie i my*, *W pogoni za szczęściem*. *Powieść z czasów przedwojennych*, *Siostry Malinowskie* itp. Odznaczony Złotym Wawrzynem Akademickim Polskiej Akademii Literatury za wybitną twórczość literacką w 1935 r. Zginął w getcie warszawskim. [przypis edytorski]

Zanim przejdę do innych autorów, zaglądam po drodze do *Słownika etymologicznego* Brücknera<sup>17</sup>: nie jest do pogardzenia, co ten wytrawny pisarz powie o pocałunku. I w istocie, znajduję tam wywód niezmiernie ciekawy: *pocałunek*, *całować*, wywodzi Brückner od słowa *cały*, *całość*. Zważcie: ten jurny starzec nie waha się wyznać, że czuje się jedynie niekompletną częścią w chwilach gdy nie całuje. Całować jest, wedle Brücknera, najściślej spokrewnione z matematycznym *całkować*.

Ale idźmy dalej. Biorę *Encyklopedię* Trzaski, Everta i Michalskiego<sup>18</sup>, świeżutko wydaną pod redakcją Lama. Nie ma w ogóle słowa całować w żadnej kombinacji!

Biorę dawniejszą *Encyklopedię* Orgelbranda<sup>19</sup>:

*Całowanie* polega na tym, że przykładą się usta do ciała; przez wciąganie powietrza przyłożone usta silnie przylegają i przy ich oderwaniu tworzy się dźwięk właściwy; fizjologiczne więc wytłumaczenie tej czynności jest bardzo proste...

Tajemnica

Zaiste dziwne rozumowanie! Nie widzę, co się Orgelbrandowi wydaje tu tak proste; chyba to, jak powstaje dźwięk; ależ przecież tutaj nikomu nie chodzi specjalnie o dźwięk... O, ci uczeni, nieśmiertelnie molierowscy! Czytajmy dalej:

...trudniej to zrozumieć, dlaczego ruch ten stał się powszechnie przyjętym symbolem dla wyrażenia rozmaitych dodatnich uczuć między ludźmi, miłości, szacunku, przyjaźni?...

Nareszcie Orgelbrandowi coś jest trudno zrozumieć: odzyskał poczucie tajemnicy; to go rehabilituje w moich oczach.

Zaglądam do starej *Encyklopedii* Sikorskiego<sup>20</sup>:

*Całowanie*, używane w ceremoniach wszystkich religii, służyło za najogólniejszy symbol uczczenia...

I cały czas Sikorski rozważa pocałunek wyłącznie z punktu religijnego: całowanie papieskiego trzewika, całowanie sprzętów i naczyń świętych... O innym zastosowaniu pocałunku — cisza. Panie Sikorski?!

Religia, Zmysły

Już mam dać za wygraną, kiedy jeszcze przychodzi mi na myśl zajrzeć do najstarszego wydania Orgelbranda z r. 1860. I tam dopiero znajduję kopalnię wiadomości:

...Pod względem mechanicznym jest to pewna odmiana przyssania, o ile przez to ostatnie rozumiemy przylgnięcie jakiegoś przedmiotu do ust, sprawione mocą przewagi ciśnienia powietrza zewnętrznego nad tym, które przez wciąganie go w siebie i dłuższe utrzymywanie wdechu (obacz *oddychanie*) w jamie ust rozrzedzonym zostało. Mniejsze lub większe zaciśnięcie warg, tudzież prędsze lub wolniejsze oderwanie ich od przedmiotu, daje początek słabszemu lub mocniejszemu odgłosowi towarzyszącemu całowaniu...

To się przynajmniej nazywa definicja, coś jak słynne półkule magdeburskie<sup>21</sup>. Widać, że artykułik wyszedł spod odpowiedzialnego pióra, mimo że podpisany jest skromnie literami Dr J.M.

Czytamy dalej:

<sup>17</sup>Brückner, Aleksander (1856–1939) — filolog, historyk kultury i literatury polskiej, członek Akademii Umiejętności. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>Trzaska, Evert i Michalski — wydawnictwo Księgarnia i Dom Wydawniczy TEM, założone w 1920 r. przez księgarzy Władysława Trzaskę i Jana Michalskiego oraz handlowca Ludwika Everta. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>Orgelbrand, Samuel (1810–1868) — wydawca, encyklopedysta; prowadził też drukarnię, księgarnię i wypożyczalnię książek. Zorganizował powstanie 28-tomowej *Encyklopedii Powszechnej* (1859–1868). Pochodził z tradycyjnej rodziny żydowskiej, był zwolennikiem asymilacji Żydów w polskim społeczeństwie. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*Encyklopedia Sikorskiego* — *Wielka Encyklopedia Powszechna Ilustrowana*, powstała z inicjatywy Saturnina Sikorskiego, wydawcy i dziennikarza. Nie została ukończona: w latach 1892–1914 ukazało się 55 tomów, do litery P. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*półkule magdeburskie* — doświadczenie fizyczne z 1654 r., które zademonstrował w Magdeburgu Otto von Guericke (niem. polityk i uczonec, 1602–1686); był to efektowny dowód na istnienie powietrza i działanie ciśnienia. Po wypompowaniu powietrza spomiędzy dwóch doskonale dopasowanych półsfery próbowano je rozdzielić, do czego okazała się niezbędna siła kilkunastu koni. [przypis edytorski]

Czucie miejscowe, jakiego się przy tym doświadcza, zależy od nerwów zaopatrujących wargi, i jako takie różni się jedynie według rodzaju powierzchni z ustami zetkniętej. W miarę celu i udziału duszy, za tym miejscowym czuciem idzie ogólniejsze, napawające wskroś niewypowiedzianą lubością...

Nareszcie!! Był już czas!  
Ale czytamy dalej:

Przede wszystkim (?) daje się to dostrzegać w *pocałunku miłosnym*. Wszystko co, stosownie do swojej przyrody, człowiek ma w sobie zwierzęcego, jest w nim zarazem, a przynajmniej być powinno, więcej uduchowione i odznaczony tym sposobem szlachetniejszą cechą. Tak więc i popęd utrzymania swojego rodzaju przechodzi tu właściwy zwierzętom zakres prostej zmysowości, a wplatając się niepoliczonymi pasmami we wszystkie stosunki życia, rozkwita miłością. Pierwszym miłości zadatkem i zewnętrzną psychiczno-zmysłową oznaką jest pocałunek. Stykają się tu ściśle części ciała, które przyczyniają się nie pomału do utworzenia ludzkiego oblicza, owego światła i zwiastuna tego, co się dzieje w sercu i umyśle, części, których udział ich w mowie nadaje przed innymi wyraz żywotności, części, celujące nad wszystkimi wytwornością czucia. To zespolenie części symbolicznie takiego znaczenia, obok chwilowej uludy, że razem z tchnieniem ukochanej osoby jako bezpośrednią oznaką życia napawamy się tym drogim nam życiem, nadaje czysto miłosnemu pocałunkowi nieopisaną lubość, pewną uroczystość i zadowolenie żywsze nad wszelkie wrażenia zmysłowe...

„Zadowolenie żywsze nad wszelkie wrażenia zmysłowe”... Słyszycie? Czy mogłem wam dać lepszy tekst do refleksji świątecznych, na te dni opilstwa i obżarstwa? Jakie wyciągnięcie z tego konsekwencje, to wasza sprawa.

Co do mnie, pragnę stwierdzić jeszcze jedną rzecz, rzucającą ogólniejsze a dość niewesołe światło na naszą współczesną kulturę. Mianowicie że, aby znaleźć obszerne omówienie, wyczerpującą i szlachetną definicję pocałunku, trzeba nam było sięgnąć *aż do roku 1860*, do najstarszego Orgelbranda! Już nowy Orgelbrand uboższy jest w tym paragrafie i bardziej powierzchowny. Bałamutne definicje Arcta (*dotykać czy przyciskać?*) świadczą, jak mu ta kwestia jest w gruncie obojętna. Ale czy może być coś bardziej znamiennego niż to, że w wydanej w roku 1928 encyklopedii Trzaski, Everta i Michalskiego słowo *pocałunek* w ogóle znika, podczas gdy o słowie „*penis*” jest cała stronica, trzy razy tyle co o Słowackim? Czy trzeba wymowniejszego dokumentu świadczącego o zmaterializowaniu, aby nie powiedzieć zezwierzęceniu miłosnym naszej epoki!

Wymieniłem tu same szanowne nazwiska księgarzy: oni wzięli na siebie niejako odpowiedzialność za traktowanie tej materii; kwestią ich zawodowego honoru jest tedy wypełnić tę lukę, uzgodnić te rozbieżności i nieścisłości. Proponuję zwołanie posiedzenia najpoważniejszych firm księgarskich w tym celu: to będzie godne zamknięcie „miesiąca książki polskiej”. Porządek dzienny: *pocałunek*. Już widzę, jak Wolff<sup>22</sup>, obrany przewodniczącym, rumieni się po białka, zagajając obrady, jak Mortkowicz<sup>23</sup> gładzi poważną brodę... A Marian Steinsberg<sup>24</sup> patrzy wilgotnymi oczyma w dal i szepce strofę Heinego: *Am Tische war noch ein Plaetzchen, — da hast du, mein Liebchen, gefehlt*<sup>25</sup>...

Kondycja ludzka, Obyczaje

<sup>22</sup>Wolff, Gustaw a. Wolff, Kazimierz Gustaw (1872–1951) — pisarz, księgarz i wydawca, syn Augusta Roberta Wolffa (1833–1910), współzałożyciela wydawnictwa Gebethner i Wolff. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>Mortkowicz, Jakub (1876–1931) — księgarz, popularyzator czytelnictwa, wydawca m.in. polskich tłumaczeń Nietschego. Współzałożyciel Polskiego Towarzystwa Księgarń Kolejowych RUCH. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>Steinsberg, Marian (1887–1943) — księgarz, wydawca m.in. Skamandrytów i Witkacego. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*Am Tische war noch ein Plaetzchen, da hast du, mein Liebchen, gefehlt* (niem.) — Przy stoliku było jedno puste miejsce, brakowało tam ciebie, kochanie; cytat z wiersza Heinricha Heinego *Sie saßen und tranken am Teetisch* (Siedzieli i pili herbatkę), opisującego salonową dyskusję na temat miłości. Cytat pochodzi z ostatniej strofki i wskazuje na niedopowiedzenie: ten, kto wie naprawdę, czym jest miłość, milczy. [przypis edytorski]

## O WYZYSKANIU DÓBR NATURALNYCH

Miło jest, patrząc na świat, stwierdzać niewątpliwy postęp na wszystkich polach. W każdej dziedzinie dzieją się rzeczy, o których nam się nie śniło. Tak na przykład ja, wychowanek dawnej barbarzyńskiej szkoły, podziwiam instytucję *lekarzy szkolnych*, którzy badają periodycznie uczniów. Ale skoro się powiedziało *a*, trzeba powiedzieć *b*. Pragnąłbym rozszerzyć tę instytucję. Zdaliby się mianowicie lekarze szkolni dla badania periodycznego profesorów. Choroba ucznia — pomijając sprawy zakaźne — to, bądź co bądź, rzecz osobista; stan zdrowia profesora, człowieka, który ma w ręku los kilkuset dzieciaków, to sprawa o wiele donioślejsza. Na przykład paraliż postępowy<sup>26</sup>, cierpienie, które zaczyna się nieznacznie, draży organizm na kilka lat nim wybuchnie, i zrazu ujawnia się jedynie nieokreślonymi zmianami charakteru — to rzecz, która może być bardzo poważna w skutkach.

Nie mówię tego na wiatr. Będąc w gimnazjum, miałem profesora niemczyzny — a niemczyzna była jednym z najgroźniejszych przedmiotów — prof. Feuchtingera. Pamięta go z pewnością niejeden z mojej generacji. Otóż profesor ten więcej niż dwa lata chodził swobodnie z objawami paraliżu postępowego i uczył do ostatniej chwili, zanim, w trzy dni po klasyfikacji, na której „spalił” przeszło pół naszej klasy, umarł na atak ostrego szału. Wówczas dopiero zmiarkowano, co to było i dyrektor miał na tyle rozsądku, że nie formalizując zbyt, anulował jego klasyfikacje. Ale zważmy, co to musiała być za kolekcja oryginałów ci ówcześni profesorowie, skoro ten „paralityk postępowy” mógł chodzić niepoznany, uchodząc po prostu za jednego dziwaka więcej w owym gronie. Mówię „niepoznany”: otóż niezupełnie, bo uczniowie mieli o tym sąd dość jasny; uważali go za wariata, bali się panicznie jego strasznych błędnych oczu, kiedy zdejmował na chwilę wypukłe czarne okulary, same przez się już dające mu upiorny wygląd. Widziałem potem wielu wariatów, ale rzadko widziałem tak typowy wzrok obłąkanego. Miał ataki wściekłej srogości, potem znów skarżył się przed nami, płakał, opowiadał wciąż o jakimś parasolu, który mu ukradli, etc. Pamiętam raz, za jakieś przekroczenie zostawił mnie w „kozie”; zadał mi z trzydzieści stronic niemieckiej prozy do nauczenia się na pamięć, oczywiście szaleństwo! Było to niewykonalne; nauczywszy się z pół stronicy, zrezygnowałem; odłożyłem książkę i czekałem mego losu. Kiedy wszedł i popatrzył na mnie swymi straszными oczami, rozpląkałem się: miałem uczucie, że jestem w klatce dzikiego zwierza. Wariata coś tknęło; obudziło się w nim jakieś ludzkie uczucie, nic nie powiedział i puścił mnie. Na podstawie tego doświadczenia, uważam za wskazane badanie, przynajmniej co pół roku, reakcji żrenicowej ciała nauczycielskiego z dyrektorem na czele. Wszyscy jesteście ludźmi!

Szkoła

Choroba, Szaleństwo

Nieraz zastanawiała mnie ta olbrzymia ilość oryginałów, jakich pamiętam z moich czasów szkolnych. Czy dziwacy ciągną do tego zawodu, czy też w nim dziwaczej? Może i jedno i drugie. Obierają ten fach zapewne ludzie rozmiłowani we własnym autorytecie; a namiętność ta rozwija się z czasem niepomiernie, z groźnymi następstwami. Mieć zawsze rację, tego żaden człowiek nie wytrzyma; zawsze mieć rację może tylko Bóg. Przykłady sadyzmu też — o ile pamiętam — nie były odosobnione. Oczywiście mówię o szkole dawniejszej, z moich czasów: a ta kolekcja dziwaków, jaką ja zastałem, była niczym w porównaniu do tych, o których się słyszało z opowiadań starszych. I w tym zatem postęp jest niewątpliwy.

Nauczyciel

Mówi się często, że do tego zawodu trzeba zamiłowania, trzeba kochać młodzież. Otóż słowo „kochać młodzież” prowadzi nas dość prostą drogą do kwestii, która musiała mnie interesować zarówno jako lekarza, jak jako mędrca, mianowicie do kwestii homoseksualizmu w stosunkach między wychowawcą a uczniem. Proszę mnie źle nie rozumieć; nie chcę insynuować nic zdroźnego; ale z drugiej strony niepodobna przez pruderię zamykać oczu na to, co życie przynosi lub może przynieść. Nie zapominajmy, że cała pedagogia grecka w swoich najpiękniejszych przejawach na tym się opierała; dość czytać Platona, aby widzieć, że ten charakter może się „sublimować” w najszczytniejsze wartości. Pa-

<sup>26</sup>paraliż postępowy (daw.) — porażenie postępujące, późne objawy kiły obejmujące narządy wewnętrzne i układ nerwowy. [przypis edytorski]

miętam z moich wspomnień coś podobnego, a raczej pamiętam dwa typy, jeden ujemny a drugi dodatni. Nie chcę się chwalić, ale prawda każe wyznać, że byłem ulubieńcem obu.

Jeden to wspomnienie z moich niższych klas. Był to katecheta, ksiądz N., człowiek rubaszny, z gruba ciosany, podobno był wprzód wojskowym, niezły człowiek, nie pozabawiony pewnego humoru, zabarwiający swoje lekcje i egzorty jaskrawym kolorytem, coś w rodzaju księdza Robaka, coś z *Proboszcza wśród bogaczy*<sup>27</sup>, ale bez ich cnót. Miał on w klasie swoich ulubieńców, których obdarzał cukierkami i pieszczotami, ale kiedy taki faworyt, zaufany w swój wpływ, przebrał miarę w psotach i zuchwałstwie (można wśród takich dzieciaków obserwować wszystkie typy *kurtyzan*, z panią du Barry włącznie), wówczas ksiądz puszczał w ruch trzcinkę. „Pani Trzcinkowska potańcuje ci tramblampolkę po sempiternie<sup>28</sup>”, krzyczał tubalnym głosem swoim obrazowym językiem. Trzcinka była wówczas jeszcze oficjalnym narzędziem kary i spoczywała stale w szufladzie „katedry”. Ale wystarczyło, aby skarcony chłopiec złożył głowę na ławce w rękach, płacząc lub udając, że płacze, a skutek był niezawodny: zrazu ksiądz udawał że nie widzi, ale w końcu nigdy nie mógł wytrzymać, zbliżał się delikatnie na palcach, siadał obok w ławce, tulił płaczącego draba, obnażał mu rękę do łokcia, okrywał ją pocałunkami, podsuwał cukierki etc. Jednego dnia nie pojawił się w klasie; dowiedziawszy<sup>29</sup> się, że nie żyje, chodziły wieści, że się otrul wskutek jakiegoś doniesienia do władz. Wówczas były to rzeczy bardzo poważne.

Drugi — było to w wyższych klasach — był to najmilszy profesor i najlepszy pedagog, jakiego znałem. Był to młody człowiek, mały, o pół-dziecięcej drobnej twarzyczce, dyszkantowym głosem, z mizdrzącym się trochę, ale bardzo rzeczywistym wdziękiem. Uczył znakomicie, cudownie wtajemniczał nas w piękno łacińskich metrów, w kołyszącą niemal zmysłowo i jędrną na przemian poezję rytmów. Umiał zdobyć sobie posłuch, umiał grać na chłopakach jak na instrumencie, wydobywać z nich co najlepsze, pobudzać ambicję. Cała klasa kochała się w nim po trosze; wszyscy przedrzeźniali z czułością jego spieszony sposób mówienia, patrzyli na niego w osobliwy sposób. Nigdy nie dopuścił się najmniejszej niewłaściwości, niczego co by nasunęło bodaj cień podejrzenia; ale wykładając nam łacińskich poetów, objaśniał nas — może trochę ponad program szkolny — (zważcie że było to bardzo dawno, w bardzo surowej epoce), że wszystkie te wiersze i ody pisane rzekomo do kobiet — wszystkie te Cyntie, Hostie, Tulie etc. — to jest mistyfikacja, przeróbka średniowiecznych mnichów-przepisywaczy, gdy w istocie były tam imiona chłopców. Zmęczając te imiona rumienił się, skłaniał głowę na ramię, przymrużał oczy, zasłaniał je ręką, robił wszystkie minki zalotnisi. Dziś, kiedy sobie to przypomnę, nie mam żadnej wątpliwości co do charakteru tych wynurzeń; utwierdzają mnie one zarazem w przekonaniu, że trochę „sublimowanej” pederastii jest może najistotniejszym tworzywem idealnego pedagoga. I pod tym względem byłoby niezmiernie ciekawe wysłuchać opinii i doświadczeń lekarzy szkolnych. Można by z tego wyciągnąć nawet praktyczne wnioski o nieobliczalnych następstwach. Dobro społeczne polega na właściwym wyzyskiwaniu przywar ludzkich; niedaleko by zaszło społeczeństwo, gdyby się opierało na samych cnotach...

Nauczyciel, Naród, Cnota,  
Miłość platoniczna

## PARALIŻ POSTĘPOWY A MY

Niedawno ogłosiłem felieton potrącając od niechcienia, z własnych wspomnień, pewne sprawy pedagogiczne. Felieton ten obudził zainteresowanie wśród nauczycielstwa. Spominędy listów, które otrzymałem, pozwolę sobie przytoczyć dwa najbardziej znamienne; jeden od nauczyciela, drugi od nauczycielki:

Drogi Panie Boyu!

Artykuł pański *O wyzyskaniu dóbr naturalnych* zastanowił mnie podwójnie: jako pedagoga i jako klasyka. I dlatego nie mogę się powstrzymać, by nie wygadać się choćby w liście prywatnym.

<sup>27</sup>*Proboszcz wśród bogaczy* — *Mon curé chez les riches*, sztuka napisana przez André de Lordé'a i Pierre'a Chainé'a na podstawie powieści Clémenta Vautela. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*sempiterna* (daw. żart.) — tylek. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*dowiedziawszy się* — tu właśc.: dowiedzieliśmy się. [przypis edytorski]

Tak jest: dawna szkoła miała wielu dziwaków. Gdyby każdy z nas chciał opowiadać o swoich profesorach, nigdy byśmy nie skończyli. Ale chcę tutaj podkreślić, o czym pan zapewne nie wie, że dzisiejsza szkoła stoi o całe niebo wyżej od dawniejszej. Proszę sobie wyobrazić łagodne rządy ludzi, pozbawionych w istocie (choć nieoficjalnie) wszelkich sankcji karnych. Mam na myśli szkołę średnią prywatną. Co może zrobić nauczyciel, jeżeli uczeń coś zbroi? Literalnie nic (powiedzmy to sobie na ucho, aby ani kuratorium, ani uczeń o tym się nie dowiedzieli): szkoda pozycji finansowej w dzienniku, tj. szkoda skreślić ucznia... I ot, pedagog musi tak postępować, aby jednak ten żmudny rząd dusz utrzymać. Z praktyki mogę pana zapewnić, że się to dzisiaj robi zwykłą łagodnością i prostotą współzycia. Autorytet nauczyciela dzisiaj całkiem inaczej wygląda: „*tumor paedagogicus*”<sup>30</sup> zanikł prawie zupełnie, każdy na ogół uczeń szczerze zwraca się do swego nauczyciela.

Ale czemu jednak panowie profesorowie dziwaczej? Nie wszyscy, wiem — ale znaczny odsetek. Otóż tu ja, jako młody dość pedagog, będący trochę literatem, specjalnie robię obserwacje. I konstatuję, że zmiany ku gorszemu w charakterze nauczyciela należy przypisać temu, że żaden zawód wyzwolony nie wymaga takiej pracy fizycznej i takiego jednocześnie napięcia nerwów i tak stałej przytomności umysłu, jak właśnie zawód nauczycielski. Adwokat spokojnie obmyśla swoje sprawy lub przemawia w sądzie od czasu do czasu; lekarz leczy spokojnie (inaczej źle leczy!), nauczyciel natomiast przez 6 godzin dziennie ustawicznie musi dzierżyć rząd dusz(yczek), trudnych i nieskorych do ujarznienia. Tak jest, nie wolno mu się mylić, zawsze musi mieć rację: jeżeli nie, jest kiepskim nauczycielem. I oto cuda metody: nauczyciel, *doprawdy*, ma zawsze rację — w szkole; jedynie w życiu nie potrafi sobie dać rady, bo tam racji mieć nie trzeba, jeno spryt.

Kiedy się pomyśli, że w takim napięciu nerwów i sił nauczyciel musi pracować 35 lat (u nas) do emerytury, otrzymując nędzne wynagrodzenie (400 zł.), to zdumienie i litość nas ogarnia. Po 15 latach ofiarnej pracy dobry pedagog stracił już połowę swojej wartości fizycznej, a tu jeszcze się wymaga odeń wysiłków i poświęcenia. Czy dziw, że najhartowniejsza dusza właśnie wtedy dziwaczeje?

Chciałbym, aby pan zwrócił na to uwagę.

Druga sprawa — wyzyskanie „dóbr naturalnych”. Pański klasyk być może był zboczeńcem i dlatego dobrze uczył. Mogę pana po cichu zapewnić, że szczególnie w żeńskiej szkole nie obywa się co najmniej bez freudyzmu. Uczę łaciny w gimnazjach żeńskich, nigdy nie jest tak cicho w klasie, jak gdy czytam na głos zmysłowo rytmiczne wiersze liryczne. Czuję wtedy, że nie jest to wyłączny wpływ poezji, ale trochę i mój — właśnie w sensie freudyzmu.

Powiedziałbym wręcz: nauczyciel, który stracił wpływ swoich „dóbr naturalnych”, powinien przestać być nauczycielem. Ale okłamał was wasz filolog, że Cyntie i Hostie nie figurowały w oryginałach. Jako klasyk mogę zapewnić pana, że „*musa paidike*”<sup>31</sup> zajmuje dużo miejsca w poezji starożytnej, nawet u Platona (Boże, jak będę się z czytaniem jego dialogów w żeńskiej szkole, chcąc dać coś więcej niż program, a „demoralizować” tylko w miarę), ale Cyntie i Hostie też istniały. I te rzeczy można śmiało czytać w szkole.

Z szacunkiem dla odwagi mędrca

Dr St. L.

Drugi list był następujący:

Szanowny Panie.

<sup>30</sup>*tumor paedagogicus*, właśc. *timor paedagogicus* (łac.) — gra słów, zamiast *timor paedagogicus*: lęk przed nauczycielem (tj. szacunek dla autorytetu), dowcipny autor listu pisze *tumor*: guz. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*musa paidike* (gr. *Μῦσα παιδική*) — muza chłopięca, poezja homoerotyczna; od nazwy zbioru epigramatów Stratona z Sardes (II w. n.e.), wchodzących w skład Antologii Palatyńskiej. [przypis edytorski]

W rzeczy *O wyyskaniu dóbr naturalnych* poruszył pan sprawę dotychczas wstydliwie przemilczaną. Przytoczone przykłady mają charakter łagodny. Z dzieciństwa swego i z dwudziestoletniej obserwacji rozmaitych szkół i internatów męskich i żeńskich znam, niestety, fakty jaskrawsze, tu i ówdzie zakończone katastrofą. Żaden lekarz szkolny zadaniu temu nie podoła, bo nie może być w jednej osobie higienistą, pediatrą, psychologiem, psychiatrą, neurologiem, seksuologiem i psychoanalitykiem. Przy tym spędza on w szkole ograniczoną liczbę godzin, przeważnie zamknięty w gabinecie lekarskim, pozbawiony bezpośredniego kontaktu z nauczycielstwem i młodzieżą w najważniejszych momentach ich współżycia. Homoseksualizm i paraliż postępowy występują w szkole obok wielu innych chorób i zbroczeń. Najprzeróżniejsze dziwactwa heteroseksualne, pedofile, fetysyzm, demencja, megalomania, zwracają na siebie uwagę nieraz nawet najmłodszych dzieci i wywołują niezdrową sensację wśród dorastającej młodzieży, a jednak bywają tolerowane czy też pozostają niezauważone przez kolegów i kierownictwo.

Wniosek: każdy kandydat na lekarza szkolnego, nauczyciela, wychowawcę, kierownika, winien otrzymać niezbędne wiadomości z psychiatrii, psychopatologii, seksuologii i psychoanalizy, aby mógł należycie zrozumieć wszystkie zjawiska życia szkolnego, aby w razie potrzeby skierować chorego kolegę, nauczyciela czy ucznia do lekarza specjalisty, który albo unieszkodliwi pacjenta przez umieszczenie go na dłuższy czas w odpowiednim sanatorium, lub, dzięki doraźnej kuracji, osiągnie *Sublimierung*<sup>32</sup>, pozwalającą mu, aby wrócił do szkoły i wyzyskał owo utajone „dobro naturalne” dla jej pożytku. W prawdziwym uznaniu dla odwagi i talentu pisarza-publicysty

#### *Nauczycielka*

Oto autentyczne głosy, świadczące, jak światle i inteligentne nauczycielstwo odniosło się do mojego felietonu; jakże to odbija od naszych klerykalno-brukowych pisemek, które wmawiają w głupców, ni mniej ni więcej, że ja zalecam (!) nauczycielom pederastię, mnie samego lokują w sanatorium dla zbrońców i nie oszczędzają mi ani jednej obelgi. Poziom intelektualny tych pism jest taki, że trudno od nich wymagać czegoś innego; toteż stanowią one od dawna moją ulubioną lekturę humorystyczną.

Dziwi mnie natomiast bardzo stanowisko, jakie zajął jeden z pedagogów, p. Leon Płoszewski, umieszczając w *Przeglądzie Pedagogicznym* artykuł pt. *O odrobinę szacunku dla pracy ludzkiej*. Pan Płoszewski posuwa się tak daleko, że „piętnuje” mój felieton jako „społecznie szkodliwy a dla nauczycielstwa obraźliwy”.

Porozmawiajmy trochę spokojnie. Obrażliwy? Jak dla kogo. Z listów, które cytuję, nie widać ani trochę, aby nauczycielstwo czuło się nim obrażone. Nie można uogólniać. Między nauczycielstwem są różne elementy; są ludzie, którzy chcą myśleć, i są tacy, którzy chcą rozdzierać szaty, biadać, gromić i celebrować. Ja pisałem dla pierwszych.

Mówiłem zresztą, z własnych wspomnień, o szkole galicyjskiej sprzed lat z górą trzydziestu, a ta chyba nie ma tak wiele wspólnego z dzisiejszą szkołą polską, aby się za nią obrażać. A jeżeli poruszam doniosłe i poważne kwestie tonem żartu, to już był czas do tego się przyzwyczaić; nie pierwszy to raz ludzi gorszę, a zwykle potem przyznają mi słusność. I, jakby dla oświetlenia tej kwestii, równocześnie z pojawieniem się fałszywie patetycznego artykułu p. Płoszewskiego, wybucha sprawa zakładu w Studzieńcu<sup>33</sup>, która dość chyba jaskrawo oświetla to, co ja poruszyłem: mianowicie, jakie mogą być skutki

<sup>32</sup>*Sublimierung* (niem.), *sublimacja* — termin psychologiczny, wprowadzony przez Zygmunta Freuda, określający jeden z mechanizmów obronnych osobowości człowieka. Sublimacja to zastąpienie instynktownych działań (np. niskiego popędu) dążeniem do celów wzniosłych i pożytecznych. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*zakład w Studzieńcu* — zakład poprawczy dla chłopców w Studzieńcu pod Żyrardowem, założony w 1876 r. i funkcjonujący nadal w XXI w.; w 1929 r. w zakładzie wybuchł skandal, kierownictwo usłyszało oskarżenia o złe zarządzanie, nadużycia i malwersacje finansowe, placówka przeszła pod zarząd Ministerstwa Sprawiedliwości i została zreorganizowana. [przypis edytorski]

zboczeń i chorób tych, którzy mają powierzone wychowanie młodzieży, i jak niedostatecznie zwraca się uwagę na te możliwości.

Jakże w świetle tej sensacyjnej sprawy wyglądają wywody p. Płoszewskiego? Doprawdy, często argumenty, które się przeciw mnie wytacza uroczyście, mniej mają wagi, niż te, którymi ja posługuję się żartem. Oto z powodu moich uwag na temat paraliżu postępowego, który może drażnić niedostrzeżenie organizm przez parę lat, zanim jawnie wybuchnie, pisze p. Płoszewski:

Ogólne wnioski autora z faktu, że miał wśród swych nauczycieli jednego „paralityka postępowego”, nie są chyba traktowane poważnie, bo równie dobrze można by, na podstawie popadnięcia w szał poety X. czy literata Y., żądać „badania, przynajmniej co pół roku, reakcji żrenicowej literatów”.

Bardzo wdzięczny jestem memu przeciwnikowi za tę enuncjację, bo okazuje ono jasno lekkomyślność jego ataku. Trudno w istocie o gorzej dobrany przykład. Poeta, literat! Czym grozi społeczeństwu to, że literat nadeśle, dajmy na to do *Skamandra*, wiersz pisany w początkach paraliżu postępowego? Albo mu redaktor wiersza nie wydrukuję, albo też chory poeta stworzy jakąś nową szkołę literacką, jakich neo-dadaistów czy coś podobnego, wiersz jego może być zresztą bardzo interesujący, w każdym razie nie grozi to nikomu szkodą. A przenieśmy ten sam wypadek na takiego dyrektora zakładu w Studzieńcu: niech się przypadkowo pokaże, że on od dłuższego czasu cierpi na paraliż postępowy lub inną umysłową chorobę, która sprawiła, że był katem i demoralizatorem powierzonych mu dzieci? — czy i wówczas p. Płoszewski powie, że to zupełnie to samo? Moi drodzy ludzie, zastanawiajcie się trochę, zanim zechcecie chwycić Boya-mędrca na głupstwie lub szkodliwości. Pamiętajcie, że i kolega mój, Sokrates, skazany był na śmierć za szkodliwe nauki i psucie młodzieży.

Pan Płoszewski woła o „odrobinę szacunku dla ciężkiej pracy ludzkiej”: mój Boże, do kogo to mówić; ja sam tyle pracuję, że gdzieżbym nie miał szacunku dla pracy ludzkiej! Ale właśnie dlatego pozwolę sobie zwrócić uwagę p. Płoszewskiemu, że pisanie książek i artykułów to jest *moja praca*; jeżeli więc p. Płoszewski — na podstawie takich argumentów jak powyższy! — tę pracę *piętnuje* (wielkie słowo!), mógłbym i ja, gdybym miał skłonność do frazesów, wykrzyknąć patetycznie: żądam odrobiny szacunku dla mojej pracy, dla pracy ludzkiej!

A teraz mówmy o czymś przyjemniejszym, choćby o paraliżu postępowym.

Nie potrzeba być mędrcom, aby zrozumieć, że doniosłość i niebezpieczeństwo społeczne tej choroby najcisłej są zależne od stanowiska, jakie chory zajmuje. Opowiem w dalszym ciągu, jak raz postawiłem diagnozę paraliżu postępowego u krytyka teatralnego; okazało się, że trafnie; no i cóż, nikt z tego szkody nie poniósł, co najwyżej publiczność przeczytała parę oryginalnych recenzji, zanim krytyka posłano na bezterminowy urlop. Otóż wyobraźmy sobie, że ten krytyk, zamiast być krytykiem, jest (nie chcę powiedzieć pedagogiem, skoro to p. Płoszewskiego tak obraża), ale starostą, wojewodą, nawet — strach pomyśleć — ministrem? ambasadorem? Każdy zrozumie, jak nieobliczalne mogą tu być następstwa. Wiecznie wisząca możliwość paraliżu postępowego u ludzi na wybitnych stanowiskach, toż to jedno z najgroźniejszych zagadnień ludzkości. Gubernator Bośni, generał Potiorek<sup>34</sup>, tuż po wybuchu wielkiej wojny uległ objawom paraliżu postępowego, i w Austrii bardzo żywo komentowano fakt, że stan jego i prowokacyjne zachowanie się wobec ludności mogło wpłynąć na katastrofę sarajewską, a tym samym na wybuch wojny światowej. Jeden paralityk! Był w Przemyślu sławny generał Galgotzy<sup>35</sup>, srogi i bezwzględny przełożony, ale wyborny generał, cieszący się nieograniczonym zaufaniem cesarza i budzący postrach we wszystkich. Ten dostał paraliżu postępowego, ale nie od razu oczywiście poznano się na tym; któryż zresztą z podwładnych ośmieliłby się postawić tę diagnozę, tak uwłaczającą subordynacji wojskowej! Generał ów od jakiegoś czasu zdradzał upodobanie do „badań naukowych”; badał mianowicie ciężar gatunkowy żołnierzy rozmaitych broni: w tym celu kazał ich brać pod pachy na sznur i zanurzać nago w wodzie „normalnej”, tzn. o temperaturze czterech stopni Celsjusza. Póki badał ciężar

<sup>34</sup>Potiorek, Oskar (1853–1933) — austriacki generał. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>Galgotzy von, Anton (1837–1929) — austriacki generał. [przypis edytorski]



gatunkowy prostych żołnierzy, szło to wcale dobrze; ale gdy chciał przejść do analogicznych badań ciężaru gatunkowego oficerów, porozumiano się z lekarzami i wzięto go do zakładu, gdzie stwierdzono daleko posunięty paraliż postępowy. Gdyby Galgotzy był nie generałem, ale poetą, rozszerzyłby co najwyżej sferę asonansów. Koresponduje obecnie ze mną dwóch literatów mających zdecydowanego fioła, i cóż stąd?

Paraliż postępowy — to choroba mająca swój demonizm, przez swoje bardzo nieznaczne początki, przez swój kapryśny przebieg i objawy. Z upodobaniem rzuca się na ludzi intensywnie pracujących mózgiem. Miałem przyjaciela — jedna z najświetniejszych inteligencji — wspomnianego nieraz Ludwika J.; patrzałem u niego ze smutkiem na postępy tej choroby. Zrazu nieznaczny, ledwie dostrzegalny odcień, coś co mogło uderzyć jedynie bardzo bliskich znajomych i jedynie w porównaniu z tym, do czego się przywykło u tego człowieka. Miesiące upływają, nim się to mgliste odczucie skryształizuje w podejrzenie; nieśmiało dzieli się je z kimś drugim, obserwuje się, śledzi, wciąż żyjąc z przyjacielem na dawnej stopie. Bardzo tragiczny to proces, to mimowolne szpiegowanie, ta obserwacja, której pozytywny wynik jest wyrokiem śmierci, poprzedzonej ruiną umysłową. Kiedyśmy doszli do utrwalenia podejrzeń, zaprowadziliśmy pod jakimś pretekstem biednego Ludwika do wspólnego przyjaciela, wybornego psychiatry, Adama Rydla (brata poety Lucjana). Ten rozpoznał już bez wątpliwości paraliż postępowy i wysłał Ludwika J. pod pozorem kuracji nerwowej do słynnego zakładu pod Wiedniem w Steinhofie. Po jakimś czasie dr Rydel otrzymał od dyrektora zakładu pismo, uprzejme ale wyrażające zdziwienie, że przysłano mu tego chorego z taką diagnozą: pacjent (pisał) jest to inteligencja tak świetna, że o ile prawdziwą przyjemność sprawiło lekarzom obcowanie z nim i rozmowa, o tyle nie czują się w prawie przetrzymywać go w zakładzie, nie stwierdziwszy żadnych objawów rzeczonej choroby. Jakoż, wypuszczono go na wolność. W kilka dni potem przywieziono Ludwika J. do tegoż Steinhofu, ale już w kaftanie bezpieczeństwa: wypuszczony, pojechał nie wiadomo czemu do Fiume, tam pokłócił się z policjantem, dostał napadu szału, ubrano go w kaftan. Inteligencja jego zatem, już w fazie paraliżu postępowego, wystarczyła jeszcze, aby olśnić lekarzy ze Steinhofu; jedynie ci, co go znali blisko, zdolni byli ocenić zmiany i różnice. Co więcej, siedząc już w zakładzie z niewątpliwą diagnozą, człowiek ten zaczął intensywnie pracować; on, całe życie improduktyw twórczy, jął się gorączkowo pisać. Przełożył tam m.in. na niemiecki książkę Witkiewicza o Matejce tak świetnie, że widziałem list Witkiewicza nie mający dość słów entuzjazmu dla tej pracy.

Taki oto jest zdradziecki i kręty bieg tej straszliwej choroby.

Wspomniałem wypadek, w którym postawiłem pierwszą diagnozę u krytyka teatralnego „Czasu”, Konrada R. Było to podczas wojny. Pochłonięty służbą wojskową i swymi pracami, nie widziałem Konrada R. czas dłuższy. Pewnego dnia, czytam w „Czasie” recenzję teatralną, zdaje mi się z *Pana Brotonneau* Caillaveta<sup>36</sup> i Flersa<sup>37</sup>. Przeczytawszy, telefonuję do redaktora Rudolfa Starzewskiego: „Czy ty czytałeś dzisiejszą recenzję?” — pytam. (Starzewski, w przeciwieństwie do dzisiejszego redaktora „Czasu”, który wolałby się narazić na dziesięć karnych procesów niż przeczytać jakiś skrypt, czytał przed oddaniem do druku każdą literę). „Przyznam ci się, że wyjątkowo nie, miałem taki nawał polityki...” (Było to w pełnej wojnie, gdy sprawy literackie w ogóle były na ostatnim planie). „No, to przeczytaj. Zdaje się, że będzie to samo, co z Ludwikiem”. Przeczytał i natychmiast udzielił krytykowi urlopu „dla poratowania zdrowia”. W pół roku później dostawiono Konrada do szpitala, też w kaftanie bezpieczeństwa. Otóż recenzja jego nie zawierała dla pobieżnego czytelnika nic nadzwyczajnego. Charakterystyczne i zabawne było, że zachowywała ona najzupełniej styl „Czasu”, była i powaga, i erudycja, i pewne namaszczenie, tylko zastosowane tak, jakby ktoś uderzył w fałszywy klawisz. Zaczynało się: „W miesiącu... roku... (dokładna data) komedia Caillaveta i Flersa dostąpiła tego zaszczytu, że ją wydrukowano w dodatku do paryskiej »Illustration«, na którego łamach, jak wiadomo, pojawiają się jedynie dzieła o nieprzemijającej wartości...” Kończyła się zaś ta recenzja uderzeniem w żałobny dzwon z powodu świeżej śmierci Caillaveta, w tonie takim, jakby umarł co najmniej sam Stanisław Tarnowski. To mi wystarczyło do nieomyłnej

<sup>36</sup>Caillavet de, Gaston Arman (1869–1915) — fr. dramatopisarz. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>Flers de, Robert (1872–1927) — fr. librecista, dramatopisarz, dziennikarz. [przypis edytorski]

diagnozy, którą później potwierdzili lekarze. Ale nie każde pismo ma tak zdecydowaną fizjognomię jak „Czas”... Zresztą każdy przyzna, że to było mniej groźne, niż gdyby ten człowiek miał w ręku los paruset dzieciaków.

Ale nie za to spadły na mnie najcięższe gromy. Raczej za drugą część felietonu, gdzie mówię o znaczeniu mniej lub więcej utajonych elementów erotycznych w pedagogii. Mówiłem o tym w sposób sobie właściwy; zgorszyć i oburzyć mogłem chyba tych, którzy nie mają poczucia żartu, paradoksu, lub tych, którzy celowo chcą przekreślać i źle rozumieć. Pisałem z własnych refleksji i wspomnień, nie troszcząc się zupełnie o literaturę dotyczącą tego przedmiotu, mimo iż nie wątpię, że ta literatura — i to bardzo obszerna — z pewnością istnieje. I oto to samo klerykalne pisemko, które, na podstawie mego felietonu, lży mnie i wysłało do sanatorium dla zбочeńców, w drugim artykule „polemicznym” stwierdza, że cała ta moja mądrość jest — o zgrozo! — kradziona i że wielce poważni uczeni niemieccy wyrażali w tej mierze... bardzo podobne opinie. Bardzo przepraszam; albo jedno, albo drugie; albo sanatorium za zбочenie, albo kryminal za kradzież; ale oba naraz, to za wiele! Doprawdy, warto przytoczyć ten artykuł, bo ma on znaczenie ostrzegawcze: ukazuje otchłań istic saskiej ciemnoty, w jakiej chciałyby pewne sfery pograżyć i trzymać naszą umysłowość. Tytuł: *Kradziona mądrość Boya-mędrca*.

Boy, zalecający „sublimowaną” pederastię, jako pożyteczny motyw dla wychowawców, ukazał się tym razem w nowej roli — pedagoga... Warto zauważyć, że ta jego mądrość pedagogiczna nie może nawet mieć pretensji do oryginalności — to mądrość kradziona, a mianowicie od Niemców. Taki np. nad miarę wysławiany w pewnych, pod wpływem niemieczyzny pozostających kołach, Edward Sprenger, „neoidealista”, w swojej *Psychologii młodzieży* wcale wyraźnie daje do poznania, że dobrze jest, kiedy „Eros” — nb. *sublimowany!*... — kieruje nauczycielem w stosunku do ucznia... Inny szwab, niejaki H. Blüher, daje całą teorię perwersji, a nawet w rozprawie pt. *Wanderbewegung<sup>38</sup> als erotische Erscheinung<sup>39</sup>*, takie właśnie „istotne” tendencje insynuuje (słusznie czy nie, niech o to Niemcy się spierają!) tak silnie rozwiniętemu ruchowi turystycznemu młodzieży niemieckiej. Objawy patologiczne, same w sobie smutne, zdarzają się wszędzie, ale tylko Niemcy są na tyle dowcipni, by dorabiać do świństwa teorię i zalecać ją światu jako wartość cywilizacyjną! Pan Boy-Żeleński, który jako tłumacz z literatury francuskiej przyswoił naszemu piśmiennictwu wiele arcydzieł, ale niemało rzeczy, bez których od biedy byłoby się obeszło, teraz bierze się do przyswajania nam mętów niemieckiej mądrości, od dawna zdemoralizowanej przez heglowsko-panteistyczny kult dla faktu: wszystko, co jest, ma swoją rację bytu, ergo... jest wartościowe!... Od takich mętów „filozoficznych” trzeba bronić naszą umysłowość, nasz gust, nasze zdrowe instynkty...

Dotychczas u nas „najsztubtelniejszym tworzywem idealnego pedagoga” były uczucia ojcowskie, przyjacielskie, patriotyczne, religijne, idealizm moralny — i te jakoś naszemu prostactwu całkowicie wystarczały!...

W ten sposób rozprawiają się te sfery z „mądrością szwabów”: typowy odzew naszego „zagłobizmu”. Nie zdaje mi się, aby koleje Polski wykazały, że nam się tak dobrze działo z naszym „prostactwem”, iżby je tak triumfalnie nad „szwabskie wymysły” gloryfikować. Oczywiście teraz to samo pisemko rzuciło się skwapliwie na artykuł p. Płoszewskiego; przedrukowuje go z radością, „piętnując” za jego przykładem nieszczęsnego Boya-mędrca. W ten sposób *Przegląd Pedagogiczny*, który z przeznaczenia swego ma służyć światłu i w którym powinny by się znaleźć takie listy nauczycielstwa, jakie przytoczyłem poprzednio, lub też wszelka inna ale dorzeczna wymiana zdań, stanął na jednym poziomie z najciemniejszą ciemnotą i dostarcza jej argumentów... Cóż za nieporozumienie!

Ale mędrzec i to przeczeka. Ma czas.

<sup>38</sup> *Wanderbewegung* — chyba *Wandervogelbewegung*? [*Wandervogel* (niem.: Wędrownie ptaki) to nazwa powstałego w 1898 r. w Niemczech ruchu młodzieżowego, promującego turystykę, tężyznę fizyczną i miłość do przyrody; ruch prekursorski w stosunku do niem. skautingu; niem. *Bewegung*: ruch. Red. WL]. [przypis autorski]

<sup>39</sup> *Wanderbewegung als erotische Erscheinung*, właśc. *Die Wandervogelbewegung als erotisches Phänomen* (niem.) — *Fenomeny erotyczne w „Ruchu Wędrownych Ptaków”*; praca Hansa Blühera z 1912 r. [przypis edytorski]

## DOKUMENTY

Znają wszyscy powieść *Fermenty* Reymonta. Pamiętacie tam urzędnika kolejowego na małej stacyjce, który jest zarazem zawiadowcą i kasjerem, własnym swoim zwierzchnikiem i podwładnym. Dostaje z czasem fioła na punkcie podwójności swych funkcji; sam ze sobą koresponduje, żąda wyjaśnień, udziela sobie nagany, etc. Coś podobnego grozi po trosze każdemu człowiekowi, który ma podwójne agendy. Tak np. ja: jestem autorem i krytykiem. Dawniej nie zająbało się to o siebie; jako krytyk zajmowałem się teatrem albo daleką Francją. Ale od jakiegoś czasu ogarnęła mnie rozpusta przeszłości, perwersja dokumentu; raz po raz wyciągam jakieś szpargały, wpatruję się w stare fotografie. Otóż czuję, że z tą chwilą ta kumulacja charakterów staje się niebezpieczna. Boy-krytyk i badacz zaczyna ciekawie zerkać na skrytkę, gdzie znajdują się rozmaite dokumenty dotyczące Boya-autora i co gorsza człowieka. Czasem zdarzy mu się, kiedy wyjdę z domu, wracać po cichu, zakradać się do pokoju i chodzić na palcach koło tego kantorka, od którego wiem, gdzie Boy chowa kluczyk. To już groźne, prawda?

Literat, Historia, Plotka

Czasem zaglądam: czy jako ja, czy jako ten drugi? Czegoś mi potrzeba, czegoś szukam, więc niby to jako ja; ale czuję, że tamtemu drugiemu aż oczy się świecą przy każdym świstku, który biorę w rękę. Ja jestem zdrow i pełen wigoru, a ten drugi, kanalia, już myśli „pośmiertnie”. Patrzy łakomie na jakieś wierszyki pisane do prywatnych osób, czasem w celach erotycznych, nigdy nie wydane, i kombinuje sobie, co by to był za sensacyjny artykuł do „Wiadomości Literackich”. To znów jakiś drobiazg okolicznościowy, wymagający komentarza: wszyscy będą się biedzić, a on wie co, jak, czemu! I kiedy to stanie się pośmiertne, czyli aktualne, jego nie będzie, żeby to wypaplać: to się wściec można! A taki na przykład brulion wierszyka, wpisanego do albumu nieletniej bratanicy:

Jeden o herbach swych plecie,  
Drugi bogactwem się puszy,  
Lecz wierzaj: nie ma na świecie  
Nic ponad pogodę duszy.

Niechaj los wszystko ci zburzy,  
Uczciwość, cnotę i mienie.  
Bylebyś z życia podróży  
Wyniosła czyste sumienie!

Czy to włączyć do dzieł zbiorowych Boya, czy nie? Ileż tu pasjonujących zagadnień dla krytyka!

I, w czasie takiej eskapady w przeszłość — mogę powiedzieć cudzą — znalazłem dokument, ot zdawałoby się nic: rękopis starego wierszyka, idiotycznego zresztą, który znacie ze *Słówek: Ludmiła*<sup>40</sup>. Boy-badacz pieści go miłośnie, obraca w rękach: co to? z drugiej strony rękopisu niemiecki formularz recepty kolejowej! I znów przemiana osobowości: znika uczony erudyta, i już ja sam, wpatrzony w ten dokument, biegnę pamięcią wstecz. Śnieg jest jak dzisiaj, ja stoję obok palacza na starej trzęsącej lokomotywie, co chwila otwiera się czeluść, z której bucha czerwony żar. Ileż chwil życia tak spędziłem!

Nominację na lekarza kolejowego otrzymałem w tym samym roku, w którym wydałem pierwszy tom piosenek i wierszyków. Lekkomyślnością tą przypieczętowałem na zawsze moją karierę niedosłzłego docenta chorób dzieci; trzeba się było obejrzeć za czym innym. I co mi tam zaszkodziło, tutaj mi pomogło; posadę moją dostałem dzięki protekcji amatora moich piosenek i wierszyków, który był sekretarzem prezydyjnym przy ministrze kolei w Wiedniu. Obecnie handluje w odrodzonej Polsce spirytusem.

Nie chcę wymawiać memu dobroczyńcy, kochanemu Poldkowi S., ale posada była straszna. Była to tak zwana „sztreka” czyli „przeźreń”, od Krakowa do Podłęża. Poza ranną ordynacją dla przychodnich chorych, trzeba było w każdej chwili być na zawołanie;

<sup>40</sup>rękopis starego wierszyka, idiotycznego zresztą, który znacie ze *Słówek: Ludmiła* — w tym miejscu w publikacji źródłowej zamieszczono reprodukcję austriackiego formularza, a obok rękopis wiersza *Ludmiła*; podpis pod reprodukcją: Znalezione rękopis utworu Boya, lekarza kolejowego. [przypis edytorski]

przychodziła depesza służbowa z „przestrzeni”, że chory taki a taki wzywa pomocy. Nigdy się nie wiedziało co cięższe, a co lżejsze, co nagłe, a co nie, więc na każde wezwanie — o każdej godzinie dnia i nocy — jazda! I co za jazda! Jechało się tym, co było pod ręką: pociągiem osobowym, towarowym, bydlęcym, lokomotywą. Ileż przeszkód, mitręgi. Pytam np. telefonicznie stacji, jakie jest najbliższe połączenie. Odpowiadają mi: za dziesięć minut odchodzi ciężarowy. Pędzę na dworzec, ciężarowy już w ruchu; nie chcąc stracić okazji, wskakuję w biegu, z małym ryzykiem skręcenia karku, i kontent z siebie sadowię się na bremzie<sup>41</sup>. To znów pokazuje się, że pociąg nie może odejść, bo Płaszów „nie puszcza”. Czekam chodząc po peronie, pół godziny, czasem więcej, wpatrzony w sygnał, który ma oznajmić *frei*<sup>42</sup>. Nareszcie ruszamy. Pod Płaszowem — *halt*<sup>43</sup>! Płaszów, to węzłowa stacja z ogromnym ruchem; nie zdarzy się prawie ciężarówce przebyć jej bez zatrzymania. Siedzę na mojej bremzie, marznę, wysiadam, chodzę, znów wsiadam... gdyby to wiedzieć, ile się będzie czekało, tobym się odpowiednio nastawił psychicznie, ale tego nikt nie wie: może minutę, może trzy kwadransy, nie wiadomo. Wreszcie „*frei*”: jazda dalej. Przybywam do Podłęża, nie ma na stacji koni; nie przysłali, nie mają obowiązku; trzeba iść po straszliwym błocie, dwadzieścia minut, pół godziny. Przychodzę i dowiaduję się, że wezwano mnie, bo matka wczoraj się złąkla, że „dziecko jakoś dziwnie patrzy”. — Pokażcie dziecko, zobaczę. — Kiedy go nie ma, poszło gęsi paść. Jest jakaś nemezis: lud, tak długo pozbawiony pomocy lekarskiej, mając ją na zawołanie, nadużywa jej w straszliwy sposób. Zdarzyło się memu koledze, że jechał w nocy z narzędziami do porodu, a pokazało się, że baba nawet w ciąży nie była. Histeria jest u ludu o wiele częstsza niż w salonach, nie jest to bynajmniej choroba „literacka”.

Wracam tedy, zapisawszy coś lub nie, przybywam na stację, czekam; najbliższy pociąg za godzinę, jak się zdarzy. Kiedy minęła godzina, przychodzi depesza, że spóźniony o trzy kwadransy. Potem znów Płaszów nie puszcza, potem znów Kraków nie puszcza, ale już nie czekam, tylko zbiegam po plancie na dół i drałuję pieszo. Nareszcie, straciwszy pięć czy sześć godzin, dobijam do domu, gdzie zastaję — depeszę, wzywającą mnie pilno do... Podłęża! Byłem tam właśnie, widział mnie naczelnik stacji, który nadawał tę depeszę i nie powiedział mi ani słowa o tym drugim wezwaniu! Zapewne, miał inne rzeczy na głowie... Może myślał o pociągu, który trzeba przepuścić, może, w myśl francuskiej piosenki (*il est cocu, le chef de gare*<sup>44</sup>...) myślał o tym, że podczas gdy on ma dyżur i nie może się ruszyć ani na krok, zastępca jego jest wolny, a żona młoda i ognista... czy ja wiem, o czym on myślał. Może zrobił mi to umyślnie, bo urzędnicy ruchu nie lubili lekarzy kolejowych, uważając ich za darmożjadów i zazdroszcząc im (jest czego, mój Boże!) tytułu doktorów. Dość, że dostawszy taką drugą depeszę i zmuszony odbywać znów tę moją Golgotę, myślałem nieraz, że się rozbeczę z desperacji.

Co to była za służba, wyrażę tym jednym. Kiedy wybuchła wojna i wcielono mnie do wojska, świat się trząsł w posadach, a ja myślałem z uczuciem ulgi: nie będę jeździł na *sztrekę!*

I doprawdy, nie wiem, jak bym przetrzymał to wszystko, gdyby nie — wierszyki, które mnie nawiedzały w owej epoce. One mnie ratowały od rozpacz. Doszedłem do takiej wprawy, że ledwo usadowiłem się w wagonie lub częściej na *bremzie* (hamulcu), zaraz zapadałem w rodzaj katepsji; oblegały mnie słowa, słówka, rymy, melodie, i tak spędzałem tych parę godzin, przerwanych na chwilę na wpół przytomnym opukaniem chorego i zapisaniem recepty. Prawie wszystkie moje wierszyki powstały w ciągu tych lat na bremzie albo na lokomotywie. W tej chwili znajduję w kantorku jakiś kalendarzyk reklamowy *glicerofosfatów Robin*, gdzie trzęsącym się ołówkiem — widać, że pisane w ruchu — znajduję zanotowane bruliony i warianty różnych lekkomyślności. A ile nieutrwalonych, niedokończonych, uleciało z dymem lokomotywy!

<sup>41</sup>*bremza* — duże koło na tylnej ścianie wagonu kolejowego, uruchamiające dodatkowy hamulec. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*frei* (niem.) — wolny, otwarty. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*halt* (niem.) — stop; stój. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*Il est cocu, le chef de gare* (fr.) — Naczelnik stacji jest rogaczem; słowa fr. piosenki, powiedzonko do dziś popularne we Francji. W 1925 r. ukazała się komedia o tym tytule, której autorami byli André Mouëzy-Éon i Nicolas Nancey. [przypis edytorski]

I stanęła mi w myśli jak żywa historia Ludmiły. Przechowała mi się w zakamarkach pamięci, ponieważ przez nią zdarzyło mi się, jedyny raz, minąć stację, jadąc do chorego. Wezwano mnie do Podłęża. Przypadkowo trafiłem na osobowy pociąg: gratka! Było to w zimie, pociąg przegrzany czekał bez końca na odjazd, siedziałem sobie w cieple z zamkniętymi oczami i anim wiedział, ile czasu upłynęło, nimeśmy wreszcie ruszyli. Dumalem o Ludmile. Nie wiedziałem, kiedyśmy minęli Płaszów, tak byłem zajęty jej losami. Skąd mi się wzięła, czemu ta, czemu taka, lichy ją wie. Każda twórczość ma swoje „czterdzieści i cztery”. Nie wiedziałem, jak się to skończy, co się z nią stało. I zadumałem się tak głęboko, że kiedy machinalnie spojrziałem w okno, ujrzałem nieznaną pejzaż. Wzdrygnąłem się. Moją „przestrzeń” znałem jak pacierz; po drzewach mogłem poznać, na którym znajdują się kilometry. Oszołomiony, spuszczałem szybę, wyglądam, naraz pociąg zwalnia, stacja Klaj! Przejechałem moją stację, gdzie mnie oczekiwano u chorego. Wsiadam wściekły; wpadam do kancelarii, rzucam się do stołu, wyjmuję z kieszeni formularz recepty i notuję historię Ludmiły, której koniec uświadomił mi się w nagłym olśnieniu. Nieznany mi i nieznaną mi wzajem naczelnik stacji patrzy na mnie jak na wariata; przepraszam go za moje wtargnięcie do sanktuarium Ruchu i pytam o najbliższą okazję do Podłęża. Wróciłem do domu z kilkogodzinnym opóźnieniem i z tą *Ludmiłą* w kieszeni. Jest to rzadki egzemplarz, bo w ogóle nie chowałem wówczas moich autografów, nie wiedziałem, że dojdą takiej ceny. Boy-historyk literatury znalazł go w biurku Boya-autora i ogłasza. Czy to jest początek losu owego naczelnika-kasjera z *Fermentów*? Któż to wie!

## JESZCZE DOKUMENTY

Ogłaszając pierwszą partię znalezionych dokumentów, zaznaczyłem pewne refleksje, jakie mi nasunęło to „rozdwójnienie osobowości” na autora i badacza literatury, na człowieka i obserwatora; to czyhanie na przejawy życia, którego jestem podmiotem i przedmiotem. Wszystko to, przez analogię do owego Reymontowskiego zawiadowcy stacji i kasjera w jednej osobie, wydało mi się dość niepokojące. Cóż dopiero, kiedy w ostatnich czasach wierna „Informacja Prasowa” zaczęła mi przynosić pewne „głosy prasy”. Przeląknęłem się, kiedy się ujrzał w tym zwierciadle: przedwczesny urząd starczy, sanatorium dla zбочeńców, szpital jako najwłaściwsze dla mnie miejsce, ekshibicjonizm, symulacja, zgnięta gorączka, rajfurstwo<sup>45</sup>, „polski Goriot” (nie wiem czemu, poczciwy ojciec Goriot z Balzaka stał się nagle dla naszych świątobliwych analfabetów najcięższą obelgą, coś tak jak u chłopów „omentra”<sup>46</sup> albo „sufragan”<sup>47</sup>?). Przewertowano moje pisma; znaleziono w nich zwierzenie, że cierpię na *bradykardię* (zwolnienie tętna) i że w chwilach takiego „odpływu życia” czuję się zdolny do wszelkiej *perwersji*, nawet *zbrodni*, byle je trochę popędzić. Straszna ta wiadomość, powtórzona tłustym drukiem, obiegnęła część prasy, jako oczywisty dowód moich zbrodniczych instynktów.

Wszystko to będzie kiedyś cennym przyczynkiem do dzieła *Historia głupoty w Polsce*, o ile znajdzie się taki benedyktyń, taki tytan pracy, aby je napisać. Ale, jako mędrzec, mam ten zwyczaj, że cokolwiek mi ktoś powie, choćby to był najgorszy człowiek i rzecz najobelżywsza, zastanawiam się, ile w tym może być prawdy. Może w istocie jest ze mną niedobrze? Rozpocząłem nad samym sobą gruntowne badanie. Zapaściłem się w genealogię; niewyraźna: zarówno po mieczu (jeśli to można nazwać mieczem), jak po kądzieli, mam w rodzinie sporo wypadków obciążających z punktu widzenia normalności umysłowej... I kiedy tak dumałem nad sobą samym, szperając moim obyczajem w dokumentach, wpadł mi w rękę akcik dość szczególny. Jest to urzędowy protokół<sup>48</sup> c. k. policji krakowskiej, jeszcze z r. 19... Protokół ten, którego reprodukcję zamieszczam, brzmi:

Dr Tadeusz Żeleński, 26 lat liczący, syn Władysława i Wandy, rodem z Warszawy, lekarz, zamieszkały w szpitalu św. Łazarza na ulicy Kopernika,

<sup>45</sup>rajfurstwo (daw.) — stręczycielstwo. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>omentra (daw. gw.) — geometra; na wsi w XX w. pojawienie się geometry, tj. geodety, było kojarzone ze zmianami własności ziemi, czyli z zagrożeniem. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>sufragan — biskup pomocniczy. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>urzędowy protokół c. k. policji krakowskiej — w publikacji źródłowej zamieszczono w tym miejscu reprodukcję poniższej notatki odręcznej. [przypis edytorski]

doprowadzony przez c. k. ajenta cyw. pol. Nykulacza oraz c. i k. kaprała policyjnego Golenia dnia 8 XI 19.. o godzinie ½ 1 rano, z powodu iż tenże, idąc chodnikiem od ulicy Siennej ku głównej poczcie, nie wymawiając żadnych wyrazów, krzychał w okropny sposób, tak iż się ludzie mogli przerazić nawet w odleglejszych ulicach.

Doprowadzony zupełnie trzeźwy przyznaje, że krzychał, bo jest cierpiący na nerwy. Po stwierdzeniu tożsamości, puszczony wolno.

*Podpis nieczytelny.*

Przypominam sobie, skąd ten papier dostał się w moje ręce. Policja przesłała go dyrektorowi szpitala, gdzie pracowałem jako lekarz; dyrektor szpitala wezwał poufnie mego starszego brata, wypytując go dyskretnie o mnie i oddał mu ten papier, a brat mój, wpół śmiejąc się, wpół zakłopotany, oddał go mnie. W ten sposób akt ten znalazł się w moim posiadaniu: cóż za skarb dla historyka literatury!

Nic do tego suchego dokumentu dodać nie potrafię. Krzychałem; to fakt. Ale czemu? Nie umiem wyjaśnić, tak jak nie umiałem wyjaśnić w urzędzie policyjnym. Zeznałem, że cierpię na nerwy; bo cóż miałem powiedzieć, aby uniknąć grzywny lub aresztu? Ale czemu krzychał? Może jakiś kosmiczny ból ziemi krzychał przez moje gardło w tę noc jesienną i to tak, że „ludzie mogli się przerazić nawet w odleglejszych ulicach”? Teraz już nie krzyczę. Czy to znaczy, że mi lepiej, czy zastygłem w niemej rozpacz, czy po prostu znalazłem wyładowanie w powołaniu pisarskim, którego wtedy nie byłem świadomy? Nie wiem.

A oto drugi dokument z ciemnego momentu mego życia. Pismo dziekana uniwersytetu poznańskiego.

Uniwersytet Poznański, Dziekanat Wydziału Filozoficznego w Poznaniu,  
dnia 1 lipca

L.dz.175.

Do Jaśnie Wielmożnego Pana Profesora Dr-a T. Żeleńskiego  
Kraków

Dziekanat Wydziału filozoficznego Uniwersytetu Poznańskiego zapytuje niniejszym uprzejmie, kiedy J.W.Pan Profesor przybędzie do Poznania celem objęcia katedry.

Sprawa nominacji J.W.Pana Profesora została pomyślnie załatwiona w Ministerstwie W.R. i O.P. jako też sprawę kosztów przeniesienia pomyślnie załatwiło Ministerstwo Skarbu, oficjalna nominacja na Profesora Uniw. Poznańskiego zostanie ogłoszona w najbliższym czasie. Dziwi nas zatem wiadomość tutejszych dzienników o przyjęciu przez J.W.Pana Profesora posady Dyrektora Teatru Polskiego w Warszawie.

*Łączę wyrazy wysokiego poważania*

*Dziekan Wydziału filozoficznego*

Skąd przyszedłem do tego pisma i w ogóle do korespondowania z dziekanami? Było tak. Zaproponowano mi objęcie katedry literatury francuskiej w Poznaniu. Wahałem się; namawiano mnie. Upłynął rok, półtora roku, o niczym ani słycho. Półtora roku wtedy, to było bardzo dużo, warunki życia tak się zmieniały, epoka była tak gorąca... Zupełnie zapomniałem o tej całej profesurze, przeniosłem się tymczasem do Warszawy, poszukałem innego uczciwego zajęcia... Zapomniałem na śmierć. Naraz, nie zawiadomiwszy mnie ani słowem o nominacji, pytają mnie ostro, kiedy przybędę objąć katedrę, „dziwią się” czemuś... Złakłem się tak surowej władzy; wołałem zrezygnować. Byłem młody, płochy... Ale dziś, kiedy patrzę na rzeczy poważniej, fakt doszczętnego zapomnienia w tak doniosłej sprawie życia znów wydaje mi się podejrzany...

I kiedy się zastanawiam nad tym wszystkim w świetle najnowszych „polemik”, w świetle tego, co piszą o mnie osoby nabożne powodowane szczerą miłością bliźniego, widzę tylko jedno wytłumaczenie. Ale na to potrzebny jest mały wykład medycyny. Każdy wie,

co to jest *padaczka*, czyli *epilepsja*. Nieraz zdarzyło się wam widzieć na ulicy człowieka, który leży nieprzytomny na chodniku, tłucze głową o kamienie i toczy pianę z ust. Otacza go zwartym kołem tłum, patrząc nań ze zgrozą i wzywając pomocy; jedynie doświadczony posterunkowy wie, że nic tu nie trzeba robić, tylko zostawić nieszczęśliwego w spokoju, co najwyżej uważać, aby sobie nie rozbił głowy. Jedną z cech takiego ataku jest wielki palec wciśnięty w pięść; tak, że niezręcznych symulantów poznaje się po braku tego objawu.

Ale nie każdy wie, że ta choroba to jedna z najciekawszych komediantek, jakie istnieją; że lubi się przebierać w rozmaite formy, znane w medycynie jako krypto-epilepsja. Znana jest *absentia epileptica*; okresy, w których człowiek spełnia jakieś niewytłumaczalne, często niezgodne z jego charakterem czynności, będące niejako „namiastką” ataku epileptycznego. I kiedy dumalem tak nad sobą samym, spojrzalem i — wzdrygnąłem się z przerażenia: oba wielkie palce miałem wciśnięte w pięść! Zacząłem się obserwować, śledzić; stwierdziłem, że ile razy się zamyszę nad jakąś doniosłą kwestią, ile razy przeżywam treść przyszłego felietonu, oba wielkie palce mam schowane w pięść. I zdaje mi się, że utrafię w intencję moich cenzorów, jeżeli tu poszukam wytłumaczenia wielu szczegółów zarówno mego życia, jak i kariery pisarskiej. *Krypto-epilepsja*. Tajny epileptyk, tak jak był dawniej *tajny radca*. Może to lojalne zwierzenie położy wreszcie koniec oszalałym atakom na mnie. Nie szanują mojej pracy, może uszanują chorobę.

## ASNYK<sup>49</sup> I DZIEWCZYNA

Nie wiem czy, spomiędzy analfabetów, którzy stanowią większość moich czytelników, zna kto jeszcze wierszyk Asnyka: *Gdybym był młodszy...* Wiersz ten, wraz z muzyką Galla<sup>50</sup>, był niegdyś jedną z najpopularniejszych pieśni. O ile pamiętam jakieś wyrwane strofy, brzmiał on tak: „Gdybym był młodszy, dziewczyno, — gdybym był młodszy — piłbym, ach, piłbym nie wino — lecz ustek twoich najśodszy — nektar dziewczyno”...

A kończyło się słowami: „Ale już jestem za stary — bym mógł, dziewczeczko — zażądać serca ofiary — więc bawię tylko piosneczką — bom już za stary”...

Ale z pewnością rzadko kto wie, w jakim wieku był Asnyk, kiedy tworzył ten bardzo osobisty i do wiadomej osoby pisany wierszyk. Otóż miał lat... trzydzieści pięć.<sup>51</sup> Dziwi to was, prawda? Ale mniej by się wydawało dziwne temu, kto by zobaczył portret Asnyka z owej epoki: dziad z krzaczastymi brwiami, płową brodą, obwisłymi wąsiskami... „Wzrok dziki, suknia plugawa”...

I kiedy sobie to wspomnę — jak również inne zjawiska z epoki mego dzieciństwa, wciąż na nowo dziwuję się cudowi, który spełnił się w naszych oczach i którym nie dość się cieszymy, któremu nie dość się cudujemy. A przecież to cud jeden z największych, jakie ludzkość znała.

Pomyślcie tylko: gdyby jakiemu Woronowowi<sup>52</sup> udało się znaleźć niezawodny środek przedłużenia życia ludzkiego, co by się to zrobił za hałas! Na przykład o dziesięć lat. A w gruncie, co by to znaczyło? To, że stary ramol będzie żył dziewięćdziesiąt lat zamiast osiemdziesięciu i będzie robił w majtki o dziesięć lat dłużej ku strapieniu rodziny. Do tego sprowadzałoby się dobrodziejstwo tego wiekopomnego wynalazku, którego twórca otrzymałby z pewnością potrójną nagrodę Nobla.

Tymczasem, co zrobiła ludzkość samorzutnie, bez pomocy wynalazców? Przedłużyła sobie sama więcej niż życie, bo to, co w życiu najcenniejsze, przedłużyła — i to o ile! — nie starość, ale młodość.

Jak się to stało? Jakimi środkami? Różne rzeczy się na to złożyły. To temat do całego filozoficznego traktatu. Ale, po większej części, środki te są dziecinnie proste: można by rzec „negatywne”. Bo zważmy jeden paradoks. Gdy dawniej w całej poezji brzmiały hymny

<sup>49</sup>Asnyk, Adam (1838–1897) — poeta, dramatopisarz; członek Rządu Narodowego podczas powstania styczniowego. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>Gall, Jan (1856–1912) — kompozytor i dyrygent. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>Ale z pewnością rzadko kto wie, w jakim wieku był Asnyk, kiedy tworzył ten bardzo osobisty i do wiadomej osoby pisany wierszyk. Otóż miał lat... trzydzieści pięć. — Adam Asnyk ożenił się dwa lata później, w 1875 r. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>Woronow, Siergiej (1866–1951) — fr. chirurg pochodzenia ros., słynny z powodu eksperymentów z przeszczepianiem człowiekowi tkanki jąder od małp w celu odmłodzenia ludzkiego organizmu. [przypis edytorski]

na cześć młodości, gdy pisano ody do młodości, równocześnie w życiu robiło się co można, aby tę młodość skrócić. Urządzano istne maskarady, wymyślano specjalne kostiumy, aby młode i powabne kobiety przebrać za matrony, a niestarych mężczyzn ucharakteryzować na starców. Wymyślono cały skomplikowany ceremoniał, aby się ograbić z praw do tej odrobiny życia, jaką mamy. To był jeden z najciekawszych objawów masowego obłądzenia. Wystarczyło położyć koniec tej maskaradzie, zniwelować strój, aby najzupełniej przesunąć granice wieku. Dziś ten sam trzydziestopięcioletni Asnyk, wymyty, wygolony, w getrach, sterczałby po salonach jako reprezentant „najmłodszych”, a luba jego, flirtując z jakimś młodym sześćdziesięcioletnim dyrektorem banku, mówiłaby o poecie, wydymając wzgardliwie usta: „Phi! ten smarkacz! Jak ty możesz, dzieciaku, być zazdrosny o takiego smarkacza?”...

Toż samo obyczaj. Gdy sobie przypomnieć dawne czasy i porównać z tym, co się widzi dzisiaj, też ma się wrażenie, że to była jakaś maskarada. Kiedy 45-letniemu mężczyźnie przyszła ochota powiedzieć komplement 39-letniej damie, mówił go jakby w cudzysłowie, z umyślnie przesadną strzelistością, jak rzecz, która z wieku nie przystała ani jej, ani jemu; i wszyscy przyjmowali to jowialnie. Kiedy gdzieś nad ranem, uniesiony powszechną ochotą, zatańczył, młodzież otaczała go kołem i dawała mu brawo. Podziwiano jego rześkość, sypały się dowcipy: „Patrzcie, patrzcie, młodzi”, etc. Kto to wszystko aranżował, jaki był podkład społeczno-psychiczny tego dobrowolnego i masowego postarzania się ludzkości, tym się już nikt dziś nie interesuje, tak jak nie interesujemy się przyczynami potopu. Przyjęto zmianę jako coś zupełnie naturalnego, nie myśli się o tym, co było i czemu było, podczas gdy poświęca się czas i myśli różnym zagadnieniom, które doprawdy są niczym, przymierzone do tej najważniejszej kwestii ludzkości, jaką jest młodość. A jednak warto by czasem nad tym podumać, choćby dla obmyślenia środków ochronnych, iżby nowa epidemia starości nie rzuciła się kiedy na ludzkość. Tak, przedwczesna, sztuczna starość to była epidemia, choroba, przeciw której znaleziono nareszcie szczepionkę ochronną.

W związku z tą maskaradą strojów, istniała maskarada psychiczna, która okazała się takim samym głupstwem jak tamta. Powaga starców, cześć oddawana starcom etc., wszystko to jest wybrakowana farsa, której się już nie grywa, ale którą grywało się jakże długo i z jak opłakanym skutkiem! Zwłaszcza rozum starców, którego formułę stanowiło zwykle: być sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt lat głupcem.

Drugą przyczyną przedłużenia młodości jest pewne ulekkomyślnienie świata, które w gruncie jest może przywróceniem praw zdrowego rozsądku. Jednym np. z typowych zjawisk przy dobieraniu się ludzi, przy kojarzeniu małżeństw, było kombinowanie harmonii wieku z punktu najbardziej odległej przyszłości. Obliczano na wściekle daleką metę. Przypuśćmy, że młoda panienka rwała się do miłego, czterdziestodwuletniego mężczyzny; natychmiast ciotki, przyjaciółki reflektowały ją, robiły trzeźwe kombinacje: „Tak, on się wcale dobrze trzyma, ale co to będzie, pomyśl tylko, za dwadzieścia lat!” Ileż szczęśliwych małżeństw udaremniły te obliczenia, iluż mężczyzn w najpiękniejszym wieku wyrzuciły za nawias!

Dziś dla kobiety te względy nie istnieją, po prostu dlatego, że ma ona (często słusznie) przecucie, że nim ten mąż zdąży się zestarzeć, już ona będzie za drugim albo za trzecim... Życie bierze się pod kątem bliższej teraźniejszości; nie oblicza się na tak daleką metę. Co będzie? Ech, kto tam wie, co będzie, może wojna gazowa...

Jeszcze większy podnosił się krzyk, kiedy mężczyzna, zakochawszy się bez pamięci, chciał się żenić ze starszą od siebie kobietą. Dopieroż było obliczanie, przymierzanie: kiedy ty będziesz miał tyle, ona będzie miała tyle, a kiedy ty tyle, ona znów tyle, etc.

Przypomina mi to anegdotę, którą gdzieś słyszałem. Ktoś żył z kozą i był szczęśliwy. Ale ciotka zarała mu to szczęście, reflektując go: „Dobrze teraz, póki jesteście młodzi, ale o czym wy na starość będziecie z sobą rozmawiali?”...

Rozmarzyłem się w tym miejscu. Tak, rozmarzyłem się... Czuję, że tym wyznaniem się gubię, że dostarczam moim świątobliwym wrogom ciężkich argumentów. Ale trudno: człowiek jestem i nic co ludzkie nie jest mi obce, nawet koza. Zatem rozmarzyłem się, owiały mnie wspomnienia młodości płynące ku mnie na szerokich skrzydłach melodii Jana Galla:

Obraz świata



„Ty byś mnie może kochała — jasny aniele; — Na tę myśl pierś ma zadrżała — bo widzę szczęścia za wiele — gdybyś kochała...

Gwiazd bym nie szukał na niebie — ani miesiąca<sup>53</sup> — tylko bym patrzył na ciebie — boś bardziej promieniejąca — od gwiazd na niebie...”

Tak śpiewał trzydziestopięcioletni Asnyk, z kosmatą twarzą, w długim, ciemnym surducie, i oczywiście w kalesonach wiązanych na białe tasiemki. „Gwiazd bym nie szukał na niebie, ani miesiąca”... Szczęście, że to nie astronom mówi. Ale doprawdy, ostatni był czas, aby ludzkość ogoliła brody, bo jeszcze trochę, a trzeba by było przystąpić do golenia głów...

## RECENZJA Z SĄDU NAJWYŻSZEGO<sup>54</sup>

MARCELINA:

— Panie sędzio, niech pan wysłucha mej sprawy.

GĄSKA:

— Do-obrze więc! Werba-alizujemy.

BARTOLO:

— Chodzi o przyrzeczenie małżeństwa.

MARCELINA:

— Połączone z pożyczką pieniężną.

GĄSKA:

— Ro-ozumiem, *et caetera*, jak na-astępuje.

MARCELINA:

— Nie, panie sędzio, bez *et caetera*.

GĄSKA:

— Ro-ozumiem; czy masz pani sumę?

MARCELINA:

— Nie, panie sędzio, to ja pożyczyłam.

GĄSKA:

— Ro-ozumiem, ro-ozumiem: żądasz pani zwrotu pieniędzy.

MARCELINA:

— Nie, panie sędzio, żądam, aby mnie zaślubił.

GĄSKA:

— Ro-ozumiem do-oskonale. A on, czy chce panią za-a-ślubić?

MARCELINA:

— Nie, panie sędzio, o to właśnie proces.

GĄSKA

— Czy pani mniemasz, że ja nie ro-ozumiem pro-ocesu?

MARCELINA:

— Nie, panie sędzio. (na stronie) W kogóżeśmy wpadli! — Jak to, to pan nas będzie sądził?

GĄSKA:

— Czyż w innym celu na-abyłem moją posadę?

„*Wesele Figara*”, akt III.

<sup>53</sup>*miesiąc* (poet.) — księżyc. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>Recenzja z sądu najwyższego — patrz: *Mój proces* (*Plotki, plotki...*) oraz *Prawo autorskie fikcją? i Kapelan więzienny* (*Pijane dziecko we mgle*). [przypis autorski]

Jak to, jeszcze? — wykrzyknie ktoś, zapuściwszy się w ten felieton. Przecież to już dawno osądzone, zakończone. Najwyższy trybunał wydał wyrok, uniewinnił Beauprégo<sup>55</sup>, oddalił Boya z kwitkiem, sprawa zamknięta na wieki wieków.

Ani trochę! W sprawie Samuela Zborowskiego<sup>56</sup> też wydano prawomocny wyrok; wykonano go dość skrupulatnie, bo ucięto głowę zasądzonemu, mimo to rzecz nie przestała się toczyć przed trybunałem czystej sprawiedliwości, jak to maluje wspaniały dramat Słowackiego. Tak samo Boy i Beaupré. Wiecznie będzie się cisnął przed idealny trybunał Boy, niosąc w obu rękach swój skastrowany i okrwawiony felieton, a Beaupré, hardo kładąc rękę na głowni nożyczek, będzie odpowiadał: „Broniłem niewinności czytelników »Czasu«. Niech mnie Bóg sądzi”. I będzie się toczył ten spór póty, aż będzie uczyniona sprawiedliwość.

Stara się ją wymierzyć czynnik bardzo poważny i powołany, bo miesięcznik „Głos Prawa”. Fachowe to pismo prawnicze, wychodzące we Lwowie, ma za zadanie poddawać ocenie — często krytyce — orzeczenia najwyższych trybunałów, właśnie te, od których nie ma apelacji na ziemi. Chodzi o to — jeżeli wyroki te były przypadkiem niesprawiedliwe, niemądre i krzywdzące — aby nie stały się prejudykatem i nie bałamuciły na przyszłość sędziów w analogicznych sprawach.

Ukazała się na półkach księgarskich odbitka z lwowskiego „Głosu prawa”, pióra red. dr. Anzelma Lutwaka, pod tytułem *Sprawa Boy — Beaupré w oświeceniu życiowo-prawnym*. Broszura ta jest omówieniem i krytyką wydanego przed rokiem przez Sąd Kasacyjny wyroku w sprawie „Boy contra Beaupré” o naruszenie prawa autorskiego. Autor wychodzi z założenia, że sprawa ta była dla naszego prawa karnego „sposobnością o historycznym zasięgu”, mając zaś wątpliwości (i to grube!) co do sposobu, w jaki Sąd Najwyższy z tej okazji skorzystał, daje im wyraz na łamach swej broszury. Przytacza oba wyroki, godzi się zupełnie z wyrokiem krakowskim pierwszej instancji, po czym rozważa sposoby, za pomocą których Sąd Kasacyjny zdołał, wbrew doskonale umotywowanemu wyrokowi I-szej instancji, wbrew *wnioskowi prokuratury* (rzecz w sądownictwie niezmiernie rzadka), dojść do odmiennych konkluzji i, uznając winę... uniewinnić oskarżonego, pokrzywdzonego zaś odprawić z kwitkiem. Zdaniem redaktora „Głosu Prawa”, udało się to jedynie dzięki „przeredagowaniu zarówno ustaleń faktycznych, jak i ustawy o prawie autorskim, i to za pomocą interpolacji<sup>57</sup> prawnie wręcz niedopuszczalnych. Tymi interpolacjami, tym przeredagowaniem stanu faktycznego oraz ustawy autorskiej i powszechnej karnej, Senat Kasacyjny, rzecz oczywista, wychwiał tę sprawę z torów obowiązującego prawa; niemniej zaś staje się dla nas oczywistym, iż bez tych niedozwolonych fikcji musiałby był Senat Kasacyjny wyrok pierwszej instancji utrzymać w mocy prawnej, bo lepszymi argumentami do skasowania go snadź nie rozporządził”.

Zimno się robi, doprawdy, kiedy się to czyta. Jak to! Więc jest możliwe, aby, zdaniem fachowego i bezstronnego prawnika, Sąd Kasacyjny, od którego nie ma już odwołania do nikogo na ziemi, używał swej olbrzymiej, boskiej niemal władzy na to, aby rzecz raz osądzoną, i dobrze osądzoną, *wychwiał z torów obowiązującego prawa?* To straszne! Bo pomyślmy: sprawa Boy — Beaupré, gdzie chodziło o pikantną kwestię literacką, doczekała się omówienia i moralnej rewizji, ale ileż innych spraw mniej zajmujących, w razie gdyby je przypadkowo „wychwiano z torów prawa”, może utonąć w powszechnej obojętności! I w istocie, analizując wyrok kasacyjny, redaktor „Głosu Prawa” wykazuje w nim szereg „chwyków”, których niedopuszczalność widoczna jest nie tylko dla prawnika, ale dla każdego umiejącego logicznie myśleć laika. Toteż nie dla poruszania jeszcze raz mojej już osądzonej (!) sprawy pozwałam sobie zamieścić kilka uwag; czynię to pod kątem ogólnym. Ostatecznie, dość rzadko się zdarza literatowi poznać na swej skórze funkcjonowanie trybów sądu karnego; może więc ta garść refleksji ma swoje uprawnienie.

Przed wszystkim wrażenia... recenzenta teatralnego. Mimo woli patrzyłem na te dwie rozprawy sądowe — w pierwszej instancji i w kasacji — niby na dwie sztuki teatralne. W sądzie pierwszej instancji uderza element dramatyczny. Strony występują osobiście,

<sup>55</sup> *Beaupré, Antoni* (1863–1937) — dziennikarz, redaktor naczelny krakowskiego „Czasu”. [przypis edytorski]

<sup>56</sup> *Zborowski, Samuel* — rotmistrz królewski i hetman kozacki, ścięty w 1584 r. na dziedzińcu zamku wawelskiego za spiskowanie przeciw królowi Stefanowi Batoremu. [przypis edytorski]

<sup>57</sup> *za pomocą interpolacji* — tutaj w broszurze odsyłacz: Przez interpolację rozumie *Słownik języka polskiego* M. Arcta „falszowanie tekstu przez wtrącanie wyrazów lub zdań nie istniejących w oryginale”. [przypis autorski]

w asystencji adwokatów, spierają się ze sobą, walczą, krzyżują się twierdzenia, poglądy, obnażają się charaktery, wychodzą na jaw okoliczności drobne, nieuchwytny, ale często niezmiernie ważne dla ustalenia prawdy, owej *prawdy*, którą sędziowie starają się wyłowić ze sprzecznych oświeleń. Sala sądowa żyje, drga. I pomiędzy dwiema zainteresowanymi „stronami” jest trzecia nie mniej zainteresowana: sędzia. Bo zważmy, sędzia nie jest tu tylko obojętną wagą ważącą dwie szale prawa. On ma wręcz silny interes osobisty w tym, aby wyłowić istotną prawdę, aby wydać wyrok sprawiedliwy, zgodny z prawem i jego duchem, inteligentnie i bystro umotywowany. Bo on wie, że co najmniej jedna ze stron będzie apelować; że sprawa pójdzie wyżej, że każde jego słowo będzie rozważane, nicowane. Każdy donioślejszy wyrok, to stawka jego ambicji sędziowskiej, to jego egzamin; on nie może sobie pozwolić na „interpolacje, mające wychwycić rzecz z torów prawa”...

Drugie wrażenie: kasacja. Sala pusta, senna. Nie ma stron, tylko sędziowie i adwokaci. Sędziowie przestudiowali akta w domu, mają już zapewne swoje zdanie, z góry ziewają na myśl, że trzeba im będzie wysłuchać długich — i poniekąd bezprzedmiotowych — mów adwokatów; ale przypuszczam, że sędziowie Sądu Najwyższego mają tę wprawę, aby podczas mowy adwokata myśleć o czym innym. Adwokaci mówią bez przekonania, a raczej z przekonaniem, że mówią w próżnię, że argumenty ich nie zmienią nic, że szkic wyroku już jest może nakreślony ołówkiem. Osądziło się rzecz z aktów, z martwego kawałka papieru.

Powie ktoś, takie jest zadanie kasacji. Ona ma sądzić jedynie, czy wyrok pierwszej instancji zapadł wedle form prawnych; zależnie od tego, Sąd Najwyższy zatwierdza wyrok, albo go kasuje.

Otóż nie; w obecnym stanie naszej procedury nie jest to ujednostajnione. Wedle ustawodawstwa obowiązującego w Poznańskim i w Królestwie w istocie Sąd Kasacyjny zajmuje się jedynie formami prawnymi wyroku, nie treścią samej sprawy. Jeżeli wyrok jest nienaganny co do formy, zatwierdza go; skasować go można jedynie na zasadzie błędu w formie. W izbach małopolskich (a taka właśnie Izba sądziła moją sprawę) jest inaczej. Tam atrybucje Sądu Najwyższego są bardziej elastyczne; wolno mu wchodzić nie tylko w formę wyroku, ale i w treść sprawy, sądzić jej meritum. Podobno w tym duchu mają być te rzeczy wprowadzone w nowym polskim ustawodawstwie. Otóż takie atrybucje Sądu Kasacyjnego mają — przekonałem się o tym — wielkie niebezpieczeństwo. Sąd Kasacyjny sądzi jako najwyższa bezapelacyjna instancja o sprawie, którą zna bardzo lichy, którą zna jedynie z aktów. Nie styka się ze stronami, nie widzi ich na oczy, nie bada ich, nie może sobie wyrobić o żywej sprawie żadnego pojęcia. Różne uboczne okoliczności, nieraz bardzo znamienne i ważne, znane sądowni pierwszej instancji a nie zaprotokołowane, są Sądowni Kasacyjnemu nieznanne. Nie czuć w sędziach żadnej ciekawości wszechstronnego poznania prawdy, rozświetlenia kwestii, obracającej się — jak tutaj — na terenie dla nich dość obcym. Zabawne ma się uczucie: byłem obecny na rozprawie kasacyjnej, cały czas mnie język świerzbiał, aby coś sprostować, coś objaśnić, coś wyjaśnić — nie wolno mi się odezwać, podczas gdy moja rzecz się toczy, sąd zaś o nic mnie się nie pyta, ignoruje obecność „strony”, nie okazuje najmniejszej ochoty lepszego poznania sprawy, o którą chodzi. Rzecz osobliwa: wydano wyrok na wspak wyrokowi pierwszej instancji, na wspak logicznej i miazdzącej przemowie prokuratora, nie zadawszy ani jednego pytania, nie zainteresowawszy się niczym... Ja osobiście miałem uczucie, że nie rozumieją ze sprawy nic. *Wesele Figara!* Wydano też wyrok, który doczekał się odpowiedniej recenzji w „Głosie Prawa”...

Prawo, Sąd

To przerażające wrażenie, jakie wynosi się z sali Sądu Kasacyjnego, nie jest tylko impresją literata. Zwierzyłem się z tym jednemu z najtęższych luminarzy naszego sądownictwa. Uśmiechnął się tylko i rzekł: „Dotykasz, nie wiedząc o tym, jednej z bolączek naszej procedury. My, prawnicy, nazywamy to: *apelatio a iudice melius informato ad iudicem peius informatum* (apelacja od sędziego lepiej poinformowanego do sędziego gorzej poinformowanego)”...

Tak powiedział luminarz sądownictwa. A ja pomyślałem: dobrze to prawnikom, nazwą coś po łacinie i już kontenci; ale dla „strony”, która opuszcza salę sądową, stwierdzenie tej prawdy bywa bolesne!

To jest niewątpliwe: przy tym toku spraw, sędzia najwyższej instancji zna sprawę, którą sądzi, o wiele gorzej niż sędzia niższej instancji. I kasuje wyrok i wydaje nowy,

Sprawiedliwość

ten już bez apelacji. Czy może być większy paradoks? Ale nie tylko zna sprawę gorzej; jeżeli brać rzeczy naturalnie, po ludzku, i wola prawdy musi być u niego o wiele słabsza. Osobiście jest bez porównania mniej zainteresowany w słuszności, w legalności swego wyroku, którego nikt kontrolować już nie ma prawa. Po co mu głowić się i dochodzić istoty prawdy i słuszności, kiedy prawda, kiedy słuszność, to... on sam; to, co on orzeknie, jest prawdą i prawem bez apelacji. Musiałby człowiek być aniołem, aby nie nabrał skłonności do zadowalania się tą prawdą. I o ile pierwsza instancja musi z konieczności być szkołą ścisłego i nienagannego interpretowania prawa, o tyle Sąd Kasacyjny łatwo może stać się szkołą naciągania prawa, szkołą prawniczej sofistyki, „twórczością sędziowskiej samowoli”, jak z okazji sprawy Boy — Beaupré nazwał „Głos Prawa” wyrok Sądu Najwyższego. I byłoby niepokojące, gdyby instancja szczególnie powołana do strzeżenia formy (*La fo-orme*, jak mówią w *Weselu Figara*), mogła czynić z tej formy samowolne i posłuszne narzędzie do wypaczania treści praw i ich ducha. Odczuje każdy ten niepokój, kto w broszurze dra Lutwaka odczyta jasny i logiczny tekst wyroku pierwszej instancji, a potem przebrnie przez gąszcz matactw wyroku kasacyjnego.

Rozumiem dobrze, że ideę wymiaru sprawiedliwości trzeba przyjąć, jak to mówią, „z dobrodziejstwem inwentarza”. Zawsze musi być jakaś najwyższa nieodwołalna instancja ze swymi niedomaganiem. Ale dałoby się może ulepszyć to i owo. Jesteśmy w trakcie tworzenia nowego ogólnopolskiego kodeksu; pragnąłbym, aby te rozważania człowieka, który najlepiej — bo na własnej skórze — poznał braki procedury, były wzięte pod uwagę. Proponowałbym np. wprowadzenie następującego paragrafu. Jeżeli Sąd Kasacyjny w wyroku swoim chce wyjść poza formalne rozważania wyroku niższej instancji i wchodzi w treść samej sprawy, powinien być z tą sprawą co najmniej równie dobrze obznajmiony; strony powinny mieć swobodne prawo wypowiedzenia się i winny być na nowo przesłuchane. Nie śmiem prosić, aby, w razie jego przyjęcia, paragraf ten nosił miano *lex Boy*, chociaż miło by mi było zbierać plon błogosławieństw, jakimi obsypywaliby autora tego punktu ci, których ocaliłoby to może od niejednej krzywdy legalnej.

„Krytykowane orzeczenie Sądu Kasacyjnego (dodaje »Głos Prawa«), ma jednak — czego w imię sprawiedliwości nie wolno nam zamilczeć — tę niepoślednią zasługę, iż w związku ze sprawą Boy — Beaupré poruszyło szereg niezmiernie doniosłych, a po części też niełatwych zagadnień prawnych, wylaniających się z naszej ustawy o prawie autorskim, chociaż sprawiedliwe osądzenie tej arcyjasnej sprawy — jak już zaznaczyliśmy — roztrząsania zawilszych zagadnień prawnych nie wymagało i chociaż je Senat Kasacyjny rozwiązał przeważnie mylnie”.

Podnosząc zupełne niezrozumienie, z jakim spotkały się u Sądu Kasacyjnego zagadnienia natury artystycznej, tak dobrze odczute przez krakowski sąd pierwszej instancji, kończy „Głos Prawa” tak:

„Jakże tu — nieprawdaż? — zrozumieć tego dziwaka Boya, który głosi kult *przecinka* — pisze o nim całe felietony”...

„Kończę pytaniem: jak ma być twórczy i wobec twórców sprawiedliwy sąd, który nie pojmuje, nie wyczuwa, czym jest sztuka i jak silnej opieki prawnej wymaga jej wrażliwa, delikatna godność?”...

Tak mówi, w swoim fachowym piśmie, prawnik. Dobrze, że choć on to powiedział! Bo w czasie mego procesu, zarówno przed jak i po wyroku, nasi pisarze i literaci milczeli zawzięcie: nie odezwał się nikt, tak jakby nie o naszą wspólną najświętszą sprawę chodziło! Niechże ten gorąco napisany, druzgoczący swą logiką komentarz prawnika będzie dla ogółu literatów nauką, tak jak dla mnie, biednego, skastrowanego Samuela Zborowskiego, stał się pełną satysfakcją, o ile w tym położeniu można mówić o satysfakcji.

## SIOSTRZYCZKI

Gdyby mnie ktoś zapytał o wspomnienia z czasu wielkiej wojny, byłbym doprawdy w kłopotie: przeważnie myślałem o czym innym. Powołano mnie do wojska jako „lekarza popolitego ruszenia”, dano mi najpierw samą czapkę wojskową (co przy cywilnej marynarce wyglądało dość komicznie), potem mundur, szablę, gwiazdkę, dwie gwiazdki... Spędziłem dwa lata w szpitalu, dwa lata w barakach stacji zbernej, robiłem opatrunki,

podpisywałem papiery, bałem się moich przełożonych, którzy mi dość często wymyślali po niemiecku, ukrywałem przed nimi moją teczkę z Montaignem lub Descartem, tak jak żaczek w szkole ukrywa zakazaną lekturę, i od czasu do czasu, złapany na gorącym uczynku, słyszałem groźny potok słów: „*Herr Doktor, diese ewige Literaturschreiberei werd ich nicht dulden!*”<sup>58</sup>. Z czasem ułożyłem sobie życie tak, jakby wojna miała trwać wiecznie; naraz skończyła się, zdjąłem mundur, i zapomniałem o niej doszczętnie. Czasem tylko przemknę mi przez ekran pamięci jakiś obraz, ale tak nierealny, tak mało związany ze mną, niby jakaś scena widziana w kinematografie. Tak na przykład, widzę sklepioną salkę w klasztorze, czyściutko wybieloną, z zakratowanym oknem otwartym na ogród, letnie popołudnie, muszki brzęczą wlatując przez otwarte okno, silny zapach eteru, jodyny, w powietrzu jakaś ciepła senność... Asystuję do amputacji, siostrzyczka w białym kwefie narkotyzuje, lekarz kraje, ja trzymam, zamyślam się, naraz chwieję się, tracę równowagę, to ucięta noga została mi w ręce... Budzę się niby ze snu, patrzę na biały kwef, na ogród w popołudniowym słońcu, na ludzką nogę, którą trzymam w rękach, i myślę: „Co ty właściwie znaczysz, dziwny śnie życia”...

Życie snem

Biały kwef... To może jedno z najoryginalniejszych moich wrażeń z okresu wojny. Byłem lekarzem przy szpitalu fortecznym: te szpitale forteczne mieściły się prawie wszystkie w klasztorach żeńskich, które zarekwirowano w tym celu, i to wraz z personelem, o ile „klauzura” nie stanowiła bezwarunkowej przeszkody. To wtargnięcie wojny w pierwszej swojej gorączce (ogromna była różnica między pierwszym okresem wojny a następnymi jej fazami: początek był improwizacją, dalszy ciąg biurokracją) w zacisza klasztorne było czymś arcyciekawym.

Wojna

Nie mówię tu o szarytkach. Te siostry, specjalistki do pielęgnowania chorych, obyte z praktyką szpitalną, zastała wojna na stanowisku: cywil czy wojskowy, to tylko kwestia paszportu; dla nich wojna była najmniejszym przewrotem. Ale myślę o tych klasztorach, które np. dotąd prowadziły ochronki, w których siostrzyczki, poświęcone wychowywaniu drobiazgu, od nowicjatu nie widziały dorosłego mężczyzny, nie stykały się ze światem. I w taki klasztor wkracza pewnego dnia — nim jeszcze zjawią się chorzy — personel sanitarny, kwateruje się tam, przewraca wszystko do góry nogami, rwetes, hałas, wesołość, żarty, młodość, niemal życie biwaku; komenderuje oficer-lekarz, pod nim wachmistrz, cały tłum mężczyzn. Później przychodzą pierwsi chorzy, ranni; z siostr, pod komendą lekarza, robią się improwizowane pielęgniarki; rękami nawykłymi do ucierania nosków małym dzieciom przewijają bandaże, robią kompresy. Wszystko to działa na te stworzenia oszałamiająco, jak nagły dopływ zbyt ostrego powietrza, jak oddychanie czystym tlenem. To dla nich jeden wielki karnawał, jedno upojenie, jakieś nieznanne, nowe, mocne życie...

„Pan doktor!” najwyższa władza w tym małym państewku; pan doktor, któremu „przydzielono” do pomocy te siostrzyczki, aby mu były ślepo posłuszne. Przenoszą na niego uwielbienie, tkliwość, posłuszeństwo, należne władzy duchownej. Coś niby biskup, ale z wąsami i z pałaszem! Czy może być doskonalszy ideał? Jemu wolno wszystko: gdyby mu przyszła ochota wziąć którą pod brodę, uszczypnąć w policzek, albo broń Boże pocałować, nie wzdragałyby się ani na chwilę, choćby dlatego że nie wiedziałyby jak się to robi. Niezaradność życiowa w najprostszych sytuacjach tych uroczych istot chowanych niby pod kloszem jest rozczulająca.

Znoszą stosami rannych, leje się krew, ropa, chorzy jęczą... wszystko nic; dla tych istot mających inne poglądy na śmierć, żyjących fantastycznym życiem, to wciąż karnawał, to figury jakiegoś kotyliona.

„Pan doktor” bada ciężko chorego, który bliski jest ostatniego tchnienia: trzy siostry — trzy wielkie motyle w białych kwefach — bujają wkoło niego, każda myśli tylko, czym by mu usłużyć, czym by mu się przypodobać. I szemrzą bez ustanku: „Ach, pan doktor taki dobry!... pan doktor tak się męczy... pan doktor tak się poświęca”. A chory rzezi...

Był tam na moim oddziale „jednoroczny” kapral, młody tęgi chłopak, „dekujący się” przy sanitariuszach. Ten rozgościł się w klasztorze na dobre, kazał sobie wyporządzić jakiś pokoik i byczył się tam opychany przez siostrzyczki białą kawą i bułeczkami z masłem. Cieszyły się nim jak dzieci, kiedy im darować kotka z różową wstążeczką na szyi, wszystko

<sup>58</sup>„*Herr Doktor, diese ewige Literaturschreiberei werd ich nicht dulden!*” (niem.) — Panie doktorze, ta cała pisanina nie będzie tolerowana. [przypis edytorski]

z anielską naiwnością. „Pan doktor nie ma pojęcia, co to za śpioch, mówiły do mnie głaszcząc chłopca po twarzy; rano przychodzimy go oblewać zimną wodą, a jakie on ma laskotki” — etc. A chłopak tylko zęby szczyrzył i lypał ku mnie okiem. Niewinność tych scen trudna jest do opisania; tak by się musiały zachwycać anioły w niebie, gdyby się tam mógł zjawić młody kapral w autentycznej męskiej postaci.

Nadeszła jesień, wczesne wieczory, deszcz, melancholia 24-godzinnych dyżurów w szpitalu. Ściągałem czasem siostry do dyżurnego pokoju, siadałem wygodnie na kanapie, po jednej ręce sadowilem jakąś Porcjunkulę, po drugiej Serafitę czy coś podobnego, i gawędziliśmy godzinami niewinnie jak dzieci. Czasem nuda, smutek tej okropnej wojny — ot, psychoza wojenna! — nasuwały mi pomysły jakichś przewrotnych figlów. Zaczynam tak: wiedzą siostry, wczoraj w nocy przyszedł do mnie diabeł (okrzyk zgrozy siostr) i tak mnie kusił... Tu już mogłem wypłatać, co mi ślina na język przyniosła; pod tym diabelskim cudzysłowem mógłbym przemycić nawet najryzykowniejsze rzeczy, wszystko to brały dobre siostrzyczki za budującą rozmowę; od czasu do czasu wydawały tylko westchnienie lub lekki okrzyk dziwiący się zuchwałstwu lub wymyślności szatana. Aż mnie samemu było wstyd tej niewinności.

W rozmowach tych z siostrzyczkami poznałem nieco te ładne, naiwne dusze. Przekonałem się też, że potocznie kursujące pojęcia o klasztorze i zakonniczy to licha literatura. Wedle tej literatury eroso-psychowatej, zakonnica to młoda piękność wstępująca za kratę pod wpływem miłosnego zawodu i żyjąca tam albo z wiecznym słodkim uśmiechem rezygnacji, albo też szarpiąca kraty i tłukąca o nie głową z tęsknoty za światem. Otóż prawdziwy obraz jest bardzo inny. Zakonnice — to są przeważnie dziewczęta rekrutujące się z niższych klas, przeważnie nieładne, skłonne do marzycielstwa lub po prostu nie mające — wedle tego, co widzą dokoła siebie — odwagi do życia. Świat przedstawia się w oczach takiej dziewczyny w formie beznadziejnej egzystencji jakiejś nieładnej szwaczki itp., lub, w razie zamążpójścia, w postaci jakiegoś rzemieślnika wdowca z kilkorgiem dzieci, brutalą zaglądnącego do kieliszka. Z jednej strony dom, ciasnota, zaduch życia między balią a kuchnią — z drugiej kościół napelniony wonią kadzideł, dźwiękiem organów, a w nim, w stallach, tajemnicze postacie w białych kwefach i powłóczystych szatach... Jest to olbrzymi awans socjalny dla takiej dziewczyny, dostojność przemawiające do wyobraźni, spokój... Sądzę zresztą, że są to z urodzenia natury marzycielskie, może te, które w innych warunkach miałyby coś z artystek? Czy, dostawszy się za furte, tęsknią za światem? Wątpię. Ten świat, jak wspomniałem, nie jest dla nich w niczym podobny do głosu wędrownego rycerza z *Erosa i Psyche*, nie umiałyby się w nim poruszać, nie przychodzi im to zapewne na myśl. A „zmysły”? Żyjemy w klimacie raczej chłodnym; zresztą tajemnice ekstazy mają swoją subtelną zmysłowość, wyższą zapewne od tego, co może dać takiej dziewczynie nędzne życie, które byłoby jej udziałem. Nie żałujmy tedy siostrzyczek, kiedy je spotkamy przypadkiem na ulicy; raczej uśmiechnijmy się do nich...

Diabeł, Żart, Cnota

Kobieta, Pozycja społeczna

## GONITWA MYŚLI

Czy wiecie, co to jest gonitwa myśli? Zajrzyjcie do podręczników psychiatrii, a dowiecie się, że to jest cierpienie bardzo przykre, prawie tak groźne jak krypto-epilepsja. Gonitwa myśli (raczej dosłownie, wedle niemieckiego terminu, „ucieczka myśli”, *Gedankenflucht*) jest to niemożność utrzymania myśli przez parę minut przy jednym przedmiocie, co wytwarza dość przykry chaos w głowie. Symptom ten może być zresztą nie stały, ale okresowy.

A przyprawił mnie o taki atak gonitwy myśli redaktor, który spytał niebacznie: „O czym pan nam da felieton na święta?” Od tego czasu chodzę ze spuchniętą głową, powtarzając machinalnie: „O czym ja dam felieton na święta, o czym ja dam felieton na święta?” Na cokolwiek spojrzę, widzę felieton na święta, świat przedstawia mi się jako wielka hala targowa z surowcami felietonów na święta. W końcu, zdenerwowany, zamykam się w pokoju, kładę się na łóżku, ale i tu prześladowuje mnie felieton na święta.

Może by o tym:

Jadłem raz we Francji śniadanie w dostojnym towarzystwie. Było między innymi paru generałów; w rozmowie zeszli na sprawy wielkiej wojny. Mówili o tym, jak fałszywie historia wojskowa będzie sądziła wiele rzeczy, na ile luk się natknie: najciekawsze do-

kumenty, najbardziej poufne nieraz komentarze przepadają po prostu dlatego, że wiele rzeczy załatwiano się telefonicznie, bez utrwalenia pismem. Jako przykład cytują pertraktacje w sprawie jakiegoś ataku, przed którym zachodziły kolizje między Francuzami a Anglikami...

O! temat do felietonu: telefon jako wróg historii, jego niszczyielska rola...

Ale już myśl mi uciekła... Uderza mnie co innego: telefon a literatura. Machinalnie robię inwentarz, czego by w literaturze nie było. Listów Heloizy i Abelarda... może; — listów panny de Lespinasse nie byłoby na pewno. Julia de Lespinasse<sup>59</sup> telefonowałaby po prostu dziesięć razy dziennie do Guiberta<sup>60</sup>, dopadłaby go telefonem w każdym domu. I widzę taką scenę: Julia w wannie, przy niej małeńki biały aparacik w stylu Pompadour, i mówi, mówi... Na drugim końcu przewodu, u siebie, Guibert trzyma słuchawkę, wije się w fotelu i szarpie na sobie żaboty. Naraz dzwonek: lokaj wprowadza panią de Montsaugue. Nie odkładając słuchawki, Guibert bierze ją na kolana, niebawem głos jego do tuby staje się cieplejszy, słowa mimo woli serdeczniejsze. I Julia kończy rozmowę uspokojona...

Znów myśl mi uciekła... Słyszę szum słów spływających po drucie. Słowa twarde, tkliwe, mądre, głupie, słowa wszystkich kolorów, na wszystkie melodie, słowa, słowa, słowa, jak powiedział... mniejsza o to kto. I uderza mnie jakby zupełnie coś nowego: słowo, co to jest słowo? Jaka jest jego funkcja? Gdyby słowo miało realną wartość, w takim razie, wnioskując przez analogię z innymi dobrami, każdy by je wołał brać niż rozdawać; tymczasem jest wręcz przeciwnie. Jeżeli szukasz znajomości z tzw. interesującym człowiekiem, to po to, aby mu nie dać dojść do słowa, tylko gadać samemu. Formuła rozmowy: każdy udaje przez chwilę, że słucha, aby w zamian ktoś potem udawał chwilę, że słucha jego. Mam znajomego, który namiętnie lubi ściśle dysputy filozoficzne, ale nigdy nie słucha odpowiedzi partnera... I nic mu to nie przeszkadza. I zacząłem zastanawiać się, czym właściwie jest słowo...

Tu nagle przeskoczyło mi coś w głowie; aforyzm, paradoks: „Czemu tak długo świat lekceważył kobietę, która kilkunastu mężczyznom dała szczęście, a szanował tę, która jednemu zatrula życie?”

...czym właściwie jest słowo? I przyszła mi do głowy teoria, która tłumaczyłaby wszystko: słowo jest *wydzieliną*. Teoria bardzo nowoczesna. Istotne życie duchowe człowieka odbywa się podświadomie; jego ubocznym niejako produktem jest myśl, jeszcze uboczniejszym słowo, rodzaj ekskrementu, którego organizm musi się pozbyć pod grozą intoksykacji. Kwestia raczej ilościowa, niż jakościowa. Możesz rozmawiać przy *table d'hôte*<sup>61</sup> o wczorajszej pogodzie z Chińczykiem, którego nigdy więcej w życiu nie zobaczysz, ale pewną ilość słów wydzielić musisz. Wydzielanie słowa ma swoją fizjologię i patologię, ma swoje prawidła, które czekają odkrywcy...

Znów mi przeskoczyło. Przypomniało mi się, co mi mówił pewien starszy pan, wielki logik, z powodu mego felietonu *Asnyk i dziewczyna*. „Tak, młody człowieku (mówił mi), logicznie biorąc, kobiety powinny najbardziej kochać starych mężczyzn: taki jej nigdy nie zaspokoi, więc go ciągle pragnie”...

Oho! przepadło, fiut! Już zapomniałem, co chciałem mówić o fizjologii i patologii słowa. Ale przyszło mi na myśl co innego: czemu Polacy coraz niedokładniej się nim posługują? Trochę, sądzę, przyczyną tego jest zanik kultury klasycznej. Mnóstwo naszych słów jest pochodzenia łacińskiego lub greckiego; że zaś jesteśmy coraz mniej poufale z tymi językami, wynika stąd niedokładne rozróżnianie źródłosłów, tym samym nieściśle różniczkowanie treści. Zauważyłem na przykład, że wielu wykształconych ludzi nie odróżnia słowa *adaptować* od *adoptować*, używając przeważnie tego ostatniego w obu znaczeniach, gdy to są dwa słowa zupełnie różne, o różnej etymologii i sensie. Słabo rozróżnia wiele osób słowo *mityczny* a *mistyczny*. Ilekroć aktor ma powiedzieć w roli „mityczny”, zawsze prawie powie „mistyczny”...

<sup>59</sup> *Lespinasse de, Julie* (1732–1776) — fr. pisarka, prowadziła w Paryżu salon, w którym bywali m.in. encyklopedyści. Pisywała listy do swoich przyjaciół, także do hrabiego de Guiberta, w którym była zakochana. [przypis edytorski]

<sup>60</sup> *Guibert de, Jacques-Antoine-Hippolyte* (1743–1790) — fr. wojskowy, autor cenionych traktatów o tematyce militarnej. [przypis edytorski]

<sup>61</sup> *table d'hôte* (fr.: stół dla gości) — posiłki w hotelu lub pensjonacie, podawane o stałych porach wszystkim gościom. [przypis edytorski]

Kobieta "upadła", Żona

Słowo

*Mistyczny...* I znów gonitwa myśli: mistyka elegancji kobiecej. Polega na tym, aby nosić to, co wszyscy, i zarazem to, co nikt. „Takie kapelusze noszą. Takiego kapelusza nie ma jeszcze nikt”. Nie każdy umie zrozumieć tę mistykę prawdziwego wykwiutu...

Wykwint... Och, ta gonitwa myśli: *wykwint*, słowo rodzime, a też zauważyłem, że zatracą się jego poczucie, nawet w sferach literackich. Coraz częściej myślą je z *wykwitem*; mówią na przykład wykwiut epoki, wykwiut kultury, tam gdzie najwyraźniej chce ktoś powiedzieć *wykwit*. To zaczyna być niepokojące. I przyszło mi na myśl, że koniecznie któreś z naszych pism powinno stworzyć „kącik językowy”, gdzie by można różne takie objawy notować, gdzie by się można skarżyć, roztrząsać, dysputować, stawiać pytania, odpowiadać na nie i ratować czystość języka, ginącą w dzisiejszym pośpiechu i chaosie...

Chaos... Nagle, nie wiem skąd, przypomina mi się jedno zabawne powiedzenie. Pewien czołowy francuski pisarz neo-katolicki pojechał z odczytami do Ameryki. Przyjmowano go bardzo serdecznie. Po licznych koktajlach, któryś z tubylców zadał mu nieco naiwne pytanie, co to właściwie jest neo-katolik. Wielki pisarz uśmiechnął się i rzekł: „Neo-katolik — to jest człowiek, który nie wierzy, że jest Bóg, ale wierzy, że Maria jest Matką Bożą...”.

O czym mówiliśmy? O chaosie. Ale nie tylko co do użytku słów panuje chaos. Nie mniejszy jest w czym innym: w cytatach. Mamy dość szczupły — z własnej winy zresztą — skarbiec swoich cytatów i chętnie posługujemy się cytatami cudzymi; że jednak wykształcenie robi się powierzchowne, zdarzają się w tym zabawne *qui pro quo*, które można by określić przysłowiem: „słyszał, że dzwonią, ale nie wie, w którym kościele”. Tak np., z powodu moich nieszczęsnych *Dziewic konsystorskich*, ogłosił ktoś w piśmie *Pro Christo* kilkunastostronicowy polemiczny artykuł, wyjątkowo zresztą pisany bez wyzwisk i obelg. Otóż autor używa — i to kilkakrotnie — następującego cytatu: „*écrasez l'infâme, il restera toujours quelque chose*”. Nonsens ten jest nieświadomym zlepkim dwóch powiedzeń: „*écrasez l'infâme*”<sup>62</sup>, którego użył Wolter w korespondencji z królem Fryderykiem, i „*calomniez, calomniez, il restera toujours quelque chose*”<sup>63</sup>, którego użył, zdaje mi się, Beaumarchais, w *Cyruliku Sewilskim*.

To przykład jaskrawy; ale dyskretniejsze spotyka się na każdym kroku. Młoda nieznaną panią wystosowała do mnie list; odpisałem jej kilka słów. W nowym liście panią pisze:

„W pierwszej chwili po otworzeniu tej kochanej żółtej koperty oniemiałam z radości, a potem krzyknęłam *heureka*”.

Najwyraźniej młoda osóbką jest przekonana, że „heureka” znaczy coś w rodzaju „hura”. Kiedy się chciałem podzielić tym spostrzeżeniem z paroma osobami, ujrzałem twarze zakłopotane: odgadłem, że nikt już nie wie, co znaczy *heureka* (czy *eureka*, bo sam nie pamiętam...).

Skoro mowa o cytatach, nieraz zastanawiałem się, jak martwą pozycją jest u nas ten wyborny bodziec intelektu. Pokutują u nas, zwłaszcza w prasie, cytaty wciąż te same, nie odświeżane, banalne, nic nie mówiące, różnojęzyczne, *last not least*<sup>64</sup>, *si non e vero*<sup>65</sup> etc. Przypina się je jak kwiatki do kożucha. Czasem błąka się jakiś strzęp cytatu, niekształcony, zmurszały, straszący jak upiór. Tak na przykład czyta się czasem: „to mu jest Hekubą”<sup>66</sup>. Przypadkowo znam pochodzenie tego zwrotu, ale czy wielu czytelników wie, co on ma znaczyć? A wszak cytat ma być objaśnieniem, a nie czymś, co wymaga objaśnienia. Poza tym mamy cytaty patetyczne, odświętne, jak np. „świętości nie szargać” etc., używane przeważnie na to, aby tłumaczyć myśl, gdy twórcy ich chcieli tę myśl obudzić.

<sup>62</sup>*écrasez l'infâme* (fr.) — zniszczcie tę hańbę. Wezwanie, które często powtarzał Voltaire w swoich listach. Hańbą były według Voltaira przesady, zakłamanie, fanatyzm religijny. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*calomniez, calomniez, il restera toujours quelque chose* (fr.) — szkalujcie, szkalujcie, zawsze coś przyłgnie. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*last not least* (ang.) — ostatni według kolejności, ale nie najmniej ważny. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>*si non e vero* (wł.) — jeśli to nieprawda; całość cytatu brzmi: *Si non e vero, e ben trovato*, jeśli to nie jest prawdziwe, to jednak dobrze wymyślone. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>*to mu jest Hekubą* — właśc. *What's Hecuba to him, or he to Hecuba, that he should weep for her?* (ang.): „Cóż z nim Hekuba, on z nią ma wspólnego, żeby aż płakał nad jej losem?”; Wiliam Szekspir, *Hamlet* akt 2, scena 2. *Hekuba* a. *Hekabe* (mit. gr.) — żona Priama, królowa Troi. Straciła wszystkie swoje dzieci podczas wojny trojańskiej. [przypis edytorski]



Ale cytat jako skrót myśli, pozwalający błyskawicznie ją sprecyzować i zgęścić, przeciąć zbyteczną dyskusję, położyć nieomylnie palec na bolącym miejscu, jest u nas bardzo mało używany. Cytat w tym sensie w jakim np. dla Francuzów jest jego kopalnią Molière, a dla Niemców Goethe. Gdyby tak powstało „Towarzystwo przyjaciół polskiego cytatu”, albo znów w jakimś piśmie „kącik cytatu”, gdzie by utrwalano, wbijano w pamięć takie lapidarne zgęszczenia myśli, gromadzono ten ich kapitał! Ileż zbytecznych słów dzięki temu można by oszczędzić!

Ale, wobec tego, że słowo jest wydzieliną...

Znów gonitwa myśli: nie wiem skąd, przypomniała mi się najautentyczniejsza historia. W pewnym domu mieszkało stadło, malarz i aktorka (bardzo utalentowana, już nie żyje, odebrała sobie życie). Między małżeństwem tym przychodziło często do scysji, od których dom się trząsał. Jednego dnia odgłosy bitwy były tak gwałtowne, że sąsiedzi wdarli się do mieszkania na ratunek; sąsiadka uprowadziła młodą kobietę, posiniaczoną, zapłakaną. Zaczęła lamentować na swój los. — Ale powiedz mi, czemuś ty za niego wyszła — pytała sąsiadka. — Myślałam, że się odczepi, odparła łkając...

W tym samym celu spisuję te moje „goniące się myśli”. (Au, au, cóż za ryzykowna asocjacja!) Żeby się odczepiły...

### DESPOTA ROMANTYK SZUKA UCZCIWEJ PROPOZYCJI...

Sądzę, iż przyszedł badacz obyczajów, przerzucający niecierpliwą ręką foliały naszych dzienników, aby z nich wyczytać sens przeszłości, najdłużej zatrzyma się nad rubryką *drobnych ogłoszeń*. Tam to w istocie odbijają się najwierniej ważne sprawy życia; w każdym razie to jest pewne, że tam życie tłumaczy się zwięźle, jasno, celowo, nie zagmatwane przedzą frazesów, nie utopione w mętnej wodzie słów. Tu każde słowo jest ważne, bo za każde się — dosłownie — płaci. To jest życie zgęszczone, w pigułkach. To są, w skrócie, dramaty, powieści psychologiczne, farsy, które, dawszy folgę wyobraźni, można rozsnuwać sobie wedle upodobania. Czasem sformułowania te są naiwne, niezręczne, czasem pretensjonalne, ale zawsze zajmujące. Co do mnie, przyznaję, że to jest moja ulubiona rubryka; prawie jedyną jaką czytuję.

Jak gdyby przeczytując moje upodobania, przesłał mi przed kilku dniami jakiś nieznanzy czytelnik (lub czytelniczka) z prowincji taki wycinek z miejscowego pisma:

*PANIE* z towarzystwa (matka i córka) pożądamy kilku młodych dzielnych, energicznych, wesołych, pełnych sił Panów za lokatorów do mieszkania z utrzymaniem i wszelkimi dogodnościami. Ewentualnie zawiążą interes spółkowy.

To jest anons, nad którym można się zadumać, anons co się zowie *zagadkowy*. Co to za matka i córka? Do czego im ci panowie? Co za interes chcą zawiązać? Same tajemnice. A takich, i dużo oryginalniejszych jeszcze, są setki. To znów inny, który znalazłem wczoraj w jednym z najpoczytniejszych pism:

*DESPOTA* romantyk — o wysokiej kulturze moralnej, 29-letni, zdrowy, silny, niezamożny — urzędnik — szuka uczciwej propozycji. Łaskawe zgłoszenia dla „Prezentatywny”.

Prawie wszystkie te anonse wielbią brutalną siłę. Toteż uderzył mnie swą subtelnością inny, z tego samego dziennika, który głosi, iż:

*SIEROTA* lat 36, szuka pana od lat 40 do 70. Cel matrymonialny, może być wątłego zdrowia.

Ale nie tylko przez ciekawość literata i dyletanta interesowałem się zawsze tym działem. Potrąca on we mnie fibry<sup>67</sup> humanitarne. Jest to rubryka najbardziej bezpośrednio i najmniej wątpliwie pracująca dla szczęścia ludzi. Bo zważmy: tam gdzie nie ma nic, gdzie nie ma warunków do życia, tam i Salomon nie poradzi. Ale niedostatek szczęścia na ziemi polega przeważnie na czym innym; na ciągłym mijaniu się, na niewiedzeniu

Los, Szczęście

<sup>67</sup>*fibry* (z fr.) — struny; nerwy (włókna nerwowe). [przypis edytorski]

o sobie, na nieporozumieniu a raczej braku porozumienia. Pełno chodzi po świecie elementów (niekoniecznie erotycznej natury), które zespolone razem, dałyby szczęście czy zaspokojenie potrzeby, a które, nie wiedząc wzajem o sobie, ocierają się może o siebie na ulicy i tragicznie się mijają. Dla mnie ta myśl była zawsze szczególnie przejmująca.

Drobne ogłoszenie — to jest ucieleśniona bajka. Niegdyś królewicz objeżdżał — z jakąż fatygą! — świat, przymierzając szklany pantofelek, nim trafił na Kopciuszka. Dziś daje anons, miarę pantofelka — za tydzień może osiąść swoją królową. Każde pragnienie, każda bodaj perwersja (i perwersja jest człowiek!) znajdzie swoje dopełnienie; miast karmić się bezpłodnymi marzeniami, krzyczy dyskretnie a głośno: „oto jestem, kto mnie potrzebuje, kto mnie zaspokoi?”. Masz pieniądze, a pragniesz kobiety z warkoczem do ziemi; nie wąż ani na chwilę, że gdzieś na obszarze ziem polskich żyje kobieta, która ma warkocz do ziemi a pragnie pieniędzy. Lubisz po obiedzie ćwiczyć kobietę dyscypliną z drucianymi haczykami; bądź pewien, że istnieje gdzieś kobieta, która marzy o takim właśnie wyrazie uczuć. Mały anons — porozumieliście się; i oto jest jedno szczęście w miejsce dwóch niezaspokojeń.

Raz prawda ta stała mi się szczególnie namacalna. W tym samym numerze gazety znalazłem dwa anonse: w jednym dystyngowany pan oznajmia gotowość użyczenia (za odszkodowaniem) dobrego szlacheckiego nazwiska dla fikcyjnego małżeństwa, na tej samej zaś stronicy kobieta szuka pana z dobrym nazwiskiem dla takiego właśnie celu. I jakżeby się tacy znaleźli wzajem bez dobroczynnego anonsu?

Otóż, w dobie rozkwitu wszelkiej drobnej korespondencji warto może przypomnieć, kto był bodajże pierwszym jej inicjatorem. Był nim ojciec Michała Montaigne<sup>68</sup>, jak się dowiadujemy o tym z pism wielkiego filozofa. Ojciec Montaigne'a był to w ogóle człowiek pełen pomysłów; tak na przykład, wychowując syna, wpadł na myśl, aby, szanując jego system nerwowy w niemowlęctwie, budzić go łagodnie dźwiękami muzyki. On również dla dwuletniego Michałka wynajął rektora uniwersytetu, najtęższego łacinnika w Europie, iżby nie odstępował malca na krok i chronił go od styczności z wszelkim innym językiem prócz najwyborniejszej łaciny. Wyobraźmy sobie rektora Przychockiego w tej roli! Wszystkie piastunki i służebne musiały umieć po łacinie na tyle, aby dzieciak nie usłyszał innej mowy.

Temu to szesnastowiecznemu szlachcicowi wpadło na myśl, że często się zdarza, iż ktoś czegoś potrzebuje, dajmy na to konia, zbroi lub czego innego, a drugi ma to na zbyciu i nie wiedzą o sobie wzajem: byłoby pożądane (rozumował), aby w jakimś na ten cel przeznaczonym miejscu mogli zgłaszać swoje potrzeby i oferty. Oto sformułowana jasno zasada „drobnego anonsu”, postawiona w samym początku XVI wieku; ileż czasu trzeba było, aby się urzeczywistniła! Jakże powoli posuwa się ludzkość w najprostszych zdawałoby się i najpotrzebniejszych rzeczach!

Bądź co bądź, starszemu panu Montaigne nie przychodziło zapewne na myśl, że ta projektowana przezeń drobna korespondencja będzie kiedyś tyczyła przedmiotu, który jest zarazem najbardziej poszukiwany i najbardziej na zbyciu — miłości. Bo wszak większość ogłoszeń, nawet w zacnej rubryce „matrymonialne”, to są po prostu anonse miłosne. Byłoby dla dziejów ludzkości pierwszorzędnym dokumentem, gdyby można było w jakiś sposób ustalić rezultaty tych ogłoszeń.

Kiedy dumalem nad tym przedmiotem, przyszło mi na myśl zajrzeć, jak się dziś ta rubryka przedstawia w pismach zagranicznych. Pamiętałem z dawnych lat nieocenioną „Petite correspondance” paryskiego „Journal”; wzięłem najświeższy numer tego pisma do ręki. Na próżno; nie znalazłem nic, nie znalazłem w ogóle tej rubryki. Same ogłoszenia handlowe, lokale, praca poszukiwana lub na zbyciu, kupno, sprzedaż, ale ani krzty serca na tych długich i gęsto wypełnionych szpaltach. Znikła ta rubryka, dla której — jakże bezinteresownie! — stale kupowałem za 1 sou<sup>69</sup> „Journal” w czasie pierwszego mego pobytu w Paryżu. Za pomocą tego działu porozumiewały się osoby, które nie mogły widocznie korespondować inaczej; tam niewierny kochanek błagał zgniewaną lubą zmiłowania, tamtędy przysyłało się ukochanej tkliwe słowa w czasie jej wyjazdu z mężem do wód lub nad morze. Była to rubryka nabrzmiała czułością, spęczniała od krwi i soku, że

<sup>68</sup>Montaigne, Michał, *Montaigne de, Michel Eyquem* (1533–1592) — fr. pisarz epoki renesansu, filozof, humanista. Uważany za twórcę eseju jako gatunku literackiego. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>sou (fr.) — daw. drobna moneta fr. [przypis edytorski]

zaś zarazem była dosyć kosztowna (2 franki — przedwojenne — od wiersza), więc starano się wyzskać miejsce: stąd zabawny kontrast między patosem wielkich słów a groszową oszczędnością w ich wyrażeniu. Nie tylko czułości i zaklęcia były redagowane w stylu telegraficznym, ale i słowa były przeważnie skrócone, zwłaszcza te najczęstsze: na przykład *tendresse* (tkliwość) pisano *trsse* w odróżnieniu od *tstse* oznaczających *tristesse*, smutek. Rozpacz, *desespoir*, pisało się *dspoir*, lub nawet *dspr*. Nawet grożąc swoją śmiercią, kochanek skracał *mort* na *mrt*; zawsze litera oszczędności, ziarno do ziarnka. Była w tym może nie tylko oszczędność, ale i wstydlivość; te skróty miały coś dyskretnie zawołanego. Kiedy czasem zdarzyło się, że jakiś roznamiętniony Krezus wywalił kilkanaście wierszy czułości bez skrótów, wyglądało to niemal nieprzyzwoicie, brutalnie. Pasjami lubiłem czytać tę rubryczkę, szedł od niej zapach perfum, kobiety i miłości, była w niej niby esencja owych „światowych” powieści — Bourget<sup>70</sup>, Maupassant<sup>71</sup> etc. — którymi karmiłem się w dzieciństwie. Niektóre korespondencje były w swoim lakonizmie bardzo ładne; utkwilo mi w pamięci na przykład to: *Reçu délicieuse lettre; à quand toi?*<sup>72</sup> To: *à quand toi?* Wzruszało mnie; długo marzyłem o tej, do której było pisane...

Nie ja jeden studiowałem tę rubrykę, byli jej amatorzy, znawcy, którzy obserwowali nawet jej zmiany i jej związki z porami roku. W epoce letnich wyjazdów, pod koniec przymusowych rozłączeń i postów, w sierpniu, krzyki jej stawały się szczególnie naglące. Willa w Trouville, żona posyła męża, aby jej kupił „Journal”, i szuka oczyma, od niechcenia a z bijącym sercem...

Zacząłem się zastanawiać, czemu ta drobna korespondencja w paryskich pismach zanikła? Znow można by w tym drobnym fakcie znaleźć wyraz głębokiej przemiany obyczajowej. Wyparł tę korespondencję zapewne telefon, połączony ze wzmożonym incognito; kobieta krąży swobodnie, telefonuje skąd chce, z kawiarni, z magazynu. Pod lekkimi koszulkami, które nazywa się dziś suknią, serce bije swobodniej niż niegdyś pod ciasną sznurówką. I widocznie ta rubryka straciła tam rację bytu. Została wspomnieniem epoki, gdy wåsaci panowie drżącymi palcami rozpinali potrójne rzędy haftek u długich, aksamitnych sukien, i gdy Paweł Bourget, dziś święty pański, pisał swoją gorszącą *Physiologie de l'amour moderne*.

Przypadkowo pamiętam moment, kiedy „drobna korespondencja” zawitała pierwszy raz do Polski. Powstał — ze 20 lat temu — w Krakowie dzienniczek brukowy, jeden z pierwszych tego typu — tytułu już nie pomnę — i jako nowość wprowadził ten dział. Pierwszy tekst, który się tam pojawił, brzmiał:

O, jakże się zasmuciłem, czytając te słowa, tak profanujące rubrykę, której symbolem było dla mnie owo: *Reçu délicieuse lettre, à quand toi?* I od tego czasu śledzę tę rubryczkę w polskich pismach; znajduję w niej często skarby mimowolnego humoru, ale nigdy, ani razu, nie zdarzyło mi się w niej spotkać iskry poezji. To niedobrze, to bardzo niedobrze...

## SOLWEG SZUKA CZŁOWIEKA...

Jednym z uroków zawodu felietonisty jest bezpośrednie współzycie z publicznością. Odsłuch, jaki się znajduje, telefony, listy — wszystko to jakże zstokrotnia<sup>73</sup> puls osobistego życia, płynącego zawsze zbyt leniwo... Zwłaszcza gdy się poruszy jakąś kwestię szczególnie żywotną, jak np. w moim ostatnim felietonie o *Drobnych ogłoszeniach*. Ileż zamigotało mi światelek, ileż otrzymałem rewelacji! To, com ujrział przez uchyloną szparkę „dzisiejszości”, zdumiało mnie. Nie bardzo mam czas żyć: raczej odgaduję życie współczesne, niż je znam; toteż, gdy mi się gdzieś odsłoni jego rąbek, patrzę z szeroko otwartymi oczami. Okazało się, że „drobna korespondencja” to cały odrębny, tajemniczy świat; że krążą pod ziemią listy, hasła, nawoływania się, że istnieje cała wielka masoneria poszukiwaczy szczęścia obojej płci. Ten świat podziemny ma coś z balu maskowego, gdzie nikt się nie

Kondycja ludzka

<sup>70</sup>Bourget, Paul (1852–1935) — fr. pisarz, autor powieści psychologicznych, uważany za najlepszego obserwatora obyczajów swoich czasów. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>Maupassant de, Guy (1850–1893) — fr. pisarz, autor opowiadań obyczajowych. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*Reçu délicieuse lettre; à quand toi?* (fr.) — otrzymałem cudowny list; do kiedy ty? [przypis edytorski]

<sup>73</sup>zstokrotniać — dziś: ustokrotniać. [przypis edytorski]

zna (cóż łatwiejszego, jak zmienić nazwisko, charakter, zmylić ślady!); myśli, poglądy, pragnienia, uczynki, objawiają się śmieiej, ludzie mówią z sobą prosto i szybko.

Może to wszystko razem jest ociupinkę niemoralne? Kto chce, niech rzuca kamieniem; ja — wyznając szczerze — nie umiem. Kto sobie żywo uprzytomni niedole poprzednich pokoleń, ten nie odważy się potępić życia dzisiejszego, ten raczej wielbi je ze wszystkimi jego skazami. Na co ja patrzałem! Ileż panien „z dobrych domów” a bez posagu, ślicznych, hoźych, rwących się do życia, obumierających z wolna w jałowym „staropanieństwie”, które nie dość że było męką, ale było i wstydem. A te domy, gdzie Bóg zesłał trzy, cztery bezrobotne córki, cóż za dantejskie piekło, atmosfera w swej musowej „cnocie” duszniejsza niż dom publiczny! A te tragiczne pary: matka ze starzejącą się córką snującą się po balach, festynach, z fałszywym uśmiechem na ustach, a żółcią i rozpaczą w duszy. Nie, nie umiem się dąsać na dzisiejsze życie. Żyjcie, dziewczęta, radźcie o sobie jak możecie, a choćbyście nawet trochę pobroiły, daję wam moje błogosławieństwo.

Ale przejdźmy do dokumentów. Dokumenty — to moja słabość. Skąd je mam? — Czytelnicy, wierni czytelnicy, dostarczyli mi wszystkiego. Mam w ręku całe pliki.

Jakże się zmienił zawód don Juana! Zamiast przebiegać ulice i bale publiczne, staczać krwawe pojedynki, zamiast wykradać żonę z za ryglów męża, pannę zabierać z objęć narzeczonego — daje anons. Otrzymuje dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt listów, zależnie od mirażów anonsu. Odpowiada albo nie, wybiera bardziej interesujące, prowadzi korespondencję, odbiera zwierzenia, spowiedzi (często zmyślone, czasem naiwne szczerze), fotografie, wreszcie naznacza schadzki. Oczywiście niepodobna aby to wszystko miał w głowie; musi prowadzić buchalterię, istny „dziennik podawczy”. (Mam jeden taki dziennik w ręku). Są tam odsyłacze do korespondencji, umieszczonej w oddzielnych paczkach; uwagi, komentarze, wrażenia osobistych spotkań; wreszcie, jako synteza: stopień — jak w szkole — dawany petentkom. Z czasem staje się to pasją, rodzajem „krzyżówki”; poznawanie coraz nowych typów, odbieranie coraz nowych listów, prowadzenie w miarę ochoty tej gry, ożywionej od czasu do czasu jakimś ładnym lub zajmującym epizodem, to staje się pasją, i w istocie jakże znakomicie rozszerza skalę możliwości życiowych! Toż samo dla kobiet; cóż za emocje przy wysłaniu swojego listu: czy ją zauważą w tłumie, czy przyjdzie odpowiedź, istna loteria klasowa kobiecości. Widziałem dziennik męczyzny, który ogłosił dwie różnie brzmiące oferty; otrzymał od kilku kobiet zgłoszenia na obie, w listach brzmiących zupełnie identycznie...

Bardzo interesujący dokument, te listy, których mi użyczono. Szeroka skala, rozmaitość sfer. Są bidulki szukające trochę pomocy, są dumne panny, szukające wrażeń i tajemnicy, ląknące podziemnego życia, które by ich nie krępowało w „ich świecie”. Rozmaitość aż do ortografii: jedne piszą *haotycznie* przez *h*, drugie z kokieterią cytują... Arystoteles; jedne piszą urzędownie: „zainteresowana ofertą szan. Pana, proszę uprzejmie”...; gdy drugie tryskają na niewidziane skarbnicami liryzmu: „Przyjdź!... daj moc pocałunków!... A może to mój wyśniony? Jestem delikatną roślinką cieplarnianą, która potrzebuje dużo, dużo ciepła... słońca, pieszczoty, poezji”...

Inna, wymieniając swoje kwalifikacje w świetle stawianych żądań, pisze: „...z temperamentem gorzej. Swoją drogą chciałabym poznać pana szukającego temperamentu”.

Inna: „...być sobą, w złym i dobrym, aż do zuchwałości, uważam za szczęście”...

Inna, krótko: „Mam zalety fizyczne i moralne, o których nie lubię mówić”...

Inna: „Jestem blondasem, mam lat 19”...

Inna: „Jestem chaosem, zbiorem krańcowości”...

(Wybieraj teraz, człeku, co wolisz, blondasa czy chaosa?)

A to biedactwo: „Szanowny panie! Pragnęłabym poznać pana, ale takiego dobrego, kochanego, żeby mógł pomóc mi materialnie, nie żądając w zamian nic, prócz gorących pocałunków i niewinnych pieszczot. Mam taki wstrętny kapelusz, a chciałabym mieć nowy, gdyż nadchodzi ta cudna wiosna. Przepraszam za śmiałość i za bezczelność; gdy się poznamy, opowiem wszystko szczerze. Mam lat 20, jestem blondynką”... etc.

Tu i ówdzie uderza zjawisko lingwistyczne, które raz już notowałem: dezorientacja w cudzoziemskich słowach, np. „proszę o wyjawienie swego *alibi*”...

Tu znów cała mała komedia w 3 aktach i w dwóch tygodniach.

Oferta: „Zamożny, przystojny, lat 35, szuka młodej przyjaciółki, przystojnej, szczupłej, z temperamentem”. A oto trzy kolejne listy jednej z „reflektantek”.

Kondycja ludzka, Obyczaje,  
Kobieta

## LIST I

*14 marca*

Szanowny Panie! W związku z ogłoszeniem... zgłaszam swoją kandydaturę.

Mam lat 22. Posiadam średnie wykształcenie ogólne oraz studia specjalne z dziedziny nauk politycznych i społecznych. Przez pewien czas byłam urzędniczką państwową, obecnie bez stałego zajęcia.

Jestem szatynką, średniego wzrostu, szczupłą (zgrabna, elegancka), mówią, że b. ładną i miłą...

W oczekiwaniu łaskawej odpowiedzi pozostaję...

## LIST II

*20 marca*

Szanowny Panie! Jestem więcej niż speszona pana odpowiedzią. Ach! jaki złośliwiec... Teraz nie wiem, co mam pisać; z góry jestem przeświadczona, że wszystko, co napiszę, będzie sztywne, urzędowe, niemiłe... Wobec tego, będę się starała streścić uzupełnienie mojego poprzedniego listu:

Wiek, wygląd zewnętrzny jest już panu znany z „urzędowej oferty”. Poza tym niewiele mogę napisać o sobie. Inteligentna, wesoła, pieszczocha (marzę o wyrafinowanych pieszczotach).

Co do przeszłości, to dosyć skromna; jak na osobę pretendującą na tak samodzielne stanowisko, wołałabym, żeby była bogatsza moja przeszłość... Przed paroma laty miałam narzeczonego (studenta), kochaliśmy się i żyliśmy jak małżeństwo, oczywiście w tajemnicy przed światem... narzeczeństwo pozostało zerwane i prawie od roku jestem wolną. Poza tym do nikogo nie należałam.

Od dłuższego czasu zaczęłam interesować się anonsami. Po długich wahaniach złożyłam dwie oferty, jedna z nich była do Pana. Poszukuję przyjaciela, który dopomógłby mi materialnie przez pewien okres czasu i dla którego chciałabym być wszystkim: kochanką, przyjacielem, kolegą, etc. Kochać go i żyć tylko dla niego!

Ponieważ pozostawił mi pan inicjatywę naszego spotkania się, przeto wyznaczam piątek, tj. 22 b. m. o godz. 8 wieczorem w cukierni Fruzińskiego, Wilcza róg Marszałkowskiej (nigdy tam nie byłam).

Dla łatwiejszego zorientowania się podaję jak będę ubrana... Wzrost średni, zgrabna, szatynka, oczy piwne, b. przystojna. Gdyby naznaczony przeze mnie termin był dla pana niewygodny, proszę uprzejmie mnie zawiadomić. Oczekując miłego spotkania pozostaję.

P.S. Wybacz mi pan, że napisałam na urzędowym papierze, lecz sklepy są zamknięte, a w mieszkaniu mam tylko blok.

## LIST III

*28 marca*

Łaskawy panie Romanie!

Zaledwie dwie doby upłynęły od ostatniego widzenia się, a już piszę, muszę napisać...

Od chwili gdy sama znalazłam się w tramwaju, a następnie po kilku minutach w mieszkaniu, czułam się okropnie. Płakać mi się chciało i płakać. Dlaczego? Nie wiedziałam i nie wiem dotychczas.

Nie przestaję myśleć o panu ani na chwilę; to jest okropne, ale i miłe. Zawsze i wszędzie widzę pana, ale takiego w adamowym stroju, na otomannie. Te ostatnie chwile, które spędziłam u pana boku, pozostawiły niezatarte w mej pamięci wrażenie.

...Wyczułam, że nie znalazł pan we mnie tego, czego szukał, a ponieważ ja przyjąłabym tylko pierwsze miejsce i jedyne, wszystko jedno, czy to miałyby trwać miesiące, czy dni, lecz na szarym końcu nie chcę być ani godziny.

Wobec czego bardzo, ale to bardzo mocno proszę, aby mój Apollo nie odpisał mi i zapomniał o mnie. Miałam zamiar napisać dużo więcej, ale zdenewrował mnie sąsiad, który co chwila zerkał na mój stolik (jestem w bibliotece publicznej).

Życząc powodzenia, pozostaję z szacunkiem...

M.

P.S. Nie żałowałam i nie żałuję, że tak się stało, a nie inaczej. Pozostało wrażenie ujmujące i nadzwyczaj miłe. By zachować je jak najdłużej, zrezygnowałam z szukania przyjaciela. Ma to dużo ponętnych stron, ale są i przykre...

Czemu odeszła? Może czytelniczki odpowiedzą? O, kobieto, wieczny Sfinksie!... Oto dokumenty życia. Ale felieton mój miał i praktyczny skutek. Zgłosiła się do mnie listownie nieznajoma z prośbą o... umieszczenie jej anonsu.

...Ostatni felieton pański (pisze mi) o ogłoszeniach miłosnych, tak bardzo żywo i subtelnie dotykający spraw ludzkiego uczucia, przerwał tamę mej nieśmiałości.

Niejednokrotnie pragnęłam umieścić anons w sprawie „wymiany serca”, a przecież piętrzyło się wiele przeszkód, w pierwszym rzędzie moja nieśmiałość, bo skądże można żądać tak wiele szczęścia, aby znaleźć to, czego się pragnie!

Zwracam się z gorącą prośbą do pana dziś. Niechże pan, kochany panie Boyu, w najbliższym felietonie ułatwi mi taki anons i niechaj stanie się pośrednikiem miłości (przyjmując pod swym adresem oferty dla mnie pod „Solweg”<sup>74</sup>, które mi prześle po otrzymaniu tychże).

Oto ów anons<sup>75</sup>:

Szukam duszy w człowieku.

Pragnę miłości idealnej bez udziału zmysłów. Przyzywam duszę stęsknioną człowieka idei, chcę być jego natchnieniem w twórczej pracy, motorem wielkich poczynań, skierowanych dla dobra ludzkości.

Kto szuka kobiety takiej jak ja? Niechaj wybiegną naprzeciw siebie nasze tęsknoty, aby zbliżyć czas kwitnienia dusz w wielkie święto słonecznej miłości, która jest jako łaska boża, albo wędka w ręku szatana.

Niechaj ten, którego szukam, będzie niczyj, jako ja jestem niczyja, a przy tym niech czuje się każdym drgnieniem serca związany z całością kosmosu. Chcę mu rzec:

„Kochaj mnie, a świat będzie twoim”.

Obojętne mi jest wyznanie i narodowość, gdyż świat żywych ludzi dzieli się dla mnie tylko na mądrych i głupich, złych i dobrych.

Może być „on” brzydki, ułomny, biedny i stary, byle o wysokim intelekcie i wartości duchowej. Kocham wszelkie przejawy piękna dusz ludzkich i twórczości.

<sup>74</sup>Solweg a. *Solvejga* — bohaterka ludowej opowieści norweskiej *Peer Gynt*, znanej dzięki dramatowi Henrika Ibsena z muzyką Edvarda Griega. Kobieta, która całe życie czekała na swojego niewiernego ukochanego, Peer Gynta, i dopiero u schyłku życia przekonała go do wierności wyższemu ideałom. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>Oto ów anons — Anons ten, który wiele osób uważało za moje zmyślenie, był, przeciwnie, zupełnie autentyczny; nadeszło na niego na moje ręce kilkadziesiąt zgłoszeń, które wiernie przelałem nieznanym mi adresatce. [przypis autorski]

Miłość platoniczna,  
Tęsknota, Samotność

Dla miłości prawdy zaznaczam, że nie jestem ani stara, ani brzydka.  
A więc? Gdzie jesteś, ty „mój” człowieku, którego w tęsknocie oczekuję?

*Solweg*

Oto jak ludzie szukają się i nawołują wzajem w przerażających mrokach Kosmosu.

## STACJA DOŚWIADCZALNA W PŁOCKU

Temat, który poruszę, jest bardzo drażliwy, wiem. Trudno; znów mnie zwymyślają, od tego nikt nie umarł. Otóż, kiedy sobie rozmyślałem o różnych porządkach społecznych, dostałem do rąk świeży list pasterski (12 kwietnia 1929) Jana Marii Michała<sup>76</sup>, arcybiskupa mariawitów<sup>77</sup>, o *małżeństwie chrześcijańskim i o dzieciach tak zwanych „nieprawych”*.

Myśli i uczucia, jakie obudzi ten List w różnych sferach, będą rozmaitej kategorii. Jedna, to Inkwizycja: spalić na stosie, zburzyć, zaorać, rozrzucić prochy, wytepić do cna. Inaczej trochę przedstawia się rzecz, gdy ktoś zechce myśleć kategoriami społecznymi. Faktem jest, że w gminach mariawickich procent przestępczości jest znikomy, moralność — biorąc po ludzku — wyższa, urzędnicy ich społeczne i gospodarcze funkcjonują znakomicie. Ale jest jeszcze i trzeci punkt widzenia. Wyobraźmy sobie, że ktoś ma majątek ziemski. Nie będzie zapewne na całym obszarze swego majątku przeprowadzał zbyt ryzykownych doświadczeń i przemian, bo to mogłoby się skończyć bankructwem; ale dobry gospodarz ogrodzi sobie kawał pola i tam będzie eksperymentował. Otóż kraj jest takim wielkim gospodarstwem. Nie da się zaprzeczyć, że wiele urzędów naszych chroma<sup>78</sup>; że stosunek społeczeństwa do całego szeregu palących zagadnień jest beznadziejny, czasami wręcz ohydny swą obłudą i obojętnością. Ale, jeżeli boimy się gwałtownych przemian, to dlatego, że pochłaniają one mnóstwo ofiar, często bez rezultatu, lub z rezultatem, który można osiągnąć — i lepiej — na innej drodze. Musimy tedy z zainteresowaniem patrzeć na kącik ziemi, gdzie pewne skupienie ludzi próbuje inaczej rozwiązać różne kwestie, urządzić sobie życie na innych zasadach, zerwać z pewnymi nawykami myśli i obyczajów. Po jakimś czasie obserwacja taka będzie miała wręcz wartość eksperymentu; dlatego nazwałem klasztor w Płocku i zależne od niego gminy „stacją doświadczalną”. Gdyby to nie brzmiało zbyt płochy, nazwałbym ją — ot, nałóg starego recenzenta! — naszym „teatrem eksperymentalnym”, przez wzgląd na tyle analogii, jakie istnieją między klasztorem płockim a wileńską Redutą<sup>79</sup>.

To pewna, że zadziwiająca jest ta niespokojna czynność, jaką rozwija klasztor mariawicki w dążeniach reformatorskich. Nie minie prawie miesiąc, by w tym małym światku nie tworzone przewrotów, sięgających bardzo daleko. Nie tykam tu oczywiście spraw wiary; chodzi mi o rzeczy czysto ludzkie.

Ostatni list pasterski mówi o stosunku do dziewcząt-matek i do nieślubnych dzieci. Kwestia ta — to jedna z najbardziej ciemnych i haniebnych kart naszego życia. Uprzymiarnijmy sobie sytuację obrazowo, nie lękajmy się jaskrawych skrótów. Więc, młoda dziewczyna wchodzi na przykład w mieszczański dom jako służąca. Uwodzi ją — przypuśćmy — panicz, albo jego kolega. Spostrzegłszy, że dziewczyna jest w ciąży, pani wypowiada jej służbę. (To jest wypadek klasyczny, formuła z *Pani Dulskiej*, dziś już mniejszą grającą rolę w mechanizmie społecznym, bo... służby jest mniej. Ale olbrzymi procent dzieciobójczyń to służące). Dziewczyna znajduje się na bruku, rodzi pokątnie, topi lub dusi i pali dziecko. Dostaje się — o ile jej nie skażą, jak świeżo w Tarnowie, *na śmierć* — do więzienia, wychodzi z niego, aby zostać prostytutką lub złodziejką. Znów dostaje się pod sąd. Tymczasem panicz — może współnik jej pierwszego błędu — ukończył prawo,

<sup>76</sup>Jan Maria Michał — ks. Jan Kowalski (1871–1942); polski arcybiskup mariawicki, założyciel i zwierzchnik Kościoła Katolickiego Mariawitów, święty Kościoła Katolickiego Mariawitów; więzień obozu koncentracyjnego w Dachau, zginął w komorze gazowej w obozie zagłady na zamku Hartheim. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>mariawici — grupa wyznaniowa wyodrębniona na przełomie XIX i XX w. z katolicyzmu w Polsce. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>chromać (daw.) — kuleć. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>wileńska Reduta — Teatr Reduta, założony w 1919 r. w Warszawie przez Juliusza Osterwę i Mieczysława Limanowskiego, pierwszy w Polsce teatr eksperymentalny. W latach 1925–31 przeniesiony do Włocławka, w 1931 r. powrócił do Warszawy, gdzie zakończył działalność w 1939 r. [przypis edytorski]

został prokuratorem lub sędzią; będzie ją oskarżał lub sądził, po rzymsku, wedle litery prawa.

„Cóż to, Boy pisze melodramaty?” — powie ktoś. Niestety, ten melodramat jest samym życiem. Oczywiście nieczęsto rzecz układa się tak teatralnie; ale to jest treść stosunku społeczeństwa do tej sprawy, stosunku nieludzkiego, obłudnego. Czyż mamy więc prawo rzucać kamieniem na kogoś, kto się pokusi inaczej ten problem rozwiązać?

List pasterski O. Jana Marii Michała dzieli się na dwie części. Pierwsza dotyczy samego małżeństwa. Przytaczamy ten ustęp:

Zdarzyć się może, i niestety często się zdarza, z powodu powszechnego zepsucia i praw ludzkich niedoskonałych, utrudniających wstępowanie w związku małżeńskie — zdarza się, powiadam, że młodzieniec jaki, wolny, zwiedzie pannę, obiecując, że się z nią ożeni, a ona, wierząc mu, zgadza się na wspólne z nim pożycie i rezultatem tego pożycia bywa, że przychodzi na świat dziecię, podczas gdy on lekkomyślny młodzieniec nie chce przystąpić z tą, z którą się połączył, którą uwiódł, do ołtarza, aby wobec Kościoła uprawnić swój związek małżeński z nią. Mimo to ten związek jego, choć nie jest ważny wobec prawa, jest jednak ważny wobec Boga, jest prawdziwym wobec Boga i praw natury ludzkiej związkiem małżeńskim, i takowy młodzieniec z żadną inną niewiastą związku małżeńskiego zawrzeć nie może dopóty, dopóki ta, z którą się połączył, którą uwiódł, żyje i wierną mu pozostaje, sama nie zawierając innych związków. Taką należy uważać jako opuszczoną przez męża, a dziecię jej za prawe wobec Boga i Kościoła naszego świętego, tak jak sama natura, sprawiedliwość i prawo Boże wskazuje. Tak samo, gdyby młodzieniec w podobny sposób był zwiedziony przez niewiastę, i ona wyszłaby za innego, nieważnym będzie związek jej, dopóki ten, którego uwiodła, żyje i pozostaje jej wiernym w miłości. Powiedział bowiem Chrystus Pan: „Co tedy Bóg złączył, tego człowiek niech nie rozłącza”. A złączył Bóg dwoje w jedno ciało wtedy, kiedy przynajmniej jedno z nich miało miłość prawdziwą i nadzieję związku małżeńskiego na zawsze, a nie zamiar chwilowego tylko i cudzołóżnego występku.

Oto mi przewrót nie lada! Jesteśmy w czystej krainie utopii. Przypominają się roje-  
nia owego tak głośnego przed stu laty Prospera Enfantin<sup>80</sup>, założyciela saintsimonizmu<sup>81</sup>. Jak sobie wyobrazić jakiegokolwiek prawo małżeńskie oparte na tych zasadach, na tym jakże wiotkim rozróżnieniu, „czy miłość była prawdziwa” i zamiar związku małżeńskiego istotny, w rzeczy, której stany duszy bywają płynne jak obłoki sunące po niebie? Czy on ją „uwiódł”, czy ona jego, co sobie obiecywali, czy dziecko jest jego, czy była wierną — ileż tu się nastręczy wątpliwości, punktów spornych, faktów i intencji zagrzebanych w głębi sumienia! Cóż za chaos! Jak będą wyglądały księgi stanu cywilnego w gminach rządzących się tym romantycznym kodeksem? Uspakają nas w tej mierze dalszy ciąg listu pasterskiego:

Przez ten nasz list pasterski przypomnienie w nim zasad Ewangelii Chrystusowej nie polecamy bynajmniej, aby Kapłani nasi, utrzymujący księgi stanu cywilnego, cośkolwiek przeciwko cywilnym prawom państwowym czynili, gdyż do takowych stosować się oni zawsze powinni, dopóki nie będą zreformowane. W sumieniu i życiu kościelnym niech baczą na zasady Ewangelii świętej, któreśmy w niniejszym liście naszym wyłożyli.

Oddychamy z ulgą: przenajświętsze księgi stanu cywilnego pozostaną nienaruszone... Ale niewątpliwie w małych gminach mariawickich, gdzie wszyscy się znają i gdzie życie jest jak pod szklanym kloszem, nakazy moralne, wynikające z tych nowych pojęć, mogą mieć swoje ciśnienie.

<sup>80</sup> *Enfantin, Barthélemy Prosper* (1796–1864) — francuski socjalista utopijny, teoretyk i jeden z założycieli saintsimonizmu. [przypis edytorski]

<sup>81</sup> *saintsimonizm* — doktryna filozoficzno-społeczna głosząca potrzebę stworzenia nowego porządku publicznego: podział dóbr według zdolności i talentów, solidaryzm społeczny, potępienie własności prywatnej. [przypis edytorski]



Co natomiast posiada bezpośrednie znaczenie — i to bardzo ogólne — to część druga listu. Czytamy:

Ponieważ, wskutek panującego w naszych czasach zepsucia powszechnego często się zdarzają wypadki uwiedzenia panien, zwłaszcza biednego stanu, przez ludzi niesumiennych, i one okrywane hańbą przez nierozumne otoczenie i najczęściej prześladowane przez własną rodzinę, nie mogą znieść przeżywanego ucisku i dopuszczają się niekiedy w rozpaczy samobójstwa lub dzieciobójstwa, czy też poronienia, przeto my postanowiliśmy w imię Boże, według naszej możliwości, temu złu zaradzić. Polecamy mianowicie, aby przy naszej świątyni w Płocku i wszędzie, we wszystkich naszych parafiach, gdzie pracują nasze Siostry najmiłsze, były otwarte żłóbki dla przyjęcia tych małych dzieciin bezpłatnie na wychowanie, bez żadnego wynagrodzenia. Nadto polecamy Siostrze najmiłszym, aby z owymi biednymi matkami z miłością się obchodziły i takowym wszelkiej pomocy udzielały, a nawet i do domów swych je przyjmowały, gdyby te nieszczęsne, oszukane przez ludzi niedobrych, nawet przez własną rodzinę były nie po ludzku traktowane albo z domu rodzicielskiego wypędzane. Takie bowiem matki z pewnością stokroć są miłsze Bogu, niż ci nieludscy i obłudni ludzie, którzy na nie kamieniem potępienia rzucają...

Tu już jesteśmy na gruncie pozytywnym. Zawsze zresztą konkretne przemiany obyczajowe wyrastają z chimer, z utopii. Zawsze chyba pozostaną chimera owe idealne małżeństwa skodyfikowane na miłości choćby jednej ze stron (trzeba by tu opracować odpowiednią procedurę rozwodową takich związków wobec Boga, w razie jeżeli miłość z jednej strony czy z obu stron wygasa?), ale uświęcenie idei takiego związku w oczach ludzi, uprawienie jego owocu, zajęcie się losem nieszczęśliwej, to byłby przewrót o nieobliczalnej doniosłości. Zdjęto piętno hańby z dziewczyny, często pół-dziecka, które uległo najpotężniejszemu instynktowi natury lub najszlachetniejszej potrzebie kochania i wierzenia temu, którego kocha. Zamiast pogardy — współczucie; zamiast kopnięcia nogą — serdeczna pomoc; zamiast więzienia — dom. Zdjęto barbarzyńskie piętno hańby z nieślubnego dziecka. Religia jest tu w swojej pięknej roli; talenty zaś gospodarcze mariawitów pozwalają przypuszczać, że te żłóbki istotnie powstaną i że będą prosperować. I jeżeli, po dziesięciu latach, naszej ohydnej statystyce dzieciobójstw i fabrykantek aniołków gminy tamtejsze przeciwstawią zastęp zdrowo wychowanych i wesołych dzieci; jeżeli naszej gehennie zbrodniarek i prostytutek przeciwstawią zastęp młodych matek, które pozostaną użytecznymi członkami społeczności, wówczas społecznik i prawodawca będą się mieli nad czym zadumać. I z tego punktu widzenia „stację doświadczalną w Płocku” winniśmy śledzić z uwagą.

## DIARIUSZ SZLACHECKI DYREKTORA TEATRU

Nazywam książkę Kotarbińskiego<sup>82</sup> *W służbie poezji i sztuki* diariuszem szlacheckim, bo ma ona w istocie coś z tej lektury. Dziennik jego sześćdziesięciu lat teatralnego, premiera po premierze, statystyka ilości przedstawień, cytaty z recenzji, wszystko podane bez żadnej zaprawy, rzeczowo, drobiazgowo, miejscami niemal naiwnie. Ale kto, jak ja, ma w pamięci te jakże interesujące lata teatru krakowskiego, dla tego wszystkie te cyfry, wszystkie te szczegóły żyją i mówią. Jako przykład prostoty, z jaką ten odważny pionier teatru podaje fakty, niech służy jeden przykład: Kotarbiński powierzył inscenizację *Dziadów* Wyspiańskiemu — czyn śmiały, oryginalny; ileż mógłby nahaftować na ten temat! I ot, posłuchajmy co on mówi:

Gdy powziąłem zamiar wystawienia *Dziadów*, żona moja, ze swym kobiecym rozsądkiem i znajomością praktyki życiowej poradziła, abym porucił ułożenie tekstu autorowi *Wesela*. Dlaczego? Bo przewidziała bystro, że przy mnie zostanie zasługa wprowadzenia poematu na repertuar, a recenzenci krytykować będą pracę poety, który z konieczności musi dokonać

<sup>82</sup>Kotarbiński, Józef (1849–1928) — pisarz, krytyk teatralny, aktor filmowy i teatralny; w latach 1899–1905 dyrektor teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. [przypis edytorski]

licznych skrótów i modyfikacji... Przewidywania mojej żony sprawdziły się w zupełności...

Czy nie rozkoszny ten passus, czy nie jest arcy-polski ten hold? Człowiekowi, który tak pisze, możemy wierzyć; książka kreslona z taką prostotą ma wartość dokumentu.

Takim jest Kotarbiński we wszystkim. Czy kiedy cytuje swoją rozmowę z Przybyszewskim („Panie Stanisławie — rzekłem do niego — dlaczego pan, człowiek wykształcony, przedstawiasz tak jednostronnie ludzką naturę, pod kątem erotyzmu?”...), czy kiedy z najlepszą wiarą uwiecznia banalne „głosy prasy”, że coś „grano koncertowo”, coś innego znów „przednio”, że coś „wypadło szczęśliwie”, a nawet takie kwiatki znanego ze swoich andronów wieloletniego krakowskiego krytyka, który pisze po *Romantycznych*, że „Rostand<sup>83</sup> otworzył szarą przędzą pleśni od dawna zasnutę okno i wpuścił przez nie powiew świeżych prądów po stęchliźnie szpitalnej, jaką daje literatura modernistyczna”... I właśnie w tych rysach poznajemy z przyjemnością samego autora, zasłużonego na niwie naszego teatru, inteligentnego, pracowitego i twórczego działacza, który równocześnie zawsze zachował odcień jakiejś dobrodusznej naiwności; a z drugiej strony odbija się w tym dziuryszu ówczesny Kraków, prowincjonalny partykularz, jeśli sędzić wedle materialnych możliwości, a jakże pięknie wywiązujący się z roli duchowej stolicy Polski, która mu na szereg lat przypadła. I wciąż, czytaniu tej książki towarzyszą sprzeczne uczucia. Uśmiechamy się, kiedy dyrektor teatru notuje po latach, iż „krytyk zaznacza, że po skończeniu widowiska kurtyna podnosiła się pięć razy”... Ale zmienia się nasz nastrój, kiedy sobie uświadomimy, że tym „widowiskiem” była — premiera *Bolesława Śmiałego*, w inscenizacji Wyspiańskiego, w kostiumach i dekoracjach jego pomysłu. I ten olbrzymi — nawet dla najzasobniejszego teatru — wysiłek artystyczny obliczony był na ile przedstawień? — Na trzy! Sztuka szła trzy razy, w następnym zaś sezonie powtórzono ją pięć. I Kotarbiński stwierdza, że dramat „zyskał wybitne powodzenie” i dodaje „że to dobrze świadczy o publiczności, która popiera usiłowania stworzenia nowego istotnie scenicznego piękna”... I naraz ludzie, którzy pracowali w tych warunkach, urastają nam do rozmiarów bohaterskich!

Ileż tam osobistej pracy trzeba było wkładać w każdą z premier, które zmieniały się jak w kalejdoskopie! I znów dziurys notuje pocziwie każdą pomoc, jakiej udzielała nieustrudzona towarzyszą artysty, tak dobrze znana w teatrze „pani Lucyna”<sup>84</sup>. Tu jakiś salonik, „urządzonej elegancko na biało przez moją żonę”; tu w *Sonacie* Kisielewskiego<sup>85</sup> „w głębi imitator ptaków specjalnie najęty odzywał się i tu i ówdzie za kulisami; napelniliśmy scenę za pomocą rozpylacza zapachem żywicznym, gdy podniosła się kurtyna wionęło na salę tchnieniem lasu — złudzenie było zupełne i bardzo estetyczne”. Dzisiejszy widz, rażony w teatrze huraganowym ogniem reflektorów, uśmiechnie się, czytając, jak w *Bolesławie Śmiłym* wydobywano efekty wodne za pomocą „latarni czarnoksiężskiej”; ale pokręci z uznaniem głową, czytając, że gdy było trzeba, autentycznych mebli z XVI wieku pożyczają na scenę Stanisław Tarnowski<sup>86</sup>.

Raz po raz, w tej sielance, jakiś rys ofiarności, przywiązania do swego teatru. Młodzież statystuje „za niewielką opłatą na czytelną akademicką”. Czytając, przypominamy sobie niedawne zajście w Warszawie, kiedy statystujący akademicy, z powodu jakiegoś zatargu o płace, grozili w wilię<sup>87</sup> premiery strajkiem i chcieli pobić dyrektora teatru. Aby umożliwić wystawienie *Protesilasa i Laodamii*<sup>88</sup>, Modrzejewska zrzeka się honorarium za jeden występ...

Ale niczym to wszystko w porównaniu do ofiarności sił, jaką składał sztuce cały teatr, poczynawszy od jego „dzierżawcy”, który był w jednej osobie przedsiębiorcą, dyrektorem, kierownikiem literackim, reżyserem i czołowym aktorem. Jak on to robił? Warunki, w jakich pracowano wówczas, dziś wydają nam się fantastyczne. Premiera co sobotę:

<sup>83</sup>Rostand, Edmond (1868–1918) — fr. pisarz, dramaturg. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>pani Lucyna — Lucyna Kotarbińska, z d. Kleczeńska (1858–1941), żona Józefa Kotarbińskiego, działaczka społeczna i publicystka, wydawczyni wspomnień teatralnych swojego męża. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>Kisielewski, Jan August (1876–1918) — dramaturg, krytyk teatralny, związany z kabaretem Zielony Balonik. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>Stanisław Tarnowski (1837–1917) — historyk literatury, krytyk literacki, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezes Polskiej Akademii Umiejętności. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>wilia (daw.) — wigilia; w wilię: w przeddzień. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>Protesilas i Laodamia — dramat Stanisława Wyspiańskiego. [przypis edytorski]

taki był niezłomny obyczaj. *Dziady* nie *Dziady*, *Faust* nie *Faust*, o czterech, pięciu próbach! I tak szło tam w najświetniejszych epokach, za Koźmiana<sup>89</sup>, za Pawlikowskiego<sup>90</sup>, za Kotarbińskiego, i długo jeszcze później.

Kotarbiński przybył do Krakowa powołany przez Tadeusza Pawlikowskiego na stanowisko „bohatera”, głównego reżysera i kierownika literackiego, z kontraktem sześciociesięcioletnim. Ten wyjątkowy kontrakt był zrozumiały: Kotarbiński opuszczał dla Krakowa stanowisko w teatrach warszawskich, do których powrót, „splamiwszy się” patriotycznym repertuarem w Krakowie, musiał mieć odcięty. Otóż, bardzo szybko, dla przyczyn ubocznych, stosunek z dyrekcją się zmącił; Kotarbiński znalazł się w niełasce u tego Neronka, jakim, przy swoich nieocenionych zaletach znawcy sztuki i dyrektora teatru, był Pawlikowski. Zaczęła się cicha walka, Pawlikowski bowiem smakował w tego rodzaju złośliwościach. Albo miesiącami nie dawał mu grać, albo obsadzał go tak, jak to on umiał. Kotarbiński, wedle ówczesnego obyczaju, miał co rok prawo do „benefisu”. Do niego należał wybór sztuki, ale do dyrektora wybór daty. Raz wybrał *Koriolana*<sup>91</sup>, Pawlikowski oznaczył premierę na 30-go czerwca, ostatni dzień sezonu, i *Koriolan*, wystawiony po raz pierwszy w Krakowie, siedł raz jeden! Kotarbiński marzył o roli *Keana*. Zbliżył się benefis, idzie do Pawlikowskiego: „Dyrektorze, przychodzę porozumieć się co do benefisu. — *Wybobnie*, powiada Tadeuszek grasejując; *coż pan wybbal? Keana Dumasa*<sup>92</sup>. — *Wybobnie*, ale *któż będzie gwał Keana?*” — Wszystkie te kawały teatralne opowiadano sobie w kołach artystycznych w Krakowie i bawiono się nimi, ale Kotarbiński opłacił je kilkoma latami swego aktorskiego życia.

Ale przetrzymał, nie ustąpił. Może nie mógł, spaliwszy za sobą mosty w Warszawie, może nie chciał dać swemu tyranowi tej satysfakcji. Pocieszał się deklamacją estradową, jeździł na gościnne występy i czekał. Pomagała mu w tym wytrwałość jego żony. Stworzyli miły dom o typie w Krakowie nieznanym. W trzech pokoikach skromnych, ale wypełnionych po brzegi dziełami sztuki, stworzyła pani Lucyna środowisko, gdzie spotykało się wszystko: arystokracja, teatr, „miasto”, dziennikarstwo, sztuka. Kiedy, przed nową kadencją teatralną, kapryśny Pawlikowski ociągał się z postawieniem swej kandydatury i postawił ją aż w ostatniej chwili, większość głosów na następne sześćościecie uzyskał Kotarbiński. Zdobył upragnioną placówkę do pracy.

O tym wszystkim nie pisze on w swoim ściśle rzeczowym diariuszu, ani też nie pisze, jak, w czasie przymusowej bezczynności, musiał się w nim gromadzić ładunek, z którym od razu wystrzelił. Linia jego była poniekąd przeciwieństwem linii Pawlikowskiego, i przez to właśnie w sumie te dwie dyrektury dopełniły się tak dobrze. Pawlikowski, modernista, otworzył okno na współczesną Europę: Ibsen<sup>93</sup>, Maeterlinck<sup>94</sup>, Curel<sup>95</sup>, Strindberg<sup>96</sup>, Hauptman<sup>97</sup> etc.; Kotarbiński oparł się na poezji polskiej wprowadzając na scenę dzieła uważane wprzód za „niesceniczne”. *Kordian*, *Dziady*, *Nieboska*, *Sen Srebrny Salomei*, *Wesele*, *Wyzwolenie*, *Bolesław Śmiały*... Ale te zasługi zbyt są znane i bezspornie stwierdzone, aby było potrzeba jeszcze raz je podnosić. Co natomiast warte jest podkreślenia, to właśnie warunki, w jakich się to działo.

Weźmy, dla przykładu, kulminacyjny moment jego dyrektury — trzeci sezon — i zajrzyjmy do „diariusza”. Zaczyna się jak zwykle, od patriotycznych sztuk pod adresem przejezdnych Królewaków. *Młodzi bohaterowie*, sztuka nieznanego autora, pada po dwóch przedstawieniach. Urbańskiego<sup>98</sup> *Pod kolumną Zygmunta* — również dwa przedstawienia: drugie przy pustej sali. Potem idą *Dziady* „wypróbowane w ciągu tygodnia”...

<sup>89</sup>Koźmian, Stanisław (1836–1922) — reżyser, krytyk teatralny, publicysta, polityk. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>Pawlikowski, Tadeusz (1861–1915) — reżyser, dyrektor teatralny. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*Koriolan* — tragedia Williama Szekspira. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>Kean. Geniusz i Szaleństwo — dramat Aleksandra Dumasa (ojca), oparty na wydarzeniach z życia brytyjskiego aktora Edmunda Keana (1787–1833). [przypis edytorski]

<sup>93</sup>Ibsen, Henrik (1828–1906) — norweski dramaturg, reżyser, dyrektor teatru, autor m.in. dramatów *Dzika kaczka*, *Nora* czyli *dom lalki*, *Peer Gynt*. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>Maeterlinck, Maurice (1862–1949) — belgijski dramaturg, eseista, pisał po francusku. Odnznaczony literacką Nagrodą Nobla. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>Curel de, François (1854–1928) — fr. dramaturg. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>Strindberg, August (1849–1912) — szwedzki dramaturg, powieściopisarz, malarz. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>Hauptmann, Gerhart (1862–1946) — niem. pisarz, laureat literackiej Nagrody Nobla w 1912 roku. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>Urbański, Aureli (1844–1901) — poeta, dramaturg. [przypis edytorski]

po *Dziadach*, *Ksiądz Marek* i długi, długi szereg premier, wśród nich takie jak *Cymbelin*, *Sen nocy letniej* i *Henryk IV* Szekspira, *Nadzieja* Heijermansa<sup>99</sup>. *Rękawiczka* Björnsona<sup>100</sup>, *Budowniczy Solness* i *Mały Eyolf* Ibsena, *Gioconda* d'Anunzia<sup>101</sup>, etc. etc.

I czy wyobrażacie sobie, ile razy przeciętnie szły te sztuki, z których każda musiała pochłonąć ileż wysiłku? Trzy — wyraźnie 3 — razy! *Mały Eyolf* na drugim przedstawieniu świeci pustkami. *Albert wójt krakowski*<sup>102</sup> — sztuka w 5 aktach wierszem! — szła dwa razy. *Kapelusz słonkowy* Labiche'a<sup>103</sup> — raz! I gdy przeglądamy inne sezony, ileż sztuk, które — zaledwie do uwierzenia! — szły jeden raz. *Sąsiadka* Ritnera<sup>104</sup>, „sztuka, która (pisze krytyk) mogła się podobać tylko zwolennikom skrajnego modernizmu” szła raz; *Curela Nowe bożyszcza* raz, etc. Bo, mimo swoich wielkich aspiracji i jeszcze większych obowiązków, Kraków był małym miastem, publiczności teatralnej — poza utworem, który wyjątkowo trafił do szerszych mas — było niewiele.

Znowu przrzucam parę kartek... Czytam: „Sztuka Ronikiera<sup>105</sup> wydała się mdłą i bezbarwną, tak że jej nie można było nawet powtórzyć”... Więc znów raz grana! Obok swoich wielkich sukcesów (*Kordian* — 19 razy w ciągu sezonu!), teatr ten pełnił — mimo woli, zapewne — rolę „studio” dla garstki publiczności, przed którą aktorzy tacy jak Kamiński<sup>106</sup>, Solski<sup>107</sup>, Mrozowska<sup>108</sup> etc. przegrywali raz lub dwa utwory młodych autorów lub obce nowości. Cóż za zbytek, cóż za pańskie przepychy spotyka się w Polsce!

Tak, te warunki, w jakich pracował teatr krakowski, to coś, czemu wciąż trzeba się zdumiewać. Wiadomo, tak dziś jeszcze bytują niektóre teatry prowincjonalne, ale na nich nie ciąży tyle wymagań, tyle obowiązków. Tu w tych warunkach pracował lata całe teatr przodujący, torujący nowe drogi, zdobywający wciąż nowe kręgi repertuaru, zmieniający pojęcia reżyserii i sceniczności, skupiający świetnych aktorów, odchowujący ich dla całej Polski. Bo kogo tam nie było? Solski, Kamiński, Przybyłko-Potocka, Mrozowska, Ordon-Sosnowska, Siemaszkowa, Siennicka, Wysocka, Tarasiewicz, Mielewski, Knake-Zawadzki, Roman, Sobiesław, Stanisławski, Jerzy Leszczyński, Zelwerowicz, ileż jeszcze najlepszych dzisiejszych nazwisk. Jak ci ludzie to robili, jak im sił i zapału starczyło, aby się uczyć wciąż nowych ról, nowych sztuk, często wierszem, które ledwo — po kilku próbach — zagrane, już schodziły ze sceny?

Z tych fatalnych warunków wynikały, osobliwym porządkiem rzeczy, szczęśliwe następstwa. Z jednej strony, tzw. „żelazny repertuar”, o którym tyle dziś się gada w Warszawie i wciąż na próżno, tam był prostą koniecznością. Skoro sztuka przeciętna nie szła nawet tygodnia, trzeba było wciąż mieć w pogotowiu kilkanaście sztuk „żelaznych”, którymi wypełniało się resztę dni.

Drugie następstwo, to większa inicjatywa w przyjmowaniu utworów. Skoro wystawa kosztowała niewiele, skoro aktor przywykł wciąż uczyć się czegoś nowego, kalkulowało się zaś przeciętnie na trzy wieczory, teatr mógł wystawić wszystko, każdy mógł bez trudu docisnąć się, przeżyć próbę sceny. Ileż w tym diariuszu widzimy takich sztuk granych na stracenie, ileż nazwisk, których w ogóle potem nie widać ani śladu. Ale w zamian cóż za wspaniałe zdobycze, co za atmosfera!

Bo, pracując w ten sposób, aktor nie był utalentowanym urzędnikiem teatru, ale zespoloną z nim jedną duszą. Był zresztą takim chudeuszem, że przy ówczesnych gażach mógł w istocie tylko siedzieć w teatrze i grać.

To zupełne oddanie się aktorów, zupełne wchłonięcie ich przez teatr, tworzyło z nich jakieś odrębne społeczeństwo, świat złudy, coś, co stwarzało poezję teatru, jego murów. Z tych kulis teatru krakowskiego, z ich poezji, urodziło się *Wyzwolenie*: wystarczyło

<sup>99</sup> Heijermans, Herman (1964–1924) — holenderski dramaturg. [przypis edytorski]

<sup>100</sup> Björnson, Bjørnstjerne (1832–1910) — norweski pisarz, autor powieści, dramatów, wyróżniony literacką nagrodą Nobla w 1903 r. [przypis edytorski]

<sup>101</sup> D'Annunzio, Gabriele (1863–1938) — wł. dramaturg. [przypis edytorski]

<sup>102</sup> *Albert wójt krakowski* — utwór Stanisława Gabriela Kozłowskiego (1860–1922). [przypis edytorski]

<sup>103</sup> Labiche, Eugène (1815–1888) — fr. komediopisarz. [przypis edytorski]

<sup>104</sup> Rittner, Tadeusz (1873–1921) — autor dramatów i powieści. [przypis edytorski]

<sup>105</sup> Jaksza-Ronikier, Bogdan (1873–1956) — polski pisarz. [przypis edytorski]

<sup>106</sup> Kamiński, Kazimierz (1865–1928) — aktor, reżyser. [przypis edytorski]

<sup>107</sup> Solski, Ludwik, właśc. Sosnowski, Ludwik Napoleon Karol (1855–1954) — aktor, reżyser, dyrektor teatralny. [przypis edytorski]

<sup>108</sup> Mrozowska, Jadwiga (1880–1966) — aktorka, śpiewaczka. [przypis edytorski]

Wyspiańskiemu przenieść na papier rozmowy swoje ze starym „Stępcem”, aby stworzyć postać „aktora”; z rozmów z Kamińskim urodziła się jego książka o Hamlecie. Bezpośrednim promieniowaniem tej atmosfery było otwarcie Teatru Polskiego w Warszawie *Irydionem*; w niej wychowali się Osterwa i Schiller...

Jakże się to wszystko wydaje odległe, fantastyczne! Dziś, w Warszawie, teatry przywykły do tak wygodnych norm pracy, że kiedy sztuka idzie mniej niż trzy tygodnie, wydaje się to katastrofą. Nie znaczy to oczywiście, aby wzdychać do owego systemu improwizacji; warunki, w jakich rozwijał się teatr krakowski, były czymś wyjątkowym, czymś, co się nigdy i nigdzie zapewne nie powtórzy. Ale w epoce, gdy ten i ów skłonny jest widzieć zbawienie teatru w maszynowej centralizacji, dobrze jest przypomnieć sobie, że sztuka chętnie chodzi zgoła innymi drogami, że nieraz w najgorszych, najbardziej paradoksalnych warunkach duch płonie wielkim ogniem, a w najpomyślniejszych i najracjonalniejszych usypia głębokim snem... Teatry nasze w Warszawie są poniekąd w fazie takiej zamożnej drzemki; dlatego przeglądanie raptularza kochanego „pana Józefa”, mimo że w istocie przenosi nas ledwo o ćwierć wieku wstecz, robi wrażenie egzotycznej lektury z innych wieków.

## PODRÓŻ W CZASIE

Przyznam się, że nie bardzo lubię podróżować. Przede wszystkim życie w Polsce jest dziś tak interesujące, że szkoda tracić z niego choć jednego dnia. Przy tym same podróże wydają mi się rzeczą mocno przechwaloną. Zmieniać hotele i obwozić swoją samotność, albo rozmawiać z obcymi ludźmi o obojętnych rzeczach, to rzecz dosyć męcząca. Krajobraz... zapewne; klimat... owszem; ale jakim kosztem! Przyjemnie jest grzać się na słońcu w lutym; ale jechać trzy doby na Sycylię dlatego, że tam ciepło, to już wolę napalić w piecu i też będzie ciepło.

Lubię natomiast bardzo „podróże w czasie”. Przede wszystkim, są takie wygodne! Bierze się starą książkę, starą gazetę i jazda, nie ruszając się z własnego łóżka. Cała podróż w sleepingu.

Świeżo odbyłem zupełnie przypadkowo taką podróż. Szukałem jakiegoś artykułu w „Kłosach”<sup>109</sup> z r. 1877 i szukałem go... dwa dni. Co chwila coś mnie zatrzymywało, co chwila gdzieś wstępowałem. Miałem uczucie, że istotnie podróżuję; ileż charakterystycznych rzeczy, ludzi, zdarzeń!

Ach, te „Kłosy”, te litery tytułu przekładane snopkami zboża, te ilustracje Andriollego<sup>110</sup>, Pilatiego<sup>111</sup>, Kostrzewskiego<sup>112</sup>, te aktualne wierszyki Adama Pługa<sup>113</sup> na każdy miesiąc, do ryciny! O, na styczeń: jest wierszyk, oczywiście o rzeszy skrzydlatej, która opuściła nasze pola, aby odlecieć do ciepłych krajów:

Indziej Pan sypanął jej ziarno — indziej ją wezwał na gody — i tylko  
wrony się garną — zgłodniałe w nasze zagrody. — Poczciwy ptak to, zaiste!  
— Bo znosząc nędzę cierpliwie — woli swe zimy ojczyste — niż wiosnę na  
obcej niwie...

Wrona jako polska patriotka... Poczciwy Pług! (A propos Pługa: prof. Ignacy Chrzanowski<sup>114</sup> podaje ustnie, że w czasie pogrzebu Deotymy<sup>115</sup>, Henryk Sienkiewicz szepnął mu do ucha następującą improwizację: „Włazł kotek na płotek i mruga — mam w d...e Deotymę i Pługa”. Prof. Chrzanowski miał tego udzielić redaktorowi Lechoniowi, a red. Lechoń udzielił mnie).

<sup>109</sup>*Kłosy* — warszawski tygodnik ilustrowany, którego głównymi tematami były literatura, sztuka i nauka. Wydawany w latach 1865–1890. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>*Andriolli, Michał Elwiro* (1836–1893) — rysownik, ilustrator; uczestnik powstania styczniowego. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>*Pillati, Henryk* (1832–1894) — polski malarz, rysownik, karykaturzysta. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>*Kostrzewski, Franciszek* (1826–1911) — malarz, ilustrator. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>*Pług, Adam*, właśc. *Pietkiewicz, Antoni* (1823–1903) — pisarz, tłumacz, dziennikarz. Był redaktorem naczelnym tygodnika „Kłosy” w latach 1875–1890. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>*Chrzanowski, Ignacy* (1866–1940) — historyk literatury polskiej, profesor UJ. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>*Deotyma* — pseudonim literacki Jadwigi Łuszczewskiej (1834–1908). [przypis edytorski]

\*

Relacja<sup>116</sup> ta, jak się okazało, niezupełnie ścisła, wywołała szereg sprostowań, które przytaczamy tutaj w kolejnym porządku:

\*

#### *Sprostowanie własne*

W cytowaną w felietonie Boya relację o nieznanym wierszu Henryka Sienkiewicza wkradła się nieścisłość: nie Sienkiewicz szepnął ten wiersz profesorowi Chrzanowskiemu na pogrzebie Deotymy, ale prof. Chrzanowski powtórzył na pogrzebie Deotymy ten słyszany z ust Sienkiewicza wiersz Stefanowi Żeromskiemu, który z kolei udzielił go redaktorowi Lechoniowi.

Sprostowanie to skrzyżowało się z listem prof. I. Chrzanowskiego, który na ręce Boya-Żeleńskiego pisze co następuje:

Szanowny panie Doktorze!

Udaję się do pana doktora z następującą prośbą:

W felietonie z dnia 12 maja r. b. podał pan doktor wiadomość, że w rozmowie z Lechoniem przytoczył ów wierszyk Sienkiewicza. Istotnie jest to wierszyk, który ułożył Sienkiewicz, jak mi to sam opowiadał, dodając żartobliwie: „to mój pierwszy wiersz godny pamięci”. Lecz ułożył go Sienkiewicz w młodości, będąc studentem Szkoły Głównej<sup>117</sup>, a nie jak pan doktor pisze, na pogrzebie Deotymy — co nie jest przecie wszystko jedno: bo, jeśli się nie mylę, powiedzieć coś podobnego na pogrzebie Deotymy, trąciłoby jednak cynizmem, którego w Sienkiewiczu nie było ani źdźbła.

Otóż prośba moja polega na tym, żeby pan doktor podaną przez siebie wiadomość łaskawie sprostował.

Proszę przyjąć, panie doktorze, wyrazy rzetelnego szacunku i poważania z jakim pozostaje

*Ignacy Chrzanowski*

Czynimy najchętniej zadość życzeniu szanownego Profesora; nieścisłą wiadomość sprostowaliśmy już poprzednio; zarazem korzystamy ze sposobności, aby zwrócić uwagę czytelników, ile nieraz trudu kosztuje historię literatury ustalenie drobnych na pozór okoliczności. Dla ścisłości podajemy tu jeszcze raz tekst wiersza Sienkiewicza:

Wlwał kotek na płotek i mruga.

Ma w... Deotymę i Pługa.

\*

#### *Jeszcze o wiersz Sienkiewicza*

Jakiś szatan nieścisłości prześladowuje naszą relację o nieznanym wierszu Sienkiewicza: wczoraj, gdy z całą lojalnością pośpieszyliśmy zamieścić sprostowanie prof. Chrzanowskiego, wkradł się fatalny błąd drukarski w drugi wiersz samego tekstu Sienkiewicza; mianowicie, zamiast „Ma w... Deotymę i Pługa”, powinno być „Mam w... Deotymę i Pługa”, w tym sensie, że nie kotek ma, ale sam Henryk Sienkiewicz.

Tym razem jest już kwestia tego wiersza chyba definitywnie ustalona.

<sup>116</sup>Relacja ta, jak się okazało, niezupełnie ścisła, wywołała szereg sprostowań, które przytaczamy tutaj w kolejnym porządku — tu w tekst felietonu wstawiamy obszerny fragment, który w tekście źródłowym był podany w przypisie i który kończy się na słowach „doprawdy byłoby przeczuleniem dopatrywać się w nich jakiejś ujemy dla osób skądinąd czcigodnych i otoczonych powszechnym szacunkiem” (miejsce to również oznaczono przypisem). Red. WL. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>Szkola Główna Warszawska — szkoła wyższa działająca w latach 1862–1869, miała 4 wydziały: prawa i administracji, filologiczno-historyczny, matematyczno-fizyczny i lekarski. Utworzona w budynku po zamkniętym w 1831 r. Uniwersytecie Warszawskim, zamknięta po powstaniu styczniowym. [przypis edytorski]

\*

W sprawie cytowanego przez nas przygodnie żartobliwego dwuwiersza H. Sienkiewicza, otrzymujemy pismo od p. Zenona Pietkiewicza<sup>118</sup> (bratanka śp. Adama Pługa), protestujące przeciw tej wersji i podające w wątpliwość jego autentyczność.

Ani logika, ani wielkie imię Henryka Sienkiewicza (pisze p. Z. Pietkiewicz), ani znany jego wysoki poziom etyczny, ani dowody, które poniżej podaję, nie pozwolą chyba nikomu na chwilę uwierzyć w prawdopodobieństwo tego wielce niesmacznego dowcipu, wypowiedzianego rzekomo przez Sienkiewicza na pogrzebie Deotymy?

W dalszym ciągu, jako kontrdowód, przytacza p. Pietkiewicz brzmienie pisma, jakie Sienkiewicz przesłał Adamowi Pługowi w dniu jego 80-tych urodzin, oraz to, iż ilekroć spotkał się Sienkiewicz z panem Zenonem Pietkiewiczem, zawsze pytał go o zdrowie stryja i przysyłał mu dlań pozdrowienie.

Uprzejmie proszę, szanowny panie redaktorze (kończy pan Z. Pietkiewicz), o umieszczenie tych wyjaśnień, które, mam nadzieję, rozwieją opary anegdotki, przyćmiewające pamięć ludzi, którzy swym życiem i pracą zasłużyli na nietykalność...

Jest nam niezmiernie przykro, że mimo woli dotknęliśmy pana Zenona Pietkiewicza w jego uczuciach rodzinnych; każdy jednak, kto stykał się z kołami literackimi — a p. Z. Pietkiewicz wszak sam jest literatem! — ten wie, że swobodny, choćby nawet przystry żarcik, wypowiedziany w chwili przekory czy pustoty, nie osłabia w niczym szacunku i uznania, jakie żartujący żywi dla ofiary swego konceptu. Sprawę tę zresztą ustaliliśmy dostatecznie na podstawie listu prof. Ignacego Chrzanowskiego do p. Boya-Żeleńskiego, w którym prof. Chrzanowski stwierdza, że sam Sienkiewicz przyznawał się do tego wierszyka popełnionego za studenckich czasów w Szkole Głównej i sam go prof. Chrzanowskiemu powtórzył.

Od takich żartów i konceptów roilo się po wsze czasy w życiu literackim, zwłaszcza ze strony młodych (a takim był wówczas Sienkiewicz) wobec starszych, i doprawdy byłoby przeczuleniem dopatrywać się w nich jakiejś ujmy dla osób skądinąd czcigodnych i otoczonych powszechnym szacunkiem.<sup>119</sup>

\*

Przeglądam dalej: narzekania na brak salonów literackich; zabija je deklamacja amatorska, przed którą wszyscy tłumnie uchodzą. Narzekania na upadek wielkiej własności. Narzekania prenumeratorów:

Spotkała nas od jednej z prenumeratorek wymówka, że obok poezji, powieści, nie umieszczamy żadnych łamigłówek zaciekawiających i zaostrażających umysł młody...

Wiadomości: Wynaleziono machinę mówiącą, która potrafi mówić głośno lub cicho, a nawet śmiać się... Z literatury: Hodi<sup>120</sup> pisze o Olizarowskim<sup>121</sup>: „...Olbrzymi samorodny talent, prześcigający w chwilach szczęśliwych samego Mickiewicza”... Pisze to Hodi z powodu poematu Olizarowskiego w 12 pieśniach pod tytułem *Woźna albo złote jabłko*...

Kto dziś pamięta o Woźnie, czyli złotych jabłkach? A kto o Olizarowskim? A kto o Hodim? Niewdzięczny naród!

<sup>118</sup> Pietkiewicz, Zenon (1862–1932) — literat, publicysta, tłumacz. [przypis edytorski]

<sup>119</sup> *doprawdy byłoby przeczuleniem dopatrywać się w nich jakiejś ujmy dla osób skądinąd czcigodnych i otoczonych powszechnym szacunkiem* — w tym miejscu kończy się treść podana w wydaniu źródłowym jako przypis. [przypis edytorski]

<sup>120</sup> Hodi, właśc. Józef Tokarzewicz (1841–1919) — publicysta, krytyk literacki. [przypis edytorski]

<sup>121</sup> Olizarowski, Tomasz August (1811–1879) — dramaturg; uczestnik powstania listopadowego. [przypis edytorski]

Z Krakowa (wiadomości z Krakowa i ze Lwowa znajdują się w rubryce *Wiadomości zagraniczne*; pod tym nagłówkiem widnieją sprawozdania z Akademii Umiejętności, z Zakładu im. Ossolińskich<sup>122</sup>, etc.). Zatem, korespondencja z Krakowa donosi, że pierwszą nagrodę na konkursie wzięła sztuka *Pan Damazy*<sup>123</sup>, zaś na benefis Hoffmanowej<sup>124</sup> odegrano „nowy plód chorobliwego Dumasa pt.: *Cudzoziemka*”.

Ale bardziej zajęła mnie inna wiadomość: otwarcie zakładu dla małoletnich przestępców w Studzieńcu<sup>125</sup>; właśnie w tym r. 1877 uroczyste go poświęcono. Oto wrażenia korespondenta:

...Całość nader miły przedstawia widok... wzorowy porządek, schludność prawdziwie wytworna... nieświadomy celu nigdy by z pewnością nie poznał, że znajduje się w obrębie zakładu karnego...

Sprawozdawca kwestionuje tylko pedagogiczną trafność nagród pieniężnych, „od jednej kopiejki do czterech za każdy dzień dobrze spełnionej pracy”. Troska się, że „system nagród budzi chciwość i, jako zachęta do dobrego, sprzeciwia się samemu pojęciu dobra, ku któremu jakoby ma skłaniać młodociane umysły”.

Razi go też „przesadny w niektórych szczegółach wykwin, przechodzący miarę najuczciwszej pensji obywatelskiej”; ale to jest (powiada) kwestia do dyskusji. Dyskusja ta odbyła się w istocie... na procesie karnym w 52 lat potem.

Tu znów co innego: Rossi<sup>126</sup> przyjechał! Ktoregoż z czytelników, wychowanego jak ja na *Lalce* Prusa, nie zelektryzuje ta wiadomość? Teatr przepelniony wykwinną publicznością, w parterowej łoży panna Izabela Łęcka, opuściwszy rękę w długiej rękawicze z wachlarzem przez parapet, pożera oczami Rossiego...

Cała Warszawa ciśnie się oglądać Rossiego, Warszawa szaleje. „Na *Otelli* kilka dam zemdlonych wyniesiono”, notuje kronikarz. A potem ironizuje piękne słuchaczki:

Przypatrzcie się tym damom nie widzącym i nie patrzącym na artystę, ale przez cały czas czytającym pilnie tekst tragedii. Jakże im pięknie w tym zaczytaniu — jak znać zaraz panie wielkiego świata, które nie miały czasu w całym swoim życiu ani na dzień jeden przed przedstawieniem, dowiedzieć się o tym, co to był za jeden ten Murzyn awanturujący się na scenie, lub ten Hamlet, który tyle ludzi kładzie trupem...

Nowa sensacja: premiera *Wielkiego człowieka do małych interesów*<sup>127</sup>. Recenzent charakteryzuje bohaterów:

Karolowi przypatrzwszy się bliżej, dopiero poznajemy ten grunt szlachetny, na którym, przy stosunkach szczęśliwszych, mogłaby wyrósć<sup>128</sup> chluba dla ogółu: każda nawet z jego śmieszności usprawiedliwia o nim to zdanie, kiedy np. nie mając żalu do Jenialkewicza, którego niedołęstwu, zapewne wprowadzie przy własnej nieoględności, zawdzięcza utratę majątku, szuka po starych herbarzach jakiej prababki ciotecznej, aby zbogacony jej spadkiem mógł stanąć do konkursu o rękę Matyldy...

Oryginalne mieli wówczas w kołach ziemiańskich pojęcia o „chlubie dla ogółu”; bardzo pouczające!

<sup>122</sup>Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Ossolineum — fundacja założona we Lwowie w 1817 roku przez Józefa Maksymiliana Ossolińskiego (1748–1826), pisarza, działacza kulturalnego. Prowadziła jedną z największych polskich bibliotek, wydawnictwo i muzeum. Po drugiej wojnie światowej zbiory przeniesiono do Wrocławia. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>*Pan Damazy* — komedia Józefa Blizińskiego (1827–1893). [przypis edytorski]

<sup>124</sup>*Hoffmanowa, Antonina* (1842–1897) — aktorka teatralna. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>zakład w Studzieńcu — zakład poprawczy dla chłopców w Studzieńcu pod Żyrardowem, założony w 1876 r. i funkcjonujący nadal w XXI w.; w 1929 r. w zakładzie wybuchł skandal, kierownictwo usłyszało oskarżenia o złe zarządzanie, nadużycia i malwersacje finansowe, placówka przeszła pod zarząd Ministerstwa Sprawiedliwości i została zreorganizowana. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>Rossi, *Ernesto* (1827–1896) — wł. aktor, występował w Warszawie w 1877 i 1878 r. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>*Wielki człowiek do małych interesów* — komedia Aleksandra Fredry. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>wyrósć — dziś: wyrosnąć. [przypis edytorski]



Ale oto znów dobroczynność: w ogóle dużo jest mowy o dobroczynności; tu i ówdzie jakaś piękna rycina, na której dama jadąca na bal wysiada z karety, aby podnieść zemdloną z głodu sierotę o szlachetnych rysach twarzy. Tu znów statystyka: wykaz urzędowy domu podrzutków:

Na 265 dzieci, zmarłych w ciągu czterech tygodni, 171 pożegnało się z tym światem w domu podrzutków. Trzeba obmyślić sposób zaradczy... Nie zapominajmy ile w ten sposób ubywa corocznie sił krajowi!... Jeżeli dzieci podrzuczone dają tak ogromny procent śmiertelności, to kto wie, czy utrudnianie podrzucenia czy oddawania nie umożliwiłoby lepszego wyżywienia, a więc i utrzymania przy życiu mniejszej ilości dzieci? Lepiej mniej przyjmować i te odchować, aniżeli nie ograniczać się w liczbie, ale kazać im umierać z głodu.

Bardzo logicznie, ani słowa; tylko co się stanie z tą resztą?  
Z podrzutkami jeszcze pół biedy, cała bieda natomiast jest z socjalizmem:

W Berlinie wciąż odbywają się zebrania i posiedzenia socjalistów... Nowe mrzonki i ułudy nęcą nieszczęśliwych... głód, chłód, troska i nędza nie są dobrymi doradcami, nie pozwalają trzeźwo na świat patrzeć. Ze złudną nadzieją, że jakoś to będzie lepiej, ubogi podaje rękę apostołom przewrotnych idei i tym sposobem szeregi socjalistów rosną w oczach...

Ale nie trzeba Berlina: i w Warszawie dzieją się dziwne rzeczy, dziś nawet nie do pomyslenia:

Że się tak dzieje w Warszawie, że p. X. tu urodzony, wykładający historię powszechną pannom, poniewiera religię katolicką, a prawiąc o Papieżach nie używa innego wyrażenia jak „ci durnie” — to jest rzecz pewna, krwawymi głoskami zapisana w sercach słuchaczek.

Kto to mógł być taki ten pan X.? Może Świętochowski<sup>129</sup>?

I znów teatry. W ówczesnych pismach skneblowanych cenzurą teatr zajmuje olbrzymie miejsce. O tym samym Rossim całe rozprawy, analizujące każdy gest, każde drgnienie brwi wielkiego tragika. Zrozumiałe też poruszenie wywołała wieść o pożarze kilku teatrów. W Paryżu odbywają się próby środków zaradczych:

Wynaleziono płyn chemiczny, którym napojone tkaniny nie palą się, ale trawią się powoli. W łóżku drewnianym z siennikiem i frankami muślinowymi położono dużą lalkę, przybraną w różnokolorowe jedwabne materie napszczone rzeczonym roztworem i podłożono ogień pod łóżko...

Wyborny pomysł, tylko po co ta lala? Wystarczyłoby podpalić różnokolorowe materie?...

I znów inny kłopot: „Cieszmy się, powiada z ironią kronikarz,

p. Trapszo<sup>130</sup>, jak donoszą „Nowiny”, zamówił u jednego z tutejszych malarzy kurtynę, na której za odpowiednią opłatą umieszczone będą rozmaite anonse. Cieszmy się z tej nowości! Zamiast Fredry i innych twórców komedii polskiej, będziemy oglądać szyld kielbaśnika, lub czytać anons o świeżym transporcie śledzi lub sera szwajcarskiego...”

Odczyty hr. Stasia Tarnowskiego o literaturze polskiej; damy tłoczą się i wykrzykują po francusku: „*Qu'il est beau!*”<sup>131</sup>

Z innej beczki, i dosłownie z beczki: woda w Saskim Ogrodzie!

<sup>129</sup> Świętochowski, Aleksander (1849–1938) — pisarz, publicysta, działacz społeczny. [przypis edytorski]

<sup>130</sup> Trapszo, Anastazy Franciszek (1832–1898) — aktor, reżyser, dyrektor teatralny. [przypis edytorski]

<sup>131</sup> *Qu'il est beau* (fr.) — jakie to piękne (lub: jaki on jest piękny). [przypis edytorski]

Straszliwy zawód! Zbadano chemicznie wodę w Saskim Ogrodzie: przekrzyczana, osławiona woda Saskiego Ogrodu, ta woda, którą się poili emerycy w przekonaniu, że wraca im młodość, zmęczeni młodzieńcy w przekonaniu, że odzyskają przez to herkulesową siłę — i różane panienki w przekonaniu, że przez to na zawsze zatrzymają swe rumieńce — ta woda, której odbył stokroć był świetniejszym aniżeli niejednego z pierwszorzędných bufetów restauracyjnych, ta woda nareszcie, którą zamykaliśmy usta cudzoziemcom, ilekroć poważyli się obmawiać napój nasz codzienny — okazała się dopiero szóstorzędną pod względem dobroci!

Ta znów karta przypomina nam, że jesteśmy w dobie pierwszych walk o emancypację. *Kłosa* wskazują najwłaściwszą jej drogę:

Nie możemy się powstrzymać od przytoczenia ustępu z korespondencji młodej kobiety, jako wybornej charakteryzującej najlepszą drogę do pracy otwartą zawsze dla kobiet, gdy te nie myślą o tym, by zostać lekarzami, adwokatami lub w ogóle rywalizować z silną połową rodzaju ludzkiego. „A więc do dzieła siostrzyczki, — praca i praca to nasze hasło, to nasza emancypacja! Nawdziemy rękawki, przypaszmy fartuszki, kluczyki załóżmy za paski... lecz złóżmy naradę, co która dziś robić zamierza... Ja biorę na siebie kurczątek gromadę i gąski, kaczkę, indyki... Dla ciebie obórka, wnet krówki wydoją, obejrzyj, czy naczynia czyste. Zbierz oto śmietanę, niech Kasia maselko zaczyna. Maślanka do klusek dla żwawej czeladzi... serwatka na barszczyk się przyda. A ty co wolisz? Warzywa pilnować, czy kwiatki polewać, czy smażyć poziomki, filtrować maliny? Czy kwasic ogórki, czy solić wędliny, czy pszczołki hodować, miód polski przyrządzać?” etc.

Tu coś specjalnie dla mnie. Sam Józef Ignacy Kraszewski pisze o świeżo wydanej *Korespondencji* Balzaka:

Z nowości literatury francuskiej może, na pozór przynajmniej, najmniej pociągające będą świeżo wydane listy Balzaka. Starano się w nich pewnie uniknąć wszystkiego, co by pisarza w złym świetle potomności mogło ukazać, wybrano to, co się tyczyło jego życia literackiego, a jednakże żadna siła ludzka nie potrafi prawdy osłonić. Balzac przedstawia się nam tu nie jako pisarz, mający przed sobą cel wyższy, zadanie artystyczne; nie jako człowiek czerpiący natchnienie w tym, czym drgały i żyły jego lata i kraj jego, ale jako — niestety — wyrobnik, skazany na zapracowanie grosza, na oswobodzenie się z więzów potrzeb codziennych i ciężarów gniotących go. Widzimy go nie piszącego dzieła, ale, wedle wyrażenia francuskiego, *faisant la copie*. Siedzi całe noce, zalewa się kawą czarną, zamordowuje wysiłkiem, aby zarobić, zarobić tylko. To myśl, to cel. Raz w życiu spotkaliśmy się z Balzakiem: uderzyło nas naówczas to jedyne zaprzątnięcie jego rachunkiem i pieniędzmi, nie mówił o niczym innym. Zdawało się to nam przypadkowym — listy dowodzą, że było normalnym.

Wielki talent, intuicja człowieka potężna, jeśli się tak wyrazić godzi, wsparta pracą ogromną, starczyły mu i zastępowały znajomość istotną ludzi i świata, w którym żył mało. Listy zostawiają po sobie przykre wrażenie, jako świadectwo męczeństwa poniesionego dla urojonych celów...

Rzecz szczególna! Dziś właśnie z tych walk i zmagañ się Balzaka wydobyto najbardziej patetyczne rysy jego biografii, dzięki tym listom odbudowano tę potężną i jedyną postać. Kraszewski, zdawałoby się, bardziej niż kto inny powołany, nie odczuł tego, brakło mu perspektywy.

Ale nowe sensacyjne nazwisko: Sacher-Masoch<sup>132</sup>, który dziś jest już tylko legendą i terminem medycyny sądowej (masochizm), wówczas był aktualnością literacką. I o dziwo, polemika literacka, którą przytaczają *Kłosa* z jakiegoś niemieckiego pisma, objawia

<sup>132</sup>Sacher-Masoch von, Leopold (1836–1895) — austriacki pisarz, dramaturg. [przypis edytorski]

nam osławionego autora *Wenus w futrze* jako... szermierza idealizmu. Oto cytat z niemieckiego pisma:

Rozmówienie się p. Mazocha w paradoksach i teoriach rozwesela czytelnika. Mówi np. „że poezja ma do spełnienia zadania obyczajowe i moralne”, gdy przecież mógł się dowiedzieć u Lessinga<sup>133</sup>, Kanta i Schopenhauera, że poezja, jak każda sztuka, nie ma celów, a zatem już dlatego nie może mieć zadania „wytwarzać nowe prawdy i poglądy”.

Również myli się twierdząc, że moralność jako nauka z wzrastającym samopoczuciem wzrasta także, bo przecież wiadomo jest, że etyka od czasów Arystotelesa aż do naszych dni tak samo mało postąpiła jak i logika.

Moglibyśmy się spodziewać, że *Kłosa* ujmą się za biednym Masochem, i że twierdzenia, iż etyka postąpiła od czasów Arystotelesa (bodaj przez chrześcijaństwo!), że „poezja ma do spełnienia zadania obyczajowe i moralne”, powinny być raczej sympatyczne redakcji naszego tygodnika. Gdzie tam! Kronikarz *Kłosów* jeszcze przyklepia od siebie Masochowi:

Zatem, panie Mazoch — znaliśmy już literacką wartość Twoich utworów, których tłem były zawsze fałszywe obyczajowe lub fałszywe historyczne co do ludu polskiego; tylko szersza publiczność nie umiała sobie zdać sprawy z wrażenia przykrego, spowodowanego Twoimi teoryjkami pseudofilozoficznymi.

Lecz dziś nie może być wątpliwości, że takie teorie filozoficzno-estetyczne są tylko polowaniem na oryginalność, są jej pozą, ale i do rzeczywistej oryginalności tak im daleko, jak Tobie, panie Mazoch, choćby do p. Emila Zoli, który, obrzydły z wielu względów, ma przecież wielki talent i oryginalność niezaprzeczoną.

(Godzi się podkreślić: w ówczesnych polemikach, nawet wymyślając sobie, *Ty i Twój* pisało się dużą literą).

Jak wam się podoba to Pokłosie? Czy nie dobrze oddaje dość smętny „żywot pocztowych ludzi” w Warszawie w r. 1877? Czy to nie jest w istocie mała „podróż w czasie”?

Ale słyszę wołanie konduktora: „Maj, 1929!” Czas wysiadać.

## CZY NAPOLEON ISTNIAŁ

Od czasu do czasu spotykają mnie ze strony czytelników wzruszające dowody zainteresowania. To wyrazy sympatii, to wymyślenia, dochodzące do epitetów niezmiernie drastycznych; za jedne i za drugie, nie mogąc na wszystkie odpowiadać oddzielnie, na tej drodze serdecznie dziękuję.

Niekiedy spotykają mnie jeszcze wymowniejsze znaki pamięci. Nie wspominam mego „świętopierza”, bo to wypadło oplakanie<sup>134</sup>: budzik i trochę kwiatków! Myśl była zdrowa, ale — jak się okazało — przedwczesna.

Ale raz po raz któryś z czytelników przysyła mi jakąś ciekawą książeczkę. Czasem imiennie, czasem bez. Nie dalej jak w tym samym domu, mam sąsiada bibliofila, który, od czasu do czasu, spuszcza mi z góry jakiś starożytny tomik, oprawny w skórę, ślicznie pachnący stęchlizną.

Co do mnie, nie jestem niestety bibliofilem, brak mi na to czasu i środków. Książka ma dla mnie wartość użytkową, co zresztą nie wyklucza sentymentu. Świeżo przesłano mi, wraz ze zbiorowym listem, jedną, która mnie szczególnie ucieszyła. Mała książeczka francuska, wydana w r. 1854, pod tytułem *Ucieszne historie o cesarzu Napoleonie*. Ten maleńki

<sup>133</sup>Lessing, *Gotthold Ephraim* (1729–1781) — niemiecki pisarz, krytyk literacki, dramaturg. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>*Nie wspominam mego „świętopierza”, bo to wypadło oplakanie* — patrz: Boy, *Pijane dziecko we mgle*. [przypis autorski]

tomik — opisuję go tu dla amatorów — jest dość dziwną mieszaniną. Jest tam sławna *Historia Napoleona opowiedziana w stodole*, wyjęta, jak wiadomo, z *Lekarza wiejskiego* Balzaka; są i inne opowiadki Fryderyka Soulié<sup>135</sup>, i *Grób Napoleona*, i tabela chronologiczna chlubnych czynów cesarza. Wszystko to nie ma w sobie nic tak „uciesznego”; ot zwykle nabieranie na tytuł, znam się na tym. Ale, pod koniec książeczki, podskoczyłem zelektryzowany: widzę, ni mniej ni więcej, tylko przedruk słynnego traktatu rzekomego pana J.B. Pérès<sup>136</sup>, bibliotekarza miasta Agen, pod tytułem: *Jako Napoleon nigdy nie istniał*.

Słyszałem nieraz o tym traktacie (wydanym po raz pierwszy znacznie wcześniej), ale go nigdy nie widziałem na oczy; połączyłem go tedy z ciekawością. Tytuł w całości brzmi: *Jako Napoleon nigdy nie istniał, wielki błąd, źródło nieskończonej ilości błędów historii XIX wieku*.

Rozumowanie jest takie: Napoleon nigdy nie istniał; jest to ucieleśniony mit słoneczny.

A oto dowody: nazywa się Napoleon; jasnym jest, że to imię jest przeobrażeniem imienia *Apollon*, słońce. *Apollon* znaczy „niszczyciel ludzi”, z powodu szkód, jakie wyrządził Grekom pod Troją. Właściwe imię rzekomego cesarza brzmiało *Neapoleon* (tak brzmi napis na kolumnie *Vendôme*), to *ne* jest wzmocnieniem, znaczy *zaiste*.

Matka cesarza zwała się *Letycja*: co znaczy *radość*, co znaczy *jutrzenka rodząca słońce*. Wiadomo, że matka *Apollina* nazywała się *Leto*.

Syn *Letycji* miał trzy siostry — trzy gracje — i czterech braci, co wyraża cztery pory roku. Z trzech braci *Napoleona*, trzech byli królami; jeden król, to wiosna władająca<sup>137</sup> kwiatami; drugi, lato władające zbożem, trzeci — jesień, owocami. Czwarty nie był królem, bo z czterech pór roku zima nie włada niczym.

Wedle tej samej legendy, *Napoleon* miał dwie żony: i *Słońce* miało, wedle legendy, dwie: *Księżyc* i *Ziemię*. Z jedną, *Luną*, słońce nie miało potomstwa; z drugą, *Ziemią*, miało jednego syna. Wedle wierzeń egipskich, był to mały *Horus*, wyobrażający ziemię zapłodnioną przez słońce: rzekomy syn *Napoleona* miał się też urodzić 20 marca, na zrównaniu wiosennym.

Powiadają, że *Napoleon* urwał łeb hydrze rewolucji: ta hydra, to wąż *Python*, który terroryzował Grecję i którego zabił *Apollon*. Rewolucja jest również mitem, pochodzi od słowa *revolutus*, wąż zwinięty w kłębek.

Ów rzekomy wojownik XIX wieku miał dwunastu marszałków czynnych i czterech nieczynnych. Dwunastu czynnych, to dwanaście znaków zodiaku, pod dowództwem słońca; czterech nieczynnych, to cztery nieruchome punkty kardynalne.

Powiadają o *Napoleonie*, że przebiegał chlubnie strony Południa, ale że nie zdołał wdrzeć się na Północ. Jest to znamieniem biegu słońca, które włada na południu.

I tak dalej, i tak dalej, autor przeprowadza swoją tezę jeszcze daleko bardziej drobiazgowo a ściśle logicznie. Kończy konkluzją, że rzekomy bohater jest tylko alegorią, a wiara w niego jest nieporozumieniem między mitologią XIX wieku a historią.

Co sądzić o tym pisemku?

Pierwsza myśl, która się nasuwa, to że autorem jego jest wariat lub przynajmniej człowiek pomyłony. Bywają tacy. Pamiętam takiego pana *Ostaszewskiego*<sup>138</sup>, który całe życie pracował nad teorią, że słońce znajduje się w środku ziemi, to zaś, co widzimy na niebie, jest tylko jego reflekssem. I francuski wydawca zastanawia się, co o tym myśleć. Zrazu przypuszczał, że to niewczesny żartowniś, ale doszedł do wniosku, że nie. Wydawca mniema, że to jakiś uczony, kryjąc się pod pseudonimem, chciał sparodiować teorię pana *Dupuis*<sup>139</sup>, a w szczególności jego dzieło pod tytułem: *Początek wszystkich religii*. *P. Dupuis* (1742–1809) był to wielki pogromca mitologii; był pierwszym, zdaje się, twórcą owej tak dziś utartej teorii, że starożytne podania o bogach, półbogach i bohaterach są to jedynie

<sup>135</sup> *Soulié, Frédéric* (1800–1847) — fr. pisarz, dramaturg. [przypis edytorski]

<sup>136</sup> *Pérès, Jean-Baptiste* (1752–1840) — fr. fizyk, prawnik, bibliotekarz. [przypis edytorski]

<sup>137</sup> *władzący* — dziś: *władający*. [przypis edytorski]

<sup>138</sup> *Ostaszewski, Adam* (1860–1934) — naukowiec, wynalazca, konstruktor lotniczy, pisarz i tłumacz, doktor prawa i filozofii; autor kilku bardzo kontrowersyjnych teorii. [przypis edytorski]

<sup>139</sup> *Dupuis, Charles-François* (1742–1809) — fr. uczonego i polityk. [przypis edytorski]

symbole systemu słonecznego. Poglądom tym długo opierały się poetyczne dusze, których wyobraźnia nie chciała się rozstać z pięknem greckich bajek.

Otóż, autor tej rozprawki miał na celu sparodiować wywody pana Dupuis i doprowadzić je do absurdu. Istotnie, wyobraźmy sobie, że od czynów Napoleona dzieli nas nie parę dziesiątków lat, ale wieki; że nie ma dokumentów, tak jak my ich nie mamy do owych legendarnych dziejów; gdzież wówczas dowód, że Napoleon nie był jedynie mitem słonecznym? Prawdę jego ocala jedynie to, że... żyją ludzie, którzy go widzieli. Ale i to, czyż to jest dla nas argument? Wszak co dzień widują ludzie zjawy na seansach, a nauka mówi, że to niczego nie dowodzi.

Ale możliwe jest, że wydawca nie chciał, czy nie mógł powiedzieć wszystkiego. Bo oto na końcu tej rozprawki jest taki dopisek:

PS. Moglibyśmy przytoczyć jeszcze, na poparcie naszej tezy, znaczną ilość dekretów królewskich, których niewątpliwe daty sprzeczne są z panowaniem Napoleona; ale mieliśmy swoje powody, aby nie czynić z nich użytku.

Zdaje się, że tu jesteśmy w domu. Autor ubił co najmniej dwa ptaszki na jeden strzał. Wiadomo, że Ludwik XVIII, wszedłszy do Francji, przy pomocy obcych wojsk, zaczął szumnie datować swoje dekrety „dziewiętnastym rokiem swego panowania” — od śmierci rzekomego Ludwika XVII-go — starając się stworzyć tym samym fikcję, że Napoleon nie istniał, w czym szli mu na rękę usłudni dworacy. Dwadzieścia lat bohaterskiej historii Francji wymazano! Napoleon w istocie stawał się mitem słonecznym! Autor zatem tego żartu, pisząc satyrę na teorię pana Dupuis, uderzył mimochodem w śmiesznośćkę niezbyt popularnego monarchy. Czy wszyscy go zrozumieli?

\*

Od jednego z czytelników otrzymałem następujący list:

Panie Boyu! Przeczytałem artykuł pana, *Czy Napoleon istniał?* Otóż, taki sam artykuł istnieje w polskim języku. W r. 1908–1909 ukazał się artykuł, czy też broszura (dobrze nie pamiętam) A. Niemojewskiego<sup>140</sup> o Chrystusie, w której udawał, że to mit-legenda. Jako odpowiedź na artykuł Niemojewskiego ukazał się artykuł księdza zdaje się że Kłopotowskiego czy Godlewskiego, iż Napoleon nie istniał. Artykuł ten był drukowany w jakimś piśmie katolickim w Warszawie, które przyniósł nam do 4 klasy gimn. ks. prefekt Antoni Montak, obecnie proboszcz pod Warszawą. Zachodzi pytanie, czy autor Polak znał broszurę francuską, czy nie, czy popełnił plagiat, czy też nie, czy wreszcie obrał metodę dowodzenia *ad absurdum*, jak nieraz używa się w matematyce, ażeby dowieść prawdy?

Artykuł ma dużo wspólnych cech podobieństwa; w ten sam sposób tłumaczono imię, skład rodziny, ilość marszałków itd.; na dowód przytoczono masę wyjątków z poetów polskich, i to jedynie nam się najbardziej podobało...

Warto utrwalić przyczynę zjawienia się artykułu o Napoleonie napisanego przez polskiego księdza; może potem kiedyś ktoś znowu porówna i dociekać będzie, co księdza zmusiło do napisania artykułu o Napoleonie...

Szanownemu czytelnikowi powiedzieć mogę tyle: owa francuska broszurka o Napoleonie ukazała się i po polsku, bezimiennie, jako tłumaczenie pod tytułem *Dowód, że Napoleon nigdy nie istniał, wielkie erratum* (1837, Poznań, J.J. Heine). Zdaje się, że jest dziś bardzo rzadka; niedawno udało mi się ją nabyć przypadkowo. Jest to wierny, choć nieco skrócony przekład francuskiego oryginału: jedynie końcowa *Uwaga tłumacza* odbiega od francuskiej *Uwagi wydawcy*, kończąc słowami, których w oryginale nie ma:

<sup>140</sup>Niemojewski, Andrzej (1864–1921) — poeta, pisarz, religioznawca. [przypis edytorski]

Miałbyż autor powyższego dzieła, które we Francji i w Niemczech oczy wszystkich na siebie zwróciło, innego nie mieć celu, jak niejako dla igraszki faktu<sup>141</sup>, których tysiące świadków jeszcze żyją, przybrać w postać bajeczną? Nie miałże innego ważnego zamiaru? Nie jestże dziełko to parodią na *Życie Jez. Chrystusa* przez Straussa<sup>142</sup>?

Gdyby kilka wieków później pismo powyższe na świat było wyszło, niezawodnie wzniciłoby wątpliwość o prawdziwości historii wieku 19-go; dzisiaj satyry któż by nie poznał?

Tak więc polski przekład w samym założeniu skierował ostrze satyry w tym duchu, w jakim wyzyskano ją później.

## PLOTKI STAREGO LIRNIKA

Dziwnymi drogami idą losy człowieka! Przez dziesięć lat życia grałem w karty, potem byłem lekarzem, potem błaznem, potem mędrcom, wśród tego zabrnąłem w literaturę francuską i tkwiłem w niej przydługo, aż naraz, w wilię oddania pod prasę setnego tomu „Francuzów”, ogarnęła mnie niespodzianie taka nostalgia ziemi rodzinnej, taka ciekawość rzeczy i spraw polskich, że całkowicie mnie wykoleiła. Codziennie chodzę na ulicę Świętokrzyską i wracam objuczony starymi pamiątkami, listami, chodzę do bibliotek publicznych, szukam towarzystwa starych ludzi, pamiętających co najmniej przejście Berezyny<sup>143</sup> lub odwrót spod Deotymy...

Jakież to miłe zajęcia, szperanie po żółkłych szpargałach. Nie znam bardziej filozoficznej zabawy niż to poufne zetknięcie się z przeszłością, nie zanadto dawną, z tą, którą jeszcze można nastrzykać fluidem pośrednich wspomnień. Cienie nabierają życia, twarze koloru, dekoracje perspektywy, umarli uśmiechają się przyjaźnie.

Teofil Lenartowicz<sup>144</sup>, słodki „lirnik mazowiecki”. Któż się dziś o niego troszczy! Wydobyto żeń ekstrakt w formie garści ślicznych wierszy, reszta spoczęła w „grobie zasłużonych” na Skałce w Krakowie, uroczyście obkadzona na pogrzebie, który jeszcze pamiętam z dzieciństwa.

I oto, dzięki uprzejmości p. Muszkowskiego, bibliotekarza Biblioteki Krasieńskich, przysłałem się do nieoszacowanych „odpisów Biegeleisena<sup>145</sup>”, obejmujących, między innymi, niewydaną korespondencję Lenartowicza, przeważnie skierowaną do wieloletniej przyjaciółki, pani Teodory z Narbuttów Moszczuńskiej. Na jej łono wylewa przedwcześnie zestarzały poeta swoje żale, swoje biedy i swoje złe humory.

A miał do nich powody. Przede wszystkim zdrowie: choruje na kamień. My, ludzie wykształceni, wiemy od samego Montaigne’a, że to paskudna choroba. Potem bieda: wiersze nie żywią; poeta, mający niejedyn talent w zapasie, bierze się do złotnictwa, do rzeźby, do medalierstwa. Ale i z tego niewielka pociecha:

Od niejakiego czasu mam wstręt do poetów; odkąd zostałem kamieniarzem, zdunem, mam się za coś lepszego, chociaż, pomiędzy nami mówiąc, praktycznie tak się to ma, że poezja przynosi ze sobą biedę, a rzeźba...nędzę...

Rodacy mało zamawiają, źle płacą; kłopoty ciągłe: „Pieniądzy krzyczę, wołam, i w obrazie sobie, nie ukazują się; wszystkie zakłęcia wypotrzebowałem”...

Oto, niestety, zbyt częsty refren poetów.

Siedzi biedak we Florencji, przedwcześnie zgrzybiały, jak sam pisze o sobie „stary, łysy, kulawy, ślepy, bez zębów, siwy, skurczony w cztery pałaki Teofil”. Siedzi z dala od ludzi, z którymi coraz mniej się rozumie i którzy go drażnią nawet w swoich pochwałach. Na to, co pisze, nie może znaleźć wydawcy, a tu ludzie wciąż

przychodzą i oglądają autora *Lirenki*, który to tytuł tak mi obrzydł, że kiedy mi o tych wierszykach młodocianych wspomną, to jest jakby szyby kot pazurami drapał.

<sup>141</sup>fakta — dziś: fakty. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>Strauß, David Friedrich (1808–1874) — niem. teolog i filozof. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>przejście Berezyny — bitwa nad Berezyną (dziś na terytorium Białorusi) 25–29 listopada 1812, w czasie marszu Napoleona na Rosję. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>Lenartowicz, Teofil (1822–1893) — poeta, etnograf. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>Biegeleisen, Henryk (1855–1934) — etnograf, historyk literatury polskiej. [przypis edytorski]

Siedzi z dala od kraju, a te wieści, które go dochodzą, drażnią go i oburzają. Bo w kraju zaszło wielkie przeobrażenie. Nowi ludzie, nowe hasła. Skończyła się doba romantyzmu. Przeszedł straszny rok 1863. Naród szuka zbawienia w trzeźwości, w rachunku swoich błędów, w pozytywności. On, emigrant, daleki od realnego życia, nic a nic z tego wszystkiego nie rozumie. Po przesyleniu poezją nastąpiła reakcja. Utrzymały się wielkie „firmy” przeszłości, zbankrutowały — często niesłusznie — mniejsze. Wścieka starego to zamknięcie listy na uświęconych „trzech wieszczach”:

Jako rzeźbiarz skazany na głodną śmierć, jako poeta odsądzony od prawa do natchnienia, ponieważ kawalerowie dardańscy i panny Kozieradzkie sroki uradzili: że Słowacki, Mickiewicz, Krasiński, Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, Krasiński, Słowacki, Mickiewicz. O, więc już kwiaty rosnąć nie powinny, ponieważ jedne zima ścięła (głupie kozy!).

Niby to odżegnywa się sam od poezji, ale na wiadomość, że młodzież stroni od niej, oto jak wybucha:

Powiadasz, że młodzież wierszy nie lubi, ani żadnej poezji; więc to nie jest młodzież, tylko psiaki, moskiewski podarunek i koniec!

Niemniej jednak irytują go wieści dochodzące o nowych bogach:

Kiedy ten zalecany przez Kraszewskiego El-y, Asnyk, podle rymy kropi, a fakunda aż strach!

Poezji nie przypominaj mi, bo mi się źle robi, jak pomyślę, co się dziś podoba w kraju i czemu dają miano poezji. Ot, zgłupiał kraj, zwariował i spodłał; czyli raczej jego tak zwana inteligencja.

I krytyka „dzisiejsza” — Boże zmiłuj się! — irytuje starego lirnika. Znany był epizod, o którym w dzieciństwie jeszcze słyszałem z tradycji, jak nowo mianowany młody profesor Stanisław Tarnowski, w czasie wykładu o Polu, krygując się wedle zwyczaju, ujął niedbale książkę i wycedził: „Jarem, jarem — za towarem — manowcami za wołami — i to ma być poezja polska!”, co mówiąc, puścił lekceważąco książkę na ziemię.

Później tłumaczono hrabiego, że książka upadła przypadkiem, ale krzyku co było, to było. Otóż znajdujemy tu aluzję do tej sceny:

Krytykę krakowską czytałem: takiego to dzisiejsi krytycy używają języka (arystokratyczni!). Nie dziw, że o tłumaczeniu hrabiego (Przeździeckiego) popisał to, co popisał, a wszakże ten panicz Pola Wincentego *Pieśń o ziemi naszej* nazywa rymowaną geografją, Gosławskiego lichym rymotwórcą, Zaleskim Bohdanem rzuca o ziemię, a resztę, prócz Krasińskiego i Adama, nazywają zgrają rymopisów bez sensu. Wolno, czemu nie, wszystko wolno i kto by się tam o to gniewał!

I z prozą coś nietęgo. Wszystko widzi w czarnych kolorach biedny emigrant-samotnik:

Kraszewski rżnie powieści historyczne na potęgę, a przy tym przez sen, kiedy śpi, dwudziestu palcami kropi drugie powieściidla, podle, na handel. Ten stary mnie do rozpacz doprowadza...

A polityka! To już najgorsza zaraza; oto co pisze Lenartowicz w latach siedemdziesiątych i którychś:

Pochodzę z kraju, który publicznie wobec świata przez usta swoich posłów, notablów, uczonych, profesorów, księży etc., wyznaje, że jest ścierwem podłym (Tarnowski, X. Golian, X. Kalinka, prof. Bobrzyński, Krzywicki, Spasowicz<sup>146</sup>, Czajkowski<sup>147</sup>, Popiel<sup>148</sup>, biskup Janiszewski<sup>149</sup>, koło sejmowe galicyjskie, Warszawa postępową, Kraków stojący i poznańska szlachta,

<sup>146</sup> Spasowicz, Włodzimierz (1829–1906) — krytyk literacki, publicysta, prawnik. [przypis edytorski]

<sup>147</sup> Czajkowski, Antoni (1816–1873) — poeta, prawnik, wykładowca prawa na Uniwersytecie Petersburskim; autor m.in. rozprawy *O prawach kobiet*. [przypis edytorski]

<sup>148</sup> Paweł Popiel (1807–1892) — konserwatywny polityk, publicysta. [przypis edytorski]

<sup>149</sup> Janiszewski, Jan Chryzostom (1818–1891) — duchowny katolicki, polityk. [przypis edytorski]

i mieszczaństwo, i Żydy – 3 miliony!), czegoż więc mam wieszować i czego życzyć?

Droga moja siostruniu, jeżeli w waszych salonach słyhać imię ojczyzny, to już tylko przez ironię...

Księża łajdaki zamieniają kościoły na domy schadzek rozpustnych, literaci wszyscy sprzedani Żydom i zdrajcom, inni spłoszeni milczą, bojąc się utracić sławę, popularność... nic nie widzą, nic nie słyszą, jak prostytutkę i zgniliznę, zrobienie tego wielkiego niegdyś narodu...

Dziś, kto się Polakiem wyznaje, uważany jest za zdrajcę i wariata. I to propagują taką zasadę synowie bohaterów... Do kogóż się odzywać, dla kogóż pracować?...

Czasem zdarzy się poecie jakaś mała satysfakcja za to zapomnienie i osamotnienie; wówczas z przyjemnością donosi o niej przyjaciółce. Ot, jakaś uroczystość patriotyczna we Florencji:

Tosiku drogi, kochany! Czemu tu ciebie nie było 3 maja; aj, aj, aj, co za śliczny 3 maj! Entuzjazm od początku do końca, sala pełna, stare profesory prezentujące się i ściskające mi ręce... A, *per bacco*, gdybym był więcej głupi jak jestem, myślałbym, że naprawdę zostałem profesor i nadąłbym się a la Stachulo Tarnosio i przywdziałbym lakierowane buty do deptania poetów z gracją i majestatem...

Błazny jak Żyd K(laczko)<sup>150</sup> i buffon krakowski T(arnowski) wyśmiewają się i kraj im brawo bije...

Czasem dojdzie go jakieś sympatyczne echo z kraju, uznanie młodzieży:

A teraz, cóż ci powiem, figlarzu mój drogi: przyjaciele, o tak, uniwersytecka młodzież cała polska, ale też psów i żmij mi nie brak; takich Dandysów katedralnych jak Tarnowski, żydków paryskich jak Klaczko, i jezuitów Kalinków, to razza...

Nie dziwny się zbyt, kiedy na schyłku życia, w r. 1887, zapomniawszy widocznie o dawnych sądach, pisze do tej samej pani Teodory: „Klaczko tu co dzień do mnie zachodzi, stary znajomy od lat tylko trzydziestu”...

Czasem pan Teofil nabiera sił i rezonu i odgraża się buńczucznie:

Ale nie bój się, niechby tylko jeszcze rok zdrowia, a sprawię im balik za poezję polską. Brandmaistry wyperfumowane, bezsumienne szczeniaki, dostaną oni za swoje! Poezja polska wyjdzie spod gruzów, ale z twarzą tak ognistą jak głębie wulkanów ukrytych!

Ale wnet przychodzi zniechęcenie; czuje się sam, bezsilny. W literaturze trzeba iść kupą:

Gdyby nas było czterech jednej wiary i jednym węzłem przyjaźni połączonych, moglibyśmy oddziaływać, ale nie ludź się, tak nie jest... Kornel (Ujejski) pyszny, ani się odezwie; Krasz(ewski) poczciwy, zababrany w piśmie, a zresztą kto? gdzie? powiedz? jestem więc sam: a sam, to znaczy żaden i bez głosu.

Pisać to zresztą najłatwiej, pisze też jeszcze i dużo i raz po raz jakiś poemat ukropi, to o Sobieskim, to o innym bohaterze, ale jak to wydać, gdzie?

Manuskryptów księgarze nie kupują dla tej dobrej racji, że z wysoka zakazano czytać pisma wartogłowów poetów... Sierotek narodziło się kilkoro i te zółkną w tece autora; pukałem, stukałem, amatorów nie ma. Hrabowie (24 hrabiów pisze obecnie!) wykluczają poezję: a kysz! a kysz! i księdzowie<sup>151</sup> także, *ad maiorem Dei gloriam*<sup>152</sup>.

<sup>150</sup>K(laczko) — Julian Klaczko (1825–1906); krytyk literacki, publicysta, eseista. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>księdzowie — dziś popr.: księża. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>*ad maiorem Dei gloriam* (łac.) — na większą chwałę Bożą. [przypis edytorski]



Raz po raz ubywa ktoś ze starej wiary, kogoś chowają. Żegna pan Teofil odchodzących, ale i im nie oszczędzi słowa prawdy. Wicusiovi Polowi na przykład takie podzwonne:

Dumny był wobec małych, a poniżał się wobec możnych; ja takich geniuszy nie podziwiam. Talent miał wielki, ale serce próżne. Z tym wszystkim, niech mu światłość świeci wiekuista...

Sam czuje zresztą swoje zgorzknienie; ma o nie urazę do siebie, czuje się zbyt ciężarem na świecie: „Przyszedłem do tak miłego usposobienia, że już tylko śmierci umiałbym winszować, nie życia”. Myśli o jakimś zaciszu, gdzie by mógł głowę skłonić na ostatnie dni. Ale i tu wyrwie mu się gorzkie słowo:

Chcę na resztę dni przycupnąć u Augusta Cieszkowskiego<sup>153</sup> w Poznaniu, jeżeli panowie Niemcowie i bóstwo Polaków Bismarck książę pozwoli. Głupi nasi na nim budują nadzieje. Nie ma głupszych baranów jak Polacy.

Wszystko doprawdy drażni biedaka; narzeka na martwość w kraju, a każdy objaw życia go irytuje. „Matejce płacą po 20.000 guldenów, bo jest w modzie”, pisze; a jemu co? Przychodzą i przychodzą, a żeby kto co zamówił!

Dzięki ci za skłanianie współziomków do odwiedzania mnie; tylko co mi diabli po nich, jeżeli nic nie kupią, a na to ich nie namówisz, to tam darmo...

W kraju też, korzystając z oddalenia, skubią go jak mogą, a może tylko jemu się tak w rozgoryczeniu wydaje. Ale pisze bez ogródek:

Pan Anczyc<sup>154</sup>, urwis krakowski, oszukał mnie na edycji i obdarł ze wszystkiego. Nie użyłem nic, a żółci, ach, ile wypilem. O, szajko złodziejska urwipolciów literackich!...

Czasem stary wpadnie w lepszy humor i pofiguje trochę; ot, na przykład, kiedy mu pani Teodora przysłała z żartów jakąś zbyt dekolowaną rycinę:

Teośku, siostrzyczko lubowczyku, skąd tobie przyszło przysyłać mnie pustelnikowi jakieś wenusy nagusy? Azaliż doświadczyć mnie chcesz jak świętego Antoniego? *Vade retro, satanae!*<sup>155</sup> Ciężka pokusa, grzech, fe! marność, *vanitas* kompletne. Choćbyś mi powietrzem śledzia holenderskiego z oliwą i cebulką wyprawiła, ani tknę, tak samo jak święty Antoni, a pani Wenus niech się wynosi, póki cała. Starego Wincentego Pola skusiła pogańska bogini i oto... żeni się. Ale mnie, niech próbuje, panie!

I zaraz się tłumaczy, jakby przeproszał za swoją chwilę wesołości:

Nie gorsz się, kochana siostruniu, i nie bierz mnie za pustaka, kiedy ja się śmieję, to widać, że mi nie musi być dobrze... Śmieję się ze wszystkiego, ze wszystkiego, ze wszystkiego, aż mnie serce boli... Notabene wiesz, że w ciągu jednego roku posiwiałem jak dziad pasiecznik, pogarbiłem się i nazywam się starowina...

Kiedy to pisze, nie ma jeszcze pięćdziesięciu lat! A szkoda, że tak zgorzkniał i skwaśniał stary, bo kiedy się rozmacha, to potrafi z humorem nakreślić ot taką sylwetę:

U pani Aleksandrowej (Przeździeckiej) ja *mammalam notam*. Matka Kościola i puzderko na zachowanie dobrego tonu i wszelkich cesarskich pieczęci hrabiowskich, kwoczy się i mruży oczy, i cedzi, i prostuje, i waży słówka, i raczy jeść, i raczy chodzić. O baby! Dałbym ja wam smarowidło mazowieckie, tobyście wy się nauczyły cenić ludzi trzeźwych i uczciwych!

Dama

<sup>153</sup> Cieszkowski, August (1814–1894) — działacz społeczny, filozof mesjanizmu polskiego. [przypis edytorski]

<sup>154</sup> Anczyc, Władysław Ludwik (1823–1883) — poeta, wydawca, tłumacz. [przypis edytorski]

<sup>155</sup> *Vade retro, satanae!* (łac.) — idź precz, szatanie! [przypis edytorski]

Sarmatyzm wyłazi z czulego autora *Lirenki* wszystkimi porami. Donosząc o jakiejś plotce, pisze:

Policzek wymierzony damie na przechadzce przypomina mi jedną warszawską kokietę, którą amant, niejaki pan Notarzewski, kijem obłożył na Miodowej ulicy wprost Kapucynów, czego mu bynajmniej za złe nie miało. Baba kokietka warta jest, aby ją młócono. Trzeba bić, albowiem to są argumenta najwymowniejsze...

No i niebezpiecznie jest pociągnąć go za język, bo wówczas jak nic palnie sobie takie niedyskrekcje:

Kornel Ujejski, uczony i wielbiony we wszystkich pismach, ma jedną wadę, za którą prześladowają go, jak się domyślam: oto że go harpie pożądliwości rozdzierają... Na ruinach rzymskich, w gajach Partenopy, na wzgórzach romantycznych Florencji, Jeremiasz polski był palony diabelskimi ogniami i drobnym kroczeniem za wszelką niewiastą latał. Zaiste, jestże to Jeremiasz bolejący na gruzach Jeruzalem? Nie, prędzej Minotaur, prędzej Jowisz przed metamorfozą w byka. Niech jego z tą zapamiętałością nieumiarkowaną! Zresztą o innych złych stronach nie wiem, i jestem pewny, że i drudzy nie wiedzą.

Już to polscy prorocy więcej w ogóle do Dawida są podobni niż do Jeremiasza albo Izajasza. Przepadają za plemieniem niewieścim, z czego się robi morowe powietrze i inne przypadłości. Zygmunt (Krański), brzydki jak pies, zezowaty, z nogami taxa, a sultanił, panie, po całym świecie i miewał porwania do siódmego nieba i łaskę proroctwa (podług wzorców Schellinga). Adam (Mick.) grzązł także w nieprawościach z jakimiś Żydówkami (Dajbel). No, już daj pokój, nie prześladowaj, niech oni tam sobie radzą na drugim świecie, przebaczymy im z uwagi na obfitość błędów tego rodzaju Petrarki księdza, Danta przeora, Kalderona także księdza itd. itd. Wszyscyśmy grzeszni, ale nie z własnej chęci, tylko... no... diabli tak dokazują rogakze, szelmy z widełkami, na które łapią nas potem jak kotlety i łupią... brrum! brzydkie bestie.

Zmysły, Poeta, Prorok,  
Grzech, Diabeł, Pokusa

Nie ma to jak pogwarzyć ze starszymi ludźmi, prawda? Słodki lirnik mazowiecki!

## FRUWAJCIE

W przededniu poświęcenia polskich linii lotniczych „Lot”, jako gorący wielbiciel tego sposobu komunikacji, chciałbym — mówiąc językiem dziennikarskim — zrobić mu, w zakresie skromnych moich środków, „reklamę”. Ale wydaje mi się, że reklama lotnictwa idzie inną drogą; nie drukiem, ale raczej „pocztą pantoflową”. Jeden pyta się drugiego, czy już latał, jak tam było, wywiadyje się o jego wrażenia, o stan zdrowia, etc. i w razie pomyślnego wywiadu — decyduje się. Fruwanie udziela się z człowieka na człowieka, jak choroby epidemiczne. Udział kobiet zwłaszcza jest w tym duży. „Cóż się panu może stać, przecież pani X. latała”, nieraz słyszy się ten ostateczny i nieco zawstydzający argument. Bądź co bądź, ma to duże znaczenie, zwłaszcza gdy chodzi o panie liczące wielu znajomych. Fakt fruwania pani Julii Jentysowej posiada niewątpliwie pierwszorzędną doniosłość w rozwoju polskiego cywilnego lotnictwa. Przed kilku miesiącami powtarzano sobie w Krakowie, że właścicielka Zakładu Witrażów S.G. Żeleński<sup>156</sup>, mając pilne interesy handlowe w Wenecji, wsiadła do samolotu w Krakowie, przesiadła się w Wiedniu niby z tramwaju do tramwaju, i jednym dniem zaleciawszy do Wenecji, załatwiwszy swoje sprawy, wróciła tą samą drogą. To wystarczyło, aby zanotować w Krakowie znaczne ożywienie ruchu lotniczego. Bo Polska to jest mały świat, nie potrzeba świetlnych transparentów, ani megafonów, wystarczą ludzkie języki.

<sup>156</sup>Zakład Witrażów S.G. Żeleński — pracownia założona w 1902 r. przez Stanisława Gabriela Żeleńskiego (1873–1914), brata autora. Po jego śmierci zakład prowadziła jego żona Izabela, a potem syn Adam. W XXI w. firma działa nadal, a obok pracowni znajduje się muzeum witrażu. [przypis edytorski]

Podobne znaczenie mają loty literatów. „Skoro człowiek z takim talentem, z taką przyszłością, z tak żywą wyobraźnią nie waha się powierzyć wszystkich tych skarbów wątlej łupinie aluminiowej, to widocznie musi to być bardzo bezpieczne”, powiadają sobie ludzie. I w istocie jest bardzo bezpieczne. Pod tym względem polskie linie są ponad wszelkie pochwały. Od początku istnienia pasażerskiej komunikacji poza paroma niewinnymi lądowaniami nie było *ani jednego wypadku*. Ale co mówię, wypadku! Na udoskonalonych aparatach lot jest tak spokojny, że słynne torebki papierowe stały się raczej czcigodnym zabytkiem niż przedmiotem istotnej potrzeby. Parę dni temu leciałem do Gdańska. Cudowny lot, dwie godziny i ćwierć, równo jak po stole, pasażerowie, zmorzeni parnym pochmurnym dniem, przeważnie odbyli drogę drzemiąc. Dopiero przybywszy na miejsce, dowiedzieliśmy się, że był to lot szczególnie trudny, że dzielny pilot musiał ciągle wymijać burze, to wznosić się, to zniżać aż do 50 metrów nad ziemię, o czym wszystkim w zacisznej kabinie nie miało się pojęcia.

— Co mi z tego, że bezpieczne, kiedy drogie, mruczy czytelnik. Wolałbym mniej bezpieczne a tańsze. — Drogie? Żartujesz chyba, czytelniku. To raczej „Lot” mógłby narzekać na ciebie, że ty jesteś drogi, i że tak jak dziś rzeczy stoją, dopłaca na czysto do każdego funta twojej żywej wagi. Skąd zresztą drogie? Policzmy tylko: jazda kosztuje tyle, co bilet drugiej klasy z wagonem sypialnym, który wszak dla człowieka jadącego w interesach jest prostą oszczędnością. A zysk na czasie, to nic? Dwie godziny zamiast dziesięciu czy jedenastu, to nic? Tanio szacujesz swój czas, mój rodaku, to bardzo niedobrze... No i jeszcze jedno, to co dostajesz w naddatku: rozkosz! W bilecie kolejowym (nawet ze sleepingiem) nie jest objęta rozkosz, a tu jest, i jaka! Rozkosz najbardziej realna, taka, od której chwilami dech zapiera, rozkosz lotu; i rozkosz wyższego rzędu, rozkosz duchowa, uczucie dumy, że jesteś człowiekiem, władcą ziemi, morza i powietrza. Ale tę rozkosz trzeba się spieszyć kosztować, później ona się zużyje, zetrze się, spowszednieje, podobnie jak człowiek jadący kolejką wilanowską nie kosztuje już uczucia dumy, że rozkazuje parze wodnej, ani człowiek jadący tramwajem nie poi się władczą myślą, że ujarzmił elektryczność. Jazda powietrzna daje nam jeszcze tę rozkosz w całej pełni i to jest królewski naddatek, dorzucony przez imprezę „Lot” do biletu jazdy w cenie II klasy kolejowej.

Rozkosz, Postęp, Lot

Fruwajcie tedy, bracia moi! Bujajcie w przestworzach, uczcie się oddychać wolną pierśią, obejmować z góry szerokie widnokregi, uczcie się patrzeć z wysoka na małości ziemi, uczcie się dumy i pokory razem... wszystko to można nabyć dodatkowo przy skromnej jeździe do Gdańska lub Katowic, wprzód jakże prozaicznej i martwej!

Jest, co prawda, jedna konkretna przeszkoda, odległość lotniska. Mokotów jest tak daleko, że sam w sobie stanowi poważną podróż dla warszawianina. Gdyby tak start i lądowanie mogły się odbywać przed kawiarnią Europejską, rzecz stałaby się znacznie realniejsza! I doprawdy warto by na tym pięknym placu Piłsudskiego urządzić co najmniej loty „przyjemnościowe”, toby doskonale popchnęło całą sprawę naprzód.

Bo dziwna rzecz, jak ta komunikacja, która powinna by już wyprzeć wszystkie inne, powoli się przyjmuje! Na dziesiątki przepelnionych pociągów zmierzających w różne strony świata, jeden czterosobowy Junkers<sup>157</sup> na dobę wystarcza, aby opędzić frekwencję podróżnych na każdej linii powietrznej. Jedynie wystawa poznańska wzmogła ruch lokalny: po parę razy dziennie przewożą do Poznania po osiem osób poważne Fokkery<sup>158</sup>. A zważywszy, że Polska pod względem komunikacji lotniczej jest jednym z pierwszych krajów w Europie. Przed rokiem wiozłem ze Lwowa do Warszawy Francuza; zachwycony był tą lokomocją, która — powiedział — we Francji nie przyszła by mu nawet do głowy. Piloci nasi tak są znani z dzielności i talentu, że w Wiedniu w lotniczej gwarze gęsta mgła nazywa się *Polenwetter*, co znaczy: pogoda, w jaką tylko Polacy latają. Toteż samoloty nasze rzadko kursują próżne, jak to się często zdarza niemieckim. Czekając na odlot w Gdańsku i widząc obok stację niemiecką, pytam, czy linie niemieckie mają duży ruch.

— O, linii mnóstwo, ale pasażerów mało. Ot, ma pan, właśnie ląduje aparat<sup>159</sup> z Moskwy w drodze do Berlina, może pustą, może wysiądzie jedna osoba.

<sup>157</sup>Junkers — tu: samolot niemieckiej firmy założonej przez inżyniera Hugona Junkersa (1859–1935). [przypis edytorski]

<sup>158</sup>Fokker — samolot z wytwórni lotniczej założonej przez Holendra Antona Fokkera (1890–1939). [przypis edytorski]

<sup>159</sup>aparat — tu: maszyna, tj. samolot. [przypis edytorski]

I w istocie, jedna osoba wysiada z wielkiego sześciuosobowego aparatu. Mimo to, komunikacja między Berlinem a Moskwą odbywa się regularnie: odlot z Berlina o 11-  
-ej w nocy, pilot orientuje się dzięki znakom świetlnym umieszczonym co kilkadziesiąt kilometrów.

Rozmowa schodzi oczywiście i na wypadki. Pytam się o niedawny wypadek francuskiego ministra Bokanowskiego<sup>160</sup>. — Przyplacił życiem to, że... był ministrem, odpowiadają mi. Motor zawiódł zaraz z początku jazdy; gdyby chodziło o zwykłych pasażerów, pilot byłby najspokojniej wylądował; ale ponieważ wiół ministra, miał ambicję w tym, aby zawrócić na lotnisko. Otóż takie zawracanie przy nieczynnym motorze jest bardzo niebezpieczne i — nie udało się. Na szczęście nie każdy jest ministrem.

W oczekiwaniu na odlot, rozmawiam z pilotem. Gdyby mnie nie był przywitał pierwszy, niełatwo bym się domyślił, że ten przystojny i elegancki młodzieniec w doskonale skrojonej marynarce, to ten sam, którego dwa dni temu widziałem w czapce z okularami i w futerale nadającym ludzkiej postaci wygląd Eskimosa. Pan... (zapomniałem go spytać o nazwisko!) nauczył się latać w czasie wojny, w wojsku francuskim. Jak dla większości jego kolegów, latanie stało się jego pasją: ma ono w sobie coś narkotycznego; trudno się potem bez niego obejść. Piloci „odstawieni” od latania latają bodaj jako amatorzy, nie mogą żyć bez tej podniety. Ten zawód ma w sobie coś z arcyzmu, coś z poezji, przynajmniej dziś: być może, iż z czasem oswojenie zetrze z niego ten puszek.

Odlot punktualnie o 9 rano, lecimy do Warszawy, równo, spokojnie; wydaje się nisko, potem dowiaduję się, że przeciętnie byliśmy 2.000 metrów nad ziemią. Znów całą drogę walczy się z sennością. Jak to, to już Modlin, za dziesięć minut Warszawa! Punktualnie w dwie godziny, po paru eleganckich skrętach, jesteśmy na lotnisku w Warszawie. Tu czeka niespodzianka: właśnie przybył do Warszawy pierwszy samolot pasażerski całkowicie wykonany w kraju, w fabryce lubelskiej<sup>161</sup>. Oglądam go z wierzchu i w środku. Jest to duży jednopłatowiec, systemu Fokkera, o trzech silnikach, przedstawiający idealne warunki bezpieczeństwa: w razie gdyby jeden silnik zawiódł, pozostają dwa inne, dając, gdyby nawet nie tyle siły, ile potrzeba na dokończenie lotu, to w każdym razie tyle, ile trzeba na spokojny wybór lądowania. Wewnątrz miejsce na osiem osób, wygodne fotele skórzane, jeden za drugim, z biegnącym pośrodku przejściem.

Cóż więcej dodać? Chyba to, że polskie linie lotnicze są ostatnim bodaj miejscem, w którym schroniła się wersalska uprzejmość. To jest w tradycjach lotnictwa: w austriackiej armii, w najgorętszym czasie wojny, ktoś, kto by brzydko jadł przy stole albo popełniał nawet mniejsze wykroczenia przeciw formom, nie mógł marzyć o tym, aby się dostać do korpusu lotniczego. Jeżeli tedy istnieją jakieś mistyczne związki między dobrymi formami, między estetyką życia a fruwaniami, czyż, do wszystkich innych, nie przybywa jeszcze jeden argument, aby na całej przestrzeni ziem polskich, jutro, w dzień lotniczego święta, ozdobionego udziałem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, wznieść okrzyk: Fruwajcie, bracia moi, fruwaszcie!

## PODRÓŻ NAUKOWA

Przed kilku miesiącami ogłosiłem relację o pamiętniku Zofii Szymanowskiej<sup>162</sup>, a raczej o jego fragmencie<sup>163</sup> urywającym się w najciekawszym miejscu, tam gdzie zaczynają się wspomnienia o Adamie Mickiewiczu, w którego domu Zofia, siostra Celiny Mickiewiczowej, spędziła parę lat. Ta pierwsza część pamiętnika znajdowała się w papierach J.I. Kraszewskiego, z którymi zakupiła ją Biblioteka Narodowa w Warszawie i tam też się ten szacowny rękopis dziś znajduje. Przytoczyłem zarazem korespondencję między

<sup>160</sup>Bokanowski, Maurice (1879–1928) — fr. polityk pochodzenia polskiego, minister ekonomii i finansów. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>Fabryka lubelska — Zakłady Mechaniczne E. Plage i T. Laśkiewicz, w latach 1921–1935 produkowały samoloty Lublin. W 1936 roku znacjonalizowane i przekształcone w Lubelską Wytwórnę Samolotów, która działała do 1939 roku. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>Szymanowska, Zofia herbu Młodzian (1826–1870) — przyrodnia siostra Celiny Szymanowskiej, żona Teofila Lenartowicza. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>Przed kilku miesiącami ogłosiłem relację o pamiętniku Zofii Szymanowskiej, a raczej o jego fragmencie urywającym się w najciekawszym miejscu, tam gdzie zaczynają się wspomnienia o Adamie Mickiewiczu — Boy-Żeleński, *Brązownicy*. [przypis autorski]

Arturem Wołyńskim<sup>164</sup>, depozytariuszem reszty pamiętnika, a Władysławem Mickiewiczem<sup>165</sup>, z której to korespondencji wynikałoby, że po długich a usilnych staraniach Władysław Mickiewicz zaniepokojony treścią rękopisu wydobyl go od Wołyńskiego, po czym slych o tym pamiętniku zaginął. Otóż, rychło po moim artykule, nadeszła z paru stron wiadomość o rzekomym istnieniu owej drugiej części pamiętnika i o miejscu, gdzie się znajduje. Pierwsza informacja przesłana przez p. Landa do redakcji „Wiadomości Literackich”<sup>166</sup> i do redakcji „Głosu Prawdy”<sup>167</sup> brzmiała jak następuje:

Na skutek twierdzenia Boya-Żeleńskiego w nr. 284 „Wiadomości Literackich”, iż jedna część pamiętnika Zofii Lenartowiczowej przepadła bez wieści, pozwałam sobie przypomnieć moją notatkę z nr. 24 „Wiadomości Literackich”, którą zresztą powtórzyłem za monografią Biegeleisena<sup>168</sup> o „lirniku mazowieckim” (str. 60).

W bibliotece publicznej w Rzymie złożony jest do przechowania pamiętnik Zofii z Szymanowskich Lenartowiczowej, z zastrzeżeniem, że dopiero w r. 1915 oddany być może do wiadomości ogółu itd.

Wobec tego, że termin podany dawno upłynął, już nie ma żadnej przeszkody do wyzyskania tego pierwszorzędnego — jak słusznie przypuszczałem — źródła, którym prawdopodobnie okaże się złożona przez Artura Wołyńskiego a obecnie poszukiwana część pamiętników Lenartowiczowej.

Eugeniusz Land

Częstochowa

Zdaje się niestety, że ta informacja jest anachroniczna i że odnosi się do dawnych czasów. Istotnie Wołyński pisze w liście do Władysława Mickiewicza z Rzymu w r. 1889 (list ten cytowany w swoim czasie przeze mnie, znajduje się w rękopisach Ossolineum) że rękopis złożony jest „w pewnej bibliotece” i podaje nawet tę właśnie datę (rok 1915) zastrzeżoną dla jego użytkowania; jednakże dalsza korespondencja jego z Wł. Mickiewiczem (również cytowana) świadczyłaby, że rękopis przeszedł ostatecznie w ręce syna poety. P. Muszkowski, dyrektor Biblioteki Krasieńskich, objaśnił mnie, że sprawdzał rzecz i listownie, i za pobytem swoim w Rzymie ustnie i że *nie znalazł w Rzymie żadnego śladu rękopisu*.

Inna wskazówka, którą otrzymałem listownie od paru osób naraz, brzmiała, że druga część pamiętnika Z. Szymanowskiej znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie, jakoby opieczetowana z zastrzeżeniem, że ma być otwarta aż w roku 1955. Opieczetować ją miał dyrektor biblioteki Karol Estreicher<sup>169</sup>. Donosząc o tym, robiłem nawet żartobliwą uwagę, że jeżeli treść pamiętników ma „kompromitować” Mickiewicza, dziwną sobie obrano datę na ich otwarcie: stulecie śmierci poety! Oczywiście postanowiłem wybrać się do Krakowa, czekałem tylko końca ferii uniwersyteckich, aby zastać świat uczony na swoim miejscu.

Bo też zastać Kraków bez uniwersytetu, to znaczy zastać go martwym. Uniwersytet to jest to, co w nim zostało najżywszego. Przemily świat, ludzie, po których wojna, dewaluacja, wszystkie gwałtowne przemiany spłynęły bez śladu, którzy zostali ci sami, pogrążeni w swojej nauce, którzy żyją w swoim kole, hodując swoje pasje, swoje sekrety i swoje antypatie, płatając sobie uczone psikusy, wsuwając sobie wzajem szpilki i złośliwości zrozumiałe dla paru specjalistów, ukryte dla publiczności pod kurtuazją i rewersansami,

Nauka

<sup>164</sup>Wołyński, Artur (1844–1893) — historyk, działacz polonijny. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>Mickiewicz, Władysław (1838–1926) — syn Adama Mickiewicza i Celine Szymanowskiej, działacz polonijny na emigracji. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>Wiadomości Literackie — tygodnik kulturalno-literacki, wydawany w Warszawie w latach 1924–1939. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>Głos Prawdy — czasopismo społeczno-polityczne. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>Biegeleisen, Henryk (1855–1934) — etnograf, historyk literatury polskiej. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>Estreicher, Karol (1827–1908) — historyk literatury, biograf, dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej. [przypis edytorski]

a dotkliwie tak, że kilka lat Karlsbadu<sup>170</sup> trzeba nieraz, aby goić spuchnięte wątroby! Przemły świat! Tam człowiek może się dowiedzieć zawsze najnowszych ploteczek z Babilonu czy z Krakowa, o Safonie czy o Kallenbachu<sup>171</sup>, bo tam wszystkie wieki i wszystkie epoki są na jednej perspektywie w obliczu wiekuistej Nauki. Tam wskoczyłem jak nurek, aby łowić ślad wiadomości — czy plotki — o drugiej części pamiętnika Zofii Szymanowskiej. Nie było to łatwo, bo ślad był nader nikły. Najpierw uderzyłem oczywiście do moich korespondentów: „Skąd pan wie, od kogo pan to usłyszał? — Od profesora X.” Bombarduję profesora X.: „Co pan wie o *Pamiętniku* Zofii Szymanowskiej? — Jest w Bibliotece Jagiellońskiej. — Widział go pan? — Ja, nie. — A skąd pan wie, że jest? — Od profesora Y.” etc. etc. I tak w kółko!

Zapomniałem powiedzieć, że pierwszą moją wizytą był dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej dr Kuntze<sup>172</sup>. Przyjmuje mnie uprzejmie, z miną świadczącą, że zgaduje, po co przychodzę. — Nie ma, proszę pana, nic takiego. Szukaliśmy już wówczas, kiedy pan dał pierwszą wiadomość o rzekomej obecności *Pamiętnika* u nas, przepatrzyliśmy wszystkie zakamarki, ale ani śladu. To musi być nieporozumienie. — Jak to! i ani śladu, że kiedyś istniał podobny depozyt? Wszak mógł być, i ktoś później mógł go wycofać, odebrać? — Nie, nie ma najmniejszego śladu.

Patrzę na zacnego dyrektora z leciutką nieufnością, którą on rozumie i uśmiecha się. Patrzę nie bez powodu. Bo wiem dobrze, jakie wymówki robili nasi „brązownicy”: — Jak można było coś podobnego takiemu Boyowi pokazywać? — mówili naiwnie do dyrektorów warszawskich bibliotek, którzy wzruszali ramionami, w poczuciu, że pełnią najpiękniejszą rolę, ułatwiając wydobycie na jaw rzeczy zagrzebanych i nietykanych... często umyślnie. Zatem dyrektor Kuntze odgaduje moje podejrzenia: — Nie, niech się pan nie obawia, nie ma tu żadnej konspiracji, niceśmy nie ukryli, mówię, że nie ma, bo naprawdę nie ma.

Zastanawiamy się wspólnie, gdzie by szukać jakiego tropu. Wedle moich relacji, pakiet miał być opieczetowany przez Karola Estreichera, który był podówczas dyrektorem biblioteki Jagiellońskiej; może dowiem się czego u prof. Stanisława Estreichera<sup>173</sup>, którego pamięć jest nieocenionym magazynem tylu faktów i zdarzeń. Trzeba iść do Stanisława Estreichera. „Właśnie teraz zastanie go pan w »Czasie«<sup>174</sup> — powiada dyrektor Kuntze. — Doskonale, leceć...”

Nagle... hm... zawahałem się. W „Czasie”... To słowo „Czas” zabrzmiało mi na gruncie krakowskim tak swojo, tak rodzinnie, że dopiero po chwili zorientowałem się w przyczynie mego zacukania się. Przecież ja coś miałem z „Czasem”, przypomniałem sobie mętnie... Prawda, proces karny<sup>175</sup>, tylko tyle!... Jak tam iść teraz? Nuż wpadnę na Beauprégo<sup>176</sup>? I wyobraziłem sobie scenę z *Zemsty*, jak na mój widok Beaupré staje osłupiały, jak się maca po boku, szukając karabeli, aż wreszcie odpina ją i rzuca, mówiąc: „Nie wódź nas na pokuszenie — Ojców naszych wielki Boże — skoro wstąpił w progi moje, włos mu z głowy spaść nie może”...

Zdaję się na opiekę boską, idę do „Czasu”.

Beauprégo nie ma, jest Stanisław Estreicher. Przyjmuje mnie najżyczliwiej, jakby nigdy nic. Podejrzewam go, że w tym procesie był po mojej stronie. Zresztą oni wszyscy w „Czasie” prywatnie przyznawali mi rację, począwszy od Beauprégo. Ale w tradycjach „Czasu” jest coś ponad zwykłą rację; to — Racja Stanu.

Ale to drobiazgi. Ważniejsza w tej chwili była dla mnie kwestia *Pamiętnika*. Nie omyliło mnie zaufanie do pamięci Stanisława Estreichera. Opowiada mi, co następuje:

<sup>170</sup> *Karlsbad* — niem. nazwa Karlowych Warów, uzdrowiska w zach. Czechach. [przypis edytorski]

<sup>171</sup> *Kallenbach, Józef* (1861–1929) — historyk literatury polskiej. [przypis edytorski]

<sup>172</sup> *Kuntze, Edward* (1880–1950) — historyk, bibliotekarz. [przypis edytorski]

<sup>173</sup> *Estreicher, Stanisław* (1869–1939) — historyk prawa, rektor UJ; aresztowany w niemieckiej akcji wymierzonej przeciw profesorom uniwersyteckim, Sonderaktion Krakau, zmarł w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen. [przypis edytorski]

<sup>174</sup> *Czas* — dziennik wydawany najpierw w Krakowie w latach 1848–1934, potem przeniesiony do Warszawy, gdzie działał do roku 1939. [przypis edytorski]

<sup>175</sup> *Przecież ja coś miałem z „Czasem”, przypomniałem sobie mętnie... Prawda, proces karny* — proces o naruszenie prawa autorskiego, Boy kontra Beaupré. [przypis edytorski]

<sup>176</sup> *Beaupré, Antoni* (1863–1937) — dziennikarz, redaktor naczelny krakowskiego „Czasu”. [przypis edytorski]

W roku 1887 czy 1888 (powiada), ojciec zakomunikował mi, wówczas młodemu chłopcu, taką rzecz. Przyjechał mianowicie z Włoch pan Wołyński i wręczył ojcu opieczętowany pakiet jako depozyt do Biblioteki Jagiellońskiej, z tym, że ma być otwarty w którymś roku, czy też po śmierci jakichś osób; jakich, nie pamiętam. Pakiet ten miał zawierać jakieś bardzo drażliwe papiery, tyżące Mickiewicza. Ojciec był tym depozytem i tą wizytą bardzo przejęty, opowiadał mi to zaraz na gorąco. Nie wiem, dodaje prof. Stanisław Estreicher, czy to były pamiętniki Zofii Szymanowskiej, raczej przypuszczałem, że to były listy Celiny Mickiewiczowej do siostry Zofii. Nigdy nie słyszałem o tym, aby ktoś ten depozyt odbierał; sądząc z zainteresowania ojca, jestem pewien, że byłby mi powiedział, gdyby pakiet wycofano. Myślę więc, że ten depozyt powinien się znajdować w Bibliotece Jagiellońskiej.

Wracam jeszcze raz do dyrektora Kuntzego i powtarzam relację prof. Estreichera. — Żadnego takiego pakietu w Bibliotece nie ma, odpowiada. Nie ma już w Bibliotece zakamarków, gdzie by się coś mogło utaić; przy niedawnym porządkowaniu przetrząsnęto wszystko. Pomówię jeszcze z panem Birkenmajerem<sup>177</sup>, z panem Barem<sup>178</sup>, ale nie sądzę... konkluduje dyrektor Kuntze.

A teraz zestawmy daty z korespondencją, którą cytowałem swego czasu w artykuliu moim *W odlewni brązu*<sup>179</sup>. W roku 1889 Wołyński pisze Władysławowi Mickiewiczowi, że *Pamiętniki* te zostały darowane „pewnej bibliotece”, opieczętowane, z tym, że mają być otwarte aż w roku 1915. Po dłuższej korespondencji, w której Wł. Mickiewicz nalega na wydanie mu *Pamiętników* a Wołyński się wzdraga, mamy wreszcie ślad w liście z 22 lipca 1890, że Władysław Mickiewicz dostał wreszcie upragnione *Pamiętniki*; pisze bowiem pod tą datą co następuje:

Dzięki, kochany panie. Od początku naszych pertraktacji jedną rzecz wiedziałem, że nie działasz powodowany interesem osobistym, i dlatego przyszliśmy do zgody. Syn Kraszewskiego stoi na gruncie czysto komercyjnym i dlatego trudno z nim przyjść do ładu, odpisał mi, że nie może nawet udzielić rękopisu, ponieważ jest już ogłoszony w katalogu przedmiotów do nabycia po Ojcu...

zaś tegoż roku 12 września jeszcze wyraźniej:

Prosił pan, abym o posiadaniu rękopisu nikomu nie wspomniał. Lenartowicz pisze, że mu pan o tym fakcie doniósł, przypuszczam więc, że nie wchodząc w szczegóły mogę się do jego posiadania przyznawać?

Przypuszczenia można tedy czynić rozmaite. Albo Wołyński oddał *Pamiętnik* Szymanowskiej, opieczętowany, Estreicherowi w r. 1887 czy 1888, a potem, nękanym naleganiami Władysława Mickiewicza, dał mu w r. 1890 upoważnienie do odebrania go z Biblioteki Jagiellońskiej;

albo pakiet zawierał, obok innych papierów, *kopię Pamiętnika*, oryginał zaś został w Rzymie, skąd przeszedł do rąk Władysława Mickiewicza; albo w krakowskim pakiecie były nie *Pamiętniki*, tylko inne papiery (listy) tyżące Mickiewicza.

To pewna, że były ważne papiery i *znikły bez śladu*. Widzieliśmy, jaką czynność rozwijał Władysław Mickiewicz, aby wydobywać wszystkie papiery tyżące wielkiego ojca, które mu się wydawały drażliwe; mógł wydobyć i te. To, że nie ma żadnych śladów depozytu, to niczemu nie przeczy; w owym czasie załatwiała się te rzeczy dość familijnie, mógł zresztą i ten ślad być wycofany. Zresztą nie chcę bawić się w przypuszczenia; fakt jest, że było i nie ma. Jeszcze jeden dokument tyżący Mickiewicza przepadł bez śladu.

Miałem jeszcze inną relację, tę już zupełnie zagadkową. Doniósł mi pewien krakowski literat, że pewien profesor krakowskiego uniwersytetu miał mówić w kawiarni, że jakaś pani zgłosiła się do niego z wiadomością, że u niej znajduje się druga część *Pamiętnika* — pokazywał jakoby zeszyt — ale że nie może być obecnie ujawniona, ponieważ obłożona jest

<sup>177</sup>*Birkenmajer* — prawdopodobnie Ludwik Birkenmajer (1855–1929), historyk nauki, astronom, profesor UJ; lub jego syn Aleksander Birkenmajer (1890–1967), bibliotekoznawca, historyk nauk ścisłych, profesor UJ i UW. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>*Bar, Adam* (1895–1955) — historyk literatury polskiej, bibliograf. [przypis edytorski]

<sup>179</sup>*w artykuliu moim W odlewni brązu — Brązownicy*. [przypis autorski]

jakąś klauzulą. Nazwiska tej pani ani bliższych szczegółów profesor D. nie chciał zdradzić. Słowem, istnie: „Moja pani, moja pani!” Ploteczki. Pasjami to lubię.

Dotarłem do profesora D. Zaprzeczył wszystkiemu. Powiada, że żadnej pani na oczy nie widział. Co on się tak wypiera, może z nią co miał? („Moja pani, moja pani?”). Ale pamiętnika jak nie ma, tak nie ma.

Po dwóch dniach gonitwy, zziąjany jak chart, wracam do Warszawy. Nie macie pojęcia, moi czytelnicy, co to jest praca naukowa!

## SZCZĘŚCIE MARCELEGO BOUTERON<sup>180</sup> CZYLI NOWE LISTY PANI HAŃSKIEJ<sup>181</sup>

Cała Polska literacka przypomina sobie dobrze tego sympatycznego, tęgiego mężczyznę z czarnym wąsikiem, który spędził w naszym kraju dwa tygodnie, wypił mnóstwo piwa, zostawił wielu przyjaciół i wygłosił z francuską swadą i elegancją kilka odczytów. Tematem ich była pani Hańska, muza wielkiego Balzaka, gdyż Balzac wypełnia po brzegi jestestwo Marceliego Bouteron. Pamiętam wrażenie jego odczytów na publiczności. Słuchano z zajęciem, ale zarazem z odcieniem pobłażliwego zdziwienia. Czemu on się tak zapala, z kim on tak walczy, kogo on tak przekonywa, czemu ta ciągła kwestia „czy ona go kochała, jak go kochała” etc. Zdziwienie to byłoby niemożliwe w Paryżu, we Francji, gdzie zresztą Bouteron nieraz mówił na ten temat. Nie potrzeba się uciekać do oklepanej anegdoty o francuskim ujmowaniu każdego przedmiotu — *l'éléphant et ses amours*<sup>182</sup> — (która zresztą pod względem fizycznym dość dobrze by się do Balzaka nadała), aby wyjaśnić tę różnicę. Pani Ewelina Hańska, osoba swoim rodakom dość obca, we Francji jest niemal kartą piśmiennictwa, jest na wpół mistycznym poematem miłosnym jednego z najkrwistszych realistów literatury, jest ową sekretną zaprawą, bez której indywidualność Balzaka nie byłaby kompletna. I tam nikt nie dziwiłby się, o co Bouteron walczy, kogo przekonywa. Każdy tam zna ową słynną stronicę z *Choses vues*<sup>183</sup> Wiktora Hugo, która tak zaciążyła nad pamięcią Ewy<sup>184</sup>; każdy zna, bodaj z drugiej ręki, owe paszkwilem trącające karty Oktawa Mirbeau<sup>185</sup>, usunięte z jego książki tuż po jej ukazaniu się. I każdy ma tam w pamięci rysy „imaginacyjnego” portretu pani Hańskiej, która długo żyła w legendzie jako próżna, samolubna i oschła kobieta, udręka i zły los wielkiego pisarza.

I oto przyczyna tego walczącego, namiętnego, polemizującego tonu Marceliego Bouteron. Jego to właśnie badania i odkrycia dały początek przewartościowaniu legendy. Zestawił na nowo fakty, daty, poddał próbie świadectwa, miał to nieopisane szczęście badacza, że znalazł nowe dokumenty — i, w istocie, na tym wszystkim oparta, jego *Apologia pani Hańskiej* (ogłoszona drukiem przed kilku laty) stanowi moment przełomowy.

W *Apologii* tej uderza jedno: jej motyw liryczny. Ten uczony bibliotekarz, uczony trawiący życie na owym wybrzeżu Sekwany, gdzie nawet plusk fal brzmi jak szelest kartek, on pasący się jak spętana krówka na cienistej łączce Instytutu, niemający czasu żyć, przeniósł swoje sny o życiu na ten cień kobiety, w której ukochał — kochankę Balzaka. Tworzą istne stadło we troje: Balzac, Bouteron i ona. Do tego stopnia, że niemal mu to przeszkadza w pracy badacza; chciałby być obiektywny, bezstronny, ale zawsze, gdy chodzi o Ewę, wszystko barwi mu się sentymentem, uwielbieniem, pobłażliwością. Ko-

Nauka, Idealista, Miłość  
platoniczna

<sup>180</sup> Bouteron, Marcel (1877–1962) — fr. bibliotekarz i historyk literatury. [przypis edytorski]

<sup>181</sup> Hańska, Ewelina (1801–1882) — polska arystokratka, siostra pisarza Henryka Rzewuskiego, długoletnia miłość, a w końcu żona Honoré de Balzaka. [przypis edytorski]

<sup>182</sup> *l'éléphant et ses amours* (fr.: słoń i jego życie miłosne) — fragment popularnego na początku XX w. dowcipu, w którym charakterystyczne cechy różnych narodowości ujawniają się w rozprawach naukowych na temat olbrzymiego zwierzęcia. Według tej anegdoty, praca angielska traktowała o polowaniu na słońce, amerykańska nosiła tytuł *Elephant and how to make it bigger and better*, niemiecka dotyczyła miejsca słońca w systemach filozoficznych, francuska opisywała życie płciowe słońca, natomiast polska rozprawa była zatytułowana *Słoń a sprawa polska*. [przypis edytorski]

<sup>183</sup> *Choses vues* (fr.: *Rzeczy widziane*) — książka, w której Hugo opisuje swoją wizytę u umierającego Balzaka, krytykując nieobecność przy boku konającego jego żony, pani Hańskiej. [przypis edytorski]

<sup>184</sup> Ewa — tu: Ewelina Hańska. [przypis edytorski]

<sup>185</sup> *paszkwilem trącające karty Oktawa Mirbeau* — fr. pisarz Octave Mirbeau (1848–1917) w swojej książce *La 628-E8*, w części pt. *La Mort de Balzac* opisuje ostatnie godziny życia Balzaka, jego agonię i samotność, podczas gdy w pokoju obok jego żona, pani Hańska, spędzała czas na przyjemnościach w towarzystwie swego kochanka, malarza Jeana Gigoux (1806–1894). [przypis edytorski]



cha ją i wierzy w jej miłość... dla tamtego, dla Balzaka, i za to ją kocha. Od czasu pani de Warens z nieśmiertelnych *Wyznań* Russa, nie było bardziej wzruszającego trójkąta. Trzeba widzieć Bouterona, w jego pokoiku z oknem wychodzącym na ów do bajki podobny kąt wybrzeża Sekwany, wśród pamiątek po pani Hańskiej, jakimi pokój jego jest wypełniony; trzeba widzieć jak ten sceptyczny Francuz bierze do rąk jej książkę do nabożeństwa, jeszcze — jakby to było wczoraj! — poznaczoną zakładkami, z jaką miłością otwiera stojącą u niego na biurku malakitową<sup>186</sup> szkatułkę, w której Balzac chował listy Ewy. A patrzy nań ze ściany, macierzyńskimi oczami kochanki, oryginał najpiękniejszego portretu pani Hańskiej.

Można sobie wyobrazić uczucia tego człowieka, kiedy się dowiedział, dwa lata temu, że na publicznej licytacji, nie wiem już po jakim zbieraczu, będą wystawione na sprzedaż listy pani Hańskiej do córki. Listy zupełnie nieznanne, bo zbieracz ów, z typu zazdrosnych maniaków, nikomu ich nie chciał pokazać. Bouteron od razu uczuł, że te listy musi mieć za wszelką cenę, choćby mu przyszło ukraść, zabić. Zebrał wszystkie swoje oszczędności, 10.000 franków, majątek jak na bibliotekarza Instytutu! I stała się rzecz niesłychana: kiedy wywołano listy w cenie 200 franków, a ktoś zaczął licytować, antykwariusze-bywalcy pociągnęli go za rękaw: „Niechże pan nie podbija, zostawmy te listy panu Bouteron”. Tak była znana ta pasja człowieka, który wszędzie ma samych przyjaciół. I Bouteron kupił te łakome listy za 200 franków. Trudno uwierzyć, że stało się to w Paryżu, owym Paryżu wyrachowanym, drapieżnym i bez serca... jeżeli wierzyć Balzakowi.

Byłem przypadkowo u Bouterona w Bibliotece, kiedy oglądał te listy; trzeba go było widzieć! Nie wiem, czy sam autor *Komedii ludzkiej* tak delikatną i miłosną dłonią pieścił kiedy ich autorkę, jaką ten bibliotekarz muskał zmysłowym dotknięciem te poźółkłe płatki papieru.

Ale nie tylko je pieścił; odczytywał je, pokazywał pewne ustępy, wydawał okrzyki triumfu, znalazł w nich nowe dokumenty na poparcie swej apologii. „Nie kochała go? Opuściła go? Nie była przy jego łożu śmierci? Niech pan czyta!” I Bouteron, wzruszonym półgłosem, odczytuje ustępy listów poufnych, pisanych do ukochanej córki, Anny Mniszchowej. Istotnie, wszędzie gdzie mowa o Balzaku, tam pani Ewa mówi o nim z czułością, serdecznością, z akcentem, którego się nie podrabia.

Mój mąż wrócił w tej chwili, załatwił wszystkie sprawy z podziwu godną energią, wyjeżdżamy dziś wieczór. Nie miałam wyobrażenia, co to za cudowny człowiek, znalazłam go od lat 17 i co dzień spostrzegam, że ma jakiś nowy przymiot, którego nie znałam. Gdyby tylko miał zdrowie! Nie masz pojęcia, jak on cierpiał tej nocy. Mam nadzieję, że rodzinne powietrze zrobi mu dobrze, ale gdyby mi tej nadziei brakło, byłabym bardzo biedna, upewniam cię...

Tak pisze pani Hańska tuż po ślubie z Balzakiem, który już jest ruiną człowieka, schorowany, skazany na śmierć. Aby dać mu to upragnione małżeństwo, na które czekał tyle lat, a któremu sprzeciwiały się wszystkie względy świata, Ewa Hańska zrzekła się na rzecz córki olbrzymiego majątku, którego car w razie zaślubienia cudzoziemca nie pozwolił jej zachować. Bouteron miał to szczęście, że znalazł autentyczny dokument tej odmowy. „I mówią, że ona go nie kochała, że to była zła i próżna kobieta!” wścieka się Bouteron, gestykulując namiętnie.

Otóż te właśnie listy wydał obecnie p. Bouteron, poprzedzone swoją wymowną apologią (wprzód drukowaną w „Revue des deux mondes”<sup>187</sup>) pod tytułem *La véritable image de madame Hańska*<sup>188</sup>, jako wytworną książeczkę wydaną przez słynnego Lapina (nazywa się *Lapina*, jest rodem z Grodna i łamaną polszczyzną czule wspomina Warszawę), wydaną tak, jak francuscy bibliofile umieją to robić. To już jest prawdziwa rozpusta grafiki, papieru, smaku!

Książka

<sup>186</sup>malakitowy — dziś: malachitowy. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>*Revue des deux mondes* (fr.: Przegląd dwóch światów) — fr. periodyk społeczno-literacki, powstał w 1829 r., w XXI w. ukazuje się nadal. Artykuł *Apologie de Madame Hanska* wydrukowano w numerze z 15 grudnia 1924 r. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>*La véritable image de madame Hańska* (fr.) — prawdziwy obraz pani Hańskiej. [przypis edytorski]

Te listy i dla nas są bardzo interesujące. Przypuśćmy nawet, że nie każdy czytelnik skłonny jest wraz z Marcelim Bouteron obrywać margerytkę i szeptać „kocham, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje”... Ostatecznie, nie byłoby nic dziwnego, gdyby, przez siedemnaście lat znajomości i romansu, wszystkie płatki margerytki po trosze miały rację. Ale listy te są same przez się niepospolitym dokumentem: żywe, zajmujące, pełne obserwacji, mające coś z pani de Sévigné<sup>189</sup> bodaj w tym, że Anna była tak samo najwyższym ukochaniem pani Hańskiej i że rozkosz pisanego do córki, chęć zabawienia jej, uskrzydlała jej pióro. Wszystkiego tam po trosze. Tu zabawne anegdoty o Rotszyldach<sup>190</sup>, powtarzane na ciepło z pobytu we Frankfurcie w r. 1847; o starej Rotszyldowej<sup>191</sup>, matce rodu, mającej 97 lat, siedzącej na milionach, a mieszkającej w nędznej budzie, jak pewnego dnia wzywa przed swoje oblicze syna swego, a króla dynastii, wymyśla mu od ostatnich i każe sobie stawiać wspaniałą pałac... To znów o kapeluszach paryskich, i znów, prawie bez przejścia, o całej serii pożarów na Wołyniu. Spaliły się Bystrówka, Rutycze, spłonął doszczętnie Czernobyl, przeszło tysiąc domów. Żydzi nie chcą już się tam odbudowywać, uważają to miejsce za przeklęte. „Przypominam sobie (pisze pani Hańska), że twój ojciec<sup>192</sup> uzyskał przywilej na Sobolucze, na zbudowanie tam miasta; ponieważ to jest nad brzegiem Dniepru, a są tam same piaski, na których się nic nie rodzi, byłoby wspaniałe wyhodować tam Żydów<sup>193</sup>”...

To znów, w sierpniu 1849, jakże charakterystyczne dla nastrojów tej sfery wiadomości o Rewolucji na Węgrzech:

Adam<sup>194</sup>, który przyjechał, prosił mnie o pozwolenie udania się do Żytomierza, gdzie był obecny na *Te Deum* odśpiewanym na cześć wielkiego zwycięstwa odniesionego przez nasze wojska. Twierdzi, że Görgey<sup>195</sup> i Bem<sup>196</sup> są wzięci, ale ja sądzę, że chodzi tylko o bitwę pod Debreczynem, która odbyła się 19 lipca...

W przejeździe po ślubie, w maju 1850:

Twoja matka (pani Mniszech) jest przejęta, jak my wszyscy, przekleństwem związanym z imieniem Polaka. Wszystkie wielkie rody są zgubione, zrujnowane, i na majątku, i na czci. Zastałam Galicję sfanatyzowaną dla Rosji i dla Cesarza, a Austriaków znienawidzonych bardziej niż kiedykolwiek i pracujących na to, aby ich nienawidzono coraz więcej, bo są upokorzeni tym, że wszyscy głośno wyrażają swą sympatię dla Rosji.

Wojska rosyjskie cudownie się zachowywały tutaj, a rząd austriacki był ohydny dla swoich zbawców: umierali z głodu, a jak na pośmiewisko rząd dawał im z wielkim trudem dziecinne porcje. Twoja zacna matka żywiła ich swoim kosztem (to znaczy tych, których zakwaterowano u niej). Toteż mówili: „Widać, że ona jest *nasza*, że to nie jest paskudna Niemka jak inne. Nie nazywali jej inaczej jak „nasza barynia<sup>197</sup> ruska”.

Kiedy była chora, ci zacni ludzie sprawowali straż, aby nie było żadnego hałasu, a kiedy wyzdrowiała, przychodzili kolejno jej wieszować i starali się ją rozerwać czy to swoim śpiewem, czy swoimi ćwiczeniami, które odbywali

<sup>189</sup>pani de Sévigné, właśc. Marie de Rabutin-Chantal, markiza de Sévigné (1626–1696) — autorka słynnych listów pisanych do córki, cenionych jako obraz obyczajów epoki. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>Rotszyldowie, właśc. Rothschildowie — rodzina niemieckich Żydów, zajmująca się bankowością i finansami, jedna z najbogatszych rodzin na świecie. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>stara Rotszyldowa — Guttie Schnapper (ok. 1753–1849), żona Mayera Amschela Rothschilda (1744–1812) i matka dziesięciorga dzieci. [przypis edytorski]

<sup>192</sup>twój ojciec — pierwszy mąż Eweliny Hańskiej, Wacław Hański (1782–1841). [przypis edytorski]

<sup>193</sup>są tam same piaski, na których się nic nie rodzi, byłoby wspaniałe wyhodować tam Żydów — Żydzi w Europie tradycyjnie unikali zawodów związanych z uprawą ziemi. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>Adam — prawdopodobnie Adam Rzewuski (1805–1888), brat Eweliny Hańskiej, generał armii rosyjskiej. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>Görgey, Artur von, węg. Görgey, Artúr (1818–1916) — generał węgierski, jeden z dowódców węgierskich w czasie powstania Wiosny Ludów 1848 r., w sierpniu 1949 r. po klęsce pod Világos poddał swoje wojska armii rosyjskiej. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>Bem, Józef (1794–1850) — polski generał, dowódca wojsk węgierskich w powstaniu w 1848 r. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>barynia (z ros.) — szlachetna pani, dama. [przypis edytorski]

umyślnie dla niej, aby ją zabawić. Prawda, że była tak dobra, że kurowała tych, co byli chorzy, i że przychodziła co dzień asystować przy ich obiedzie, wsparta na ramieniu panny służącej, o ile nie była sama poważnie chora, aby się przekonać, czy im niczego nie zbywa.

Dziwiono się temu w Galicji, bo podczas rewolucji chciano u niej umieścić emigranta i ona dała sto florenów, aby ją od tego uwolniono, natomiast gdy chodziło o przyjęcie wojsk rosyjskich, przyjęła je z radością. Jak ci mówiłam, bardzo sobie to chwaliła. Nie wiem, czy tak samo byłoby z panem emigrantem. Bo wszędzie, gdzie przyjęto te figury, nie tylko żałowano tego na teraz, ale nawet na przyszłość, bo cała służba w tych domach była podejrzana o komunizm, o socjalizm i o inne podobne jady i trucizny.

Potem opis całej podróży: okropny Berdyczów, schludniejsze Brody, smaczny obiad w Tarnowie, nocleg w Krakowie w hotelu Pod Różą. I tu pierwszorzędną reklamą dla tego hotelu: wyborny pokój na pierwszym piętrze, bardzo obszerny, bardzo czysty, z wygodnymi łózkami; rozkoszna kawa ze śmietanką, „prawie tak dobra, jak w Wierchowni”.

Po drodze wchodzimy w sekrety rodzinne rodziny Mniszchów. Andrzej, brat Jerzego (zięcia pani Hańskiej) bardzo jest niedobry dla matki (tej samej, która była tak dobra dla Rosjan):

...Andrzej okazał się niegodnym synem, dał jej uczuć, że jest zbyteczną w Wiśniowicach. Czy wyobrażasz sobie, że twoja matka, kiedy chciała w Wiśniowicach herbaty i cukru, musiała je sobie kupować!

Potem już list z Paryża. Opis postępów choroby Balzaka, znajomość z matką wielkiego pisarza: aby ją określić, ucieka się pani Ewa do polszczyzny (wszystkie listy pisane są po francusku), mówiąc, że „*quand à sa personne, c'est une*<sup>198</sup> elegantka zastarzała”. Dodaje zresztą, że musiała być bardzo ładna. Po śmierci Balzaka, w sierpniowy wieczór, wdowa siedzi w ogrodzie Tuileryj<sup>199</sup>.

...siedząc na krześle, w tym ogrodzie królewskim, tak zdziwionym, że jest pod Republiką, patrzałam, nie widząc ich, na te niezliczone postacie mężczyzn i kobiet, wystrojone, wyelegantowane, które przechodziły koło mnie, i czułam smutek i niewymowny ucisk serca na myśl, że w tej rojnej samotni, w tej pustyni ludzi mi nieznanych, nie ma ani jednej istoty, która by mniej lub więcej nie dzieliła mej okropnej i nieutulonej boleści. Nie pamiętają równie powszechnego żalu. Śmierć Ludwika Filipa przeszła niepostrzeżenie wobec tej przygniatającej żałoby.

I znowuż, w parę miesięcy później, opis domowych kłopotów: kucharka zużywała funt masła dziennie, trzeba ją było oddalić; służąca nagle, o jedenastej w nocy, powiedziała, że musi iść do szpitala. Nie pójdziesz, zostaniesz w domu, jutro poślę po doktora. Naraz robi się gwałt: pokojowa rodzi! „Wyobraź sobie, moje dziecko, ta dziewczyna miała twarz rekina i nie była już zbyt młoda, a miała kilku kochanków i ja nie miałam o tym pojęcia przez pięć miesięcy, które była u mnie”.

Sama pani Ewa ma wielbiciela, och, bardzo niewinnego:

...mój legitymista z Pau, o którym ci mówiłam w moim ostatnim liście, nie pojechał jeszcze, niestety! i przedwczoraj siedział do jedenastej w nocy czytając mi... co? zgadnij; przez miłość dla mnie, kazał sobie przetłumaczyć na francuskie ody Naruszewicza i układa je wierszem, aby mi je czytać! Przypuszczam, że ten, który mu je tłumaczy, bierze go na fundusz, bo niemożliwe jest, aby Naruszewicz mógł kiedy pisać głupstwa tak płaskie i tak nudne...

<sup>198</sup> *quand à sa personne, c'est une...* (fr.) — jeśli o nią chodzi, jest ona... [przypis edytorski]

<sup>199</sup> *ogrody Tuileries*, właśc. *Jardins des Tuileries* — park w Paryżu, w pobliżu pałacu Louvre, jeden z najstarszych ogrodów francuskich. [przypis edytorski]

Opowiadka o księżnej Bagration, staruszce, która przyjmuje gości w rodzaju cieplarni, w tropikalnej temperaturze, mając na sobie tylko koszulę przybraną wspaniałymi koronkami. „Pięćdziesiąt lat temu mogła być powabna w tym stroju, ale piękność, która wyszła za mąż za panowania carowej Katarzyny, powinna, o ile mi się zdaje, nosić solidniejsze szaty”.

W końcu ploteczka grubszego kalibru:

Miałam małe starcie z Dumasem, który, w zapale filantropijnym, zbierał wszędzie subskrypcje na grobowiec Balzaka, z których, rozumie się, chował pieniądze dla siebie. Musiałam mu wytoczyć proces. Wygrałam w tym sensie, że „wzbronione jest Dumasowi zajmować się grobowcem, o który staranie należy tylko do wdowy, i że, o ile mu jest wolno wznieść pomnik wszędzie gdzie indziej niż na cmentarzu, miejsce musi być wyznaczone przez rząd”. Tak więc, nie przegrałam, ale Dumas opowiada wszędzie, że to on wygrał proces, mimo że jest w gruncie wściekły, że nie może dalej uprawiać swoich szacherek.

Tak w relacji samej pani Hańskiej przedstawia się jeden z ważnych zarzutów, jaki jej czyniono; mianowicie, że nie dbała o grób męża, tak iż Alexander Dumas musiał kwestionować o grosz publiczny w tym celu... Wiemy od Marceliego Bouteron, że i inne zarzuty nie więcej miały podstaw. Wierzmy mu. Bo biada pani Hańskiej, gdyby nas nie przekonał! Gdybyśmy mu nie uwierzyli, w takim razie przez wydanie tych listów pani Ewa spadłaby w Polsce z deszczu pod rynnę. Zamiast być tylko nieczułą kobietą, byłaby dla nas jeszcze Polką, która o wojsku rosyjskim pisze „nasze wojska” i cieszy się z wzięcia do niewoli Bema; byłaby typową przedstawicielką wołyńsko-parysko-arystokratycznego sobkostwa i nieuświadomienia. Bouteron wystawia jej chlubne, z takich ust zwłaszcza, świadectwo, że listy jej pisane są najwytworniejszą francuszczyzną, taką, powiada, jakiej życzy wielu Francuzom. A my myślimy sobie po cichu, czy ta siostra autora *Pamiętek Soplicy* umiała pisać po polsku? Ale nie popełniamy tego błędu, aby z dzisiejszej perspektywy sądzić inne epoki! Jeżeli Delfiny Potockiej, muzy *Przedświtu*<sup>200</sup>, nigdy nie mógł nakłonić Krasieński, aby do niego pisała po polsku, nie rzucajcie kamieniem za jej cudzoziemszczyznę na tę Ewę, która była przez siedemnaście lat bożyszczem genialnego Francuza. A gdyby nawet, przez tych siedemnaście lat, zakosztował wielki pisarz przez swą ukochaną *Cudzoziemkę* radości i smutków, upojeni i goryczy, jest człowiek, któremu dała ona samo szczęście, a człowiekiem tym jest — Marceli Bouteron.

## „GARSONKA” SPRZED LAT STU

Mam na myśli pannę Lamiel, bohaterkę powieści Stendhala<sup>201</sup>, którą świeżo wydałem po polsku. *Lamiel* należy do licznych utworów tego niepospolitego pisarza, które nie ukazały się za jego życia. Brak powodzenia, jaki prześladował autora *Pustelni Parmeńskiej*, trudności wydawnicze, świadomość własnej *przedwczesności*, wszystko to nie działało podniecająco na jego twórczość literacką. Pisał wprawdzie ciągle, ale raczej dla siebie, szkicował, ale nie wykończył<sup>202</sup>. Wierzył, że wobec potomności czeka go zwycięstwo, i nawet z całą ścisłością przepowiedział jego datę; ale nie miał tej pobudki, jaką daje druk, który zmusza do decyzji, przyspiesza krystalizację formy i zniewala do ostatecznego wykończenia. Przeciwnie, raz po raz przystępował do tematu od innej strony, tworzył nowe bruliony, nowe wersje, zmagając się ze swym przedmiotem z czystej pasji pisarskiej i psychologicznej.

„Mój talent (pisze gdzieś), o ile mam talent, to talent *improvizatora*.

Zapominam wszystkiego, co napiszę; mógłbym napisać cztery powieści na jeden i ten sam temat i tak samo zapomniałbym wszystko”.

Takie fazy przechodziła i ta powieść, kilkakrotnie przetwarzana na różne sposoby, nigdy nie doprowadzona do końca i zaledwie z pozostawionego planu pozwalająca się

<sup>200</sup>*Przedświt* — poemat Zygmunta Krasieńskiego. [przypis edytorski]

<sup>201</sup>*Stendhal, Marie-Henri Beyle (1783–1842)* — fr. pisarz epoki romantyzmu. [przypis edytorski]

<sup>202</sup>*wykończyć* — dziś raczej: wykańczać. [przypis edytorski]

domyślić zamierzeń całości; mimo to — jedna z najciekawszych, jakie Stendhal napisał, odciskająca się w pamięci niezatartym wrażeniem dzięki postaci swej bohaterki.

Powstała w czasie pobytu Stendhala w Civitavecchia<sup>203</sup>. Jak wiadomo, po rewolucji lipcowej<sup>204</sup>, gdy dawni bonapartyści odzyskali „kurs”, został tam konsulem francuskim. Dostał się do ukochanych Włoch, za którymi tak długo tęsknił, ale tym razem spotkało go rozczarowanie. Może brakło mu tego, co było koniecznym owych wytęsknionych Włoch dopełnieniem: młodości. Obecnie, kiedy, przeszedłszy od wzruszeń serca do wzruszeń intelektu, raczej zaczynał się czuć dobrze w Paryżu, Civitavecchia, mała miasteczka bez żadnego odpowiedniego dlań towarzystwa, była mu niemal wygnaniem. Nudził się tam i o ile mógł, uciekał do Rzymu. Poza tym skracał sobie czas pisaniem. W roku 1836 uzyskał urlop, który zdołał przeciągnąć trzy lata. Spędził go we Francji, w Niemczech, w Anglii, głównie zaś w Paryżu. Wróciwszy w r. 1839, zaczął pisać tę powieść, stanowiącą niejako kobiece *pendant* do bohatera powieści *Czerwone i Czarne*, Juliana Sorel. Pisał ją i dyktował przez kilka miesięcy, potem przerwał, próbował wrócić do niej, zmieniał wciąż plan i sposób ujęcia. Starał się, między innymi, wprowadzić w nią element komiczny, do czego miała służyć figura doktora Sansins. Słowem, myślał o swojej *Lamiel* ciągle, aż wreszcie nagła śmierć w r. 1842 w Paryżu przecięła te zamysły.

Rękopis *Lamiel*, zagrzebany wśród innych rękopisów, znalazł się w Grenoble. Wykonawca testamentu i przyjaciel Stendhala, Colomb, wydając niektóre z nich, pominął *Lamiel*. Może wydobyć na jaw tej niepokojącej osóbkę wydało mu się przedwczesnym?... Odkrył ją rodak nasz, Kazimierz Stryjeński<sup>205</sup>, niestrudzony stendhalista, wydawca całego szeregu utworów rękopiśmiennych wielkiego pisarza. Długi czas Stryjeński był w zakresie Stendhala powagą: obecnie, uznając jego zasługi, nowsi badacze krytykują bardzo sposób, w jaki traktował rękopisy, dowolność, z jaką czynił skróty, poprawiał styl, etc. Bo też, pod tym względem, trzeba stwierdzić, pojęcia bardzo się zmieniły. Stryjeński wydał tedy *Lamiel* w r. 1888; w czterdzieści lat później, podjął na nowo tę pracę Henryk Martineau<sup>206</sup>, w przyczynku do swego wydania zestawiając ustępy tekstów i dając listę nieścisłości Stryjeńskiego. To ostatnie poprawne wydanie posłużyło mi do sporządzenia polskiego przekładu.

Nie tylko brak zakończenia świadczy o tym, że utwór ten jest brulionem. I w samym tekście znajdziemy sporo niekonsekwencji, rozbieżność chronologii, zaniedbania stylu — za które proszę nie winić tłumacza! — szkicowe traktowanie całych partii. Nie wiemy, jaki by to wszystko przybrało kształt w ostatecznej formie; ale dla każdego, kto się poufniej interesuje literaturą, tym ciekawszy jest ten obraz wykluwania się utworu, ta — można by powiedzieć — tualeta, jaką autor robi swojemu dziecku. Zwłaszcza że, mimo wszystkich zaniedbań i szkicowości, tym silniej odcina się główna postać utworu, *Lamiel*, to harde dziecko ludu o niepodległych instynktach, to wcielenie kaprysu i woli, ciekawości i znudzenia, pełna niespodzianek i kontrastów, wywierająca na wszystkich nieodparty urok, rozpraszająca jak czarami nudę wszystkich... Och! gdyby się mogła pojawić w druku wówczas, sprawiłaby skandal z pewnością większy niż niedawna *La Garçonne*<sup>207</sup>, której niewątpliwie jest wielką protoplastką. (Czy by się przyznała do tej progenitury, to inna sprawa...). Niech to da miarę skoku, jakim Stendhal wyprzedził swoją epokę, miarę niepodległości jego spojrzenia. Ta dziewczyna zuchwała, kontrolująca wszystko, co jej do wierzenia podają, rozglądająca się, myśląca, śmiała do ostatnich granic cynizmu w doświadczeniu życia, zaledwie dziś staje się rzeczywistością. Wyobraźmy sobie scenę, gdy *Lamiel* każe się nieokrzesanemu Jaśkowi uczyć „miłości”, wyobraźmy ją sobie zwłaszcza na tle epoki romantycznej i mieszczańskiej zarazem. Wszak to było o wiele wprzód, nim *Pani Bovary* Flauberta ściągnęła na autora proces o niemoralność i nim *Dama Kameliowa*

<sup>203</sup> *Civitavecchia* — miasteczko portowe we Włoszech, ok. 70 km na pn. zachód od Rzymu. [przypis edytorski]

<sup>204</sup> *rewolucja lipcowa* — kilkudniowe powstanie we Francji w 1830 r., w wyniku którego obalony został Karol X Bourbon, a na tron powołano Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

<sup>205</sup> *Stryjeński, Kazimierz* (1853–1912) — tłumacz, wydawca. [przypis edytorski]

<sup>206</sup> *Martineau, Henri* (1882–1958) — fr. krytyk literacki, dziennikarz. [przypis edytorski]

<sup>207</sup> *La Garçonne* (fr.) — *Chłopczyca*, utwór Victora Margueritte'a (1866–1942), wydany w 1922, wywołał skandal, po którym autorowi odebrano odznaczenie Legii Honorowej. Oburzenie wywołał wówczas opis postępowania bohaterki, która szuka przygód erotycznych, aby wynagrodzić sobie zdradę, jakiej dopuścił się jej narzeczony. [przypis edytorski]

zaczęła — przez parę lat daremnie! — szturmować do teatru. A wszak te dwie osoby to niewiniątka wobec Lamiel!

A epizod z księdzem Clement? Nie, stanowczo nie przypuszczam — gdyby nawet Stendhal skończył swoją *Lamiel* — aby ta książka mogła być ujrzeć światło dzienne...

Dziwne są losy tego pisarza! Rzecz jego *O miłości*, dziś jakże popularna, jak ciągle cytowana, rozeszła się w ciągu dziesięciu lat w kilkunastu egzemplarzach. Rychło, jak wspomnieliśmy, autor jej nauczył się pisać z melancholijną świadomością, że pisze — dla przyszłych pokoleń. Tak np., notuje na wstępie do swoich pamiętników (*Życie Henryka Brulard*):

Przypuśćmy, że będę dalej ciągnął ten rękopis, i że, raz ukończywszy, nie spalę go; zapiszę go nie przyjacielowi, który mógłby zostać bigotem lub sprzedać się partii... zapiszę go księgarzowi...

Zatem księgarz otrzyma po mojej śmierci oprawny tom tego okropnego pisma. Każę przepisać kawałek i przeczyta go: jeżeli rzecz wyda mu się nudna, jeżeli nikt nie będzie już mówił o panu de Stendhal, rzuci w kąteniec, który odnajdą może w dwieście lat później, jak pamiętniki Benvenuto Cellini<sup>208</sup>.

...Niezdolny do niczego, nawet do pisania urzędowych listów w moim zawodzie, kazałem zapalić ogień i piszę to, mam nadzieję, bez kłamstwa, bez robienia sobie złudzeń, tak jak list do przyjaciela, z przyjemnością. Jakie będą pojęcia tego przyjaciela w roku 1880? Jak bardzo różne od naszych?

W roku 1880! O ile chodziłoby o tę powieść, stanowczo za wcześnie! W roku 1880 wciąż byłaby *Lamiel* poza społeczeństwem, tak samo, jak w r. 1840. Zaledwie dziś uczulaby się może na swoim miejscu. Zaledwie dzisiaj widzę ją, widzę jej gibką postać, jak biegnie swobodnie gubiąc się w tłumie ulicy, widzę jej podłużne śmiałe oczy, jak rozglądają się po świecie, wszystko wążąc, wszystko przenikając, wszystko sądząc, nie biorąc się na lep żadnego frazesu. Dzisiejsza kobieta pozna w *Lamiel* swoją siostrzyczkę. Dziś dopiero wyzwalamy się po trosze z przesądów, które ona wyrzuciła za płot; dziś dopiero odetchnął świat, zwolniony od najgłupszych mieszczańskich snobizmów, do których dociągał swą egzystencję przez wiek cały; dziś dopiero wyzwala się z tyranii niedorzecznych pojęć, których powagę opłacało się życiem, i więcej niż życiem, bo nudą całego życia... Jakże byłoby do twarzy młodej *Lamiel* w dzisiejszej modzie, jak uwydatniłaby ona jej smukłą nogę, jak zgrabnie by jej było w małym filcowym kasku na głowie... Nawet pod względem fizycznego typu, Stendhal przeczuł dzisiejszą kobietę. *Lamiel* w stroju z roku 1840, alez to maskarada! Ale jakże byłaby dziś utemperowana, o ile mniej niebezpieczna dla społeczeństwa: wówczas, aby pokonać nudę i opłukać się z hipokryzji, *Lamiel* musiała szukać aż miłości bandyty; dziś chodziłaby może na uniwersytet, pracowała w laboratoriach, latała aeroplanem... Ale kto wie, może i dzisiaj zachowałaby swoją buntowniczą duszę i potrzebę ryzyka, i wpłatałaby się może i dziś w jaką niebezpieczną aferę...

Jak bardzo ta *Lamiel* była przedwczesną, jak bardzo wyprzedzała epokę, wskaże nam choćby porównanie jej z ową encyklopedią społeczną, jaką jest *Komedia ludzka* Balzaka. Nie spotykamy w niej tego typu wyzwolonej kobiety. Może panna des Touches; ale ona jest na wyjątkowych prawach; jest artystką, jest pisarką, ma krociowy majątek... Poza tym młode panny Balzaka ściśle zamykają się w horyzoncie rozsądnego małżeństwa. Ale ten typ dziewczyny zuchwalej, krytycznej, inteligentnej, idącej na przelaj, drwiącej ze wszystkiego i gardzącej społeczeństwem, którego wartość oceniła, jakież to było śmiałe! Bo też Balzac dążył do typizowania, gdy Stendhal kochał się zawsze w wyjątkach społecznych; przy tym Balzac — o ile chodziło o te sprawy — zawsze tkwił w mieszczańskich pojęciach francuskich, gdy Stendhal przewędrował cały świat, widział różne obyczaje, a widział je z perspektywy pochodów Napoleona, gdy wiele norm i wiele przesądów posyłało się w diabły. Przeniesiony z tego obozu napoleońskiego w życie normalne, nigdy, w gruncie, do niego się nie przystosował; tworzył sobie w wyobraźni swój świat, świat ludzi mocnych, śmiałych, wolnych. Tak wyroił sobie swoją *Lamiel* i kochał się w niej — poprzez tę setkę lat, która go dzieliła od jej masowej inkarnacji.

<sup>208</sup> Cellini, Benvenuto (1500–1571) — włoski rzeźbiarz, złotnik. [przypis edytorski]

Kondycja ludzka, Obyczaje

Obyczaje

Tak, Stendhal został zawsze po trosze na marginesie społeczeństwa. Brutalna szkoła wojny, zawrotna fantazja napoleońskiej budowy świata, wycisnęły na nim swoje piętno. Nigdy nie mógł się pogodzić z kontrastem, jaki stworzył we Francji przełom roku 1815: *Czerwone i czarne*, to tytuł jednej jego powieści, najgłośniejszej; *Czerwone i białe* (*Lucjan Leuwen*) — tytuł innej, która pozostała niedokończona, a którą niedawno wydano. I *Lamiel* ma ten sam podkład społeczny. I tu, z początkiem powieści, jesteśmy w pełni Restauracji. Napoleon, unieszkodliwiony, umiera na wyspie św. Heleny; wyczerpana, umęczona Francja oddaje się, za cenę pokoju, we władanie dawnym swym królom. Aristokracja ściąga z wygnania, odzyskuje ogromne majątki, chwyta w ręce władzę i stara się przekreślić wszystko, co tych dwadzieścia pięć lat zmieniło w psychice Francji. Odbudowa religii ma być w tym celu najdzielniejszym środkiem. Niewidzialna ale wszechobecna Kongregacja włada wszystkim, kładzie swą rękę wszędzie (a przynajmniej Stendhal widzi jej rękę wszędzie), *misje* objeżdżają kraj, odwołując się, bodaj za pomocą niewybrednych „cudów”, do uśpionych uczuć religijnych; prawdziwa lub udana dewocja staje się nieodzownym warunkiem dojścia do czegoś, zajmowania jakiegoś stanowiska. Najbardziej płaska obłuda święci triumfy. Ale równocześnie w tej atmosferze dojrzewa duch buntu, który, w chwili gdy zaślepione sfery rządzące najmniej się tego spodziewają, wybuchnie rewolucją dni lipcowych roku 1830. W tej atmosferze wyrasta *Lamiel*. Jak młody Julian Sorel, tak i ona ma duszę niepodległą, zarażoną romantyzmem; dusi się zarówno w chacie wujostwa, jak w pałacu księżnej; dławi się otaczającą ją obłudą, służalstwem, ciasnotą; nie zadowala się odpowiedziami, jakimi chcą oszukać dręczące ją pytania; sama chce ogarnąć wszystko; wszystko podważa duchem krytyki. Ten duch krytyki ma tu dwie inkarnacje: jedna dumna i śmiała, ucieleśniona w smukłej postaci *Lamiel*; druga pokraczna, przeżarta ambicją i próżnością — to garbus, doktor Sansins. *Lamiel* zostanie kurtyzaną, księżną, zbrodniarką, Sansins może... posłem. Bo podobnie jak Julian Sorel, tak i *Lamiel* ma wszystkie warunki, aby i w tym światku zrobić karierę; ale nie może: broni jej tego nuda i obrzydzenie; mierzi ją tak samo mieszczański snobizm, jak wprzód arystokratyczna i bezmózga nadętość. Toteż Stendhal nie widzi innego godnego końca dla swej bohaterki, jak uśmiercić ją: i to w jakim romantyczny sposób!

Szkoda, że nie mamy tej książki w całości; byłoby to może arcydzieło Stendhala. Ale i w tej niekompletnej postaci, sądzę, że panna *Lamiel* warta jest, aby z nią zawrzeć znajomość. Wszystkich, którzy kochają *Czerwone i czarne* (a jest ich w Polsce cały legion, wiem o tym) zelektryzuje niewątpliwie wiadomość o żeńskiej odbitce Juliana Sorel, i to odbitce nieskończenie przewyższającej urokiem tego ambitnego i ponurego młodzieńca.

Kiedy myślę o Stendhalu i jego kulcie u nas, zawsze staje mi w pamięci Żeromski, dla którego Stendhal pozostał do końca najukochańszym pisarzem. Czy znał *Lamiel*, czy by mu się podobała? Raczej przypuszczam, że nie znał. Ale zainteresowałaby go z pewnością ta harda i niespokojna dziewczyna, która, jak jego Ewa, też znalazła swego hrabiego Szczerbica, a skończyła na Pochroniu<sup>209</sup>...

## ZAPROTESTOWANA LAMIEL

Żyjemy dziś w Polsce pod znakiem protestów, wekslowych i literackich. O ile z protestem wekslowym trzeba się pogodzić jako z jedyną pacyfistyczną formą dochodzenia nieprzedawnionych praw własności, o tyle w sprawach mniej lub więcej duchowych nadużycie „protestu” wydaje mi się niebezpieczne. Grozi nam to, że pojedyncze lub zbiorowe protesty zastąpią krytykę literacką. Nad bramą pewnych pism wystarczy umieścić głośnik śpiewający jakąś *Rotę*. Ale to, o czym chcę mówić, przechodzi miarę zwykłych zdarzeń; godne jest zanotowania: jestem pewien, że znajdzie echo poza granicami Polski, jako swojego rodzaju osobliwość.

Zajmując się od dawna twórczością Stendhala, wydałem świeżo jego śliczną powieść *Lamiel*. Zdawałoby się, że to sprawa czysto literacka; książka sprzed lat stu, autor dawno już posadzony między klasykami, myślałem tedy skromnie, że przysporzę sobie listek do wianuszka „zasług” i tym samym okupię moje przewiny z ostatnich czasów. Jakże się omyliłem! Pewnego dnia, w codziennej paczusce *Informacji prasowej polskiej*, która z życ-

<sup>209</sup> *Ewa, hrabia Szczerbic, Pochroń* — bohaterowie powieści Stefana Żeromskiego *Dzieje grzechu*. [przypis edytorski]

liwą regularnością przynosi mi potok wymyślań, dostają numer pisemka, które zwykle zresztą jest ze mną w niezgodzie. Czytam łokciowymi literami tytuł:

*PROTESTUJEMY!*

*List otwarty do pana Boya-Żeleńskiego i wszystkich tych, którzy dzielą jego poglądy.*

Tym razem osłupiałem. Z powodu *Lamiel!* I co za słowa padają w tym proteście! „Panowie (czytamy tam), wy przecież macie matki, wielu z was ma siostry i córki. Czy rzeczywiście i dla nich ideałem waszym byłoby wcielić je w typ *Lamiel!*... Przecież wy, panowie, macie się za tych, którzy szerzą kulturę w kraju swoim. Przecież wy się macie za ludzi myślących. Przecież wy nie chcecie bolszewizmu i jego następstw, ani u nas, ani w świecie całym”... Etc. etc.

Bolszewizm! Przez długi czas, w utartych dziennikarskich frazesach, reprezentowałem „kulturę Zachodu”; od niedawna ani się spostrzegłem, jak uczyniono ze mnie... ambasadora Sowietów.

Bolszewizm w powieści Stendhala z roku 1840! Erudyci i akademicy francuscy, którzy ślęczą nad ustaleniem jej tekstu i z pietyzmem odcyfrowują każdą literę, nie podejrzewali snadź, ile dynamitu mieści ta powieść, skoro zdolna jest wywołać tak patetyczne zaklęcia.

Ale, doprawdy, warto, dla oświecenia absurdałnej metody „protestów”, zacytować parę ustępów:

Najwspanialsze świątynie, których ślady mamy w resztkach ruin, a te resztki jeszcze podziw w nas wzbudzają. Świątynie w Indiach, w Chinach, w Japonii, w Tebach, w Luksorze — greckie i rzymskie — meczety arabskie — i dzisiejszy Rzym ze swymi świątyniami — świątynie Kolonii, Mediolanu, Florencji, i te zniszczone przez wandalów w czasie ostatniej wojny.

I te przecudne posągi, witraże, ozdoby, plafony<sup>210</sup>, pawimenty<sup>211</sup>, niezrównane dzieła architektury, rzeźby, pędzla, muzyki, te harfy, kute żelaza, płaskorzeźby w kamieniu i w drzewie...

Czy wy tego nie podziwiacie, panowie? A czy tego wszystkiego kultura nie zawdzięcza swej „przesądnej” tęsknocie ku ideałom?

Czy wy tej „przesądnej” tęsknoty nie znacie?

Dziś, dzięki kulturze p. Żeleńskiego, polskie „siostrzyczki” *Lamiel* dostąpiły już zaszczytu bratania się z nią. P. Żeleński uznał polską kobietę za godną wpuszczenia *Lamiel* między siebie. Tylko my, kobiety polskie, protestujemy! protestujemy! — protestujemy!

Doprawdy rzadko kiedy nadużycie drukowanego słowa dla fałszywego frazesu doszło do takiej rozpusty. Paniusiu złota! Na miły Bóg! Kto chce niszczyć plafony i pawimenty? O co ten wrzask? Z powodu spolszczenia mniej znanej książki Stendhala, fanatycznego miłośnika Włoch i wszelkiej sztuki, autora *Listów o Haydnie, Mozarcie i Metastazju*, autora *Historii malarstwa we Włoszech, Przechadzek po Rzymie*, autora książek *Rzym, Neapol i Florencja, Życie Rossiniego!*

Ale słuchajmy protestującej paniusi dalej. Daję słowo, warto:

Dla was, panowie, to wszystko znieawidzony zabobon...

Niech żyje wolność! Swawola! Nie chcemy nudy. Dlatego chcemy *Lamiel*, bo zbrodniarki, rozpustnice, cyniczne dziewczyny chronią nas od nudy, a prawo Boże krępuje swawolę naszą, więc niech żyje cyniczna *Lamiel*, wzór dla siostrzyczek naszych polskich.

...I teraz, gdy dzielne dziewczęta po biurach, urzędach, kształcące się na uniwersytetach, zdobywające posady nauczycielek po wsiach i po miastach, przemocą nieledwie wyrwały z rąk waszych wolność współzawodnictwa pracy, kusicie ją sofizmatem „cynicznej *Lamiel*”, by się pozbyła „przesądów” uczciwości sumienia — by szła za wzorem swej cynicznej siostrzyczki i nadal przy kieliszku rozpraszała waszą nudę.

<sup>210</sup>plafon (z fr.: sufit) — sklepienie zdobione malowidłami a. sztukateriami. [przypis edytorski]

<sup>211</sup>pawiment (daw.) — dekoracyjna posadzka, np. mozaikowa. [przypis edytorski]



Głowa mi pęka! Paniusiu, paniusiu! Paniusia właśnie tak mówi, jak gdyby już Ewa w raję pisała na maszynie i zarabiała na życie jako stenotypistka. Powołuje się paniusia na „dzielne dziewczęta, kształcące się na uniwersytetach”. Istotnie, to nie takie dawne czasy, jak sobie wywalczyły to prawo. A kto wówczas przeciw temu protestował, kto wołał o masonskiej robocie i burzeniu domowego ogniska, kto rzucał anatemy na pierwsze studentki medycyny? Paniusia, właśnie paniusia. A kto przeciwnie, był jednym z pierwszych, którzy walczyli o prawo do wykształcenia i samodzielności dla kobiet? Stendhal, ten Stendhal, z powodu którego paniusia robi taki wrzask. Niech paniusia weźmie do ręki jego książkę *O miłości* (też zuchwale, bez pozwolenia paniusi, przełożoną przeze mnie) i przeczyta sobie to, co pisze w rozdziale 54 i 55 o wykształceniu kobiet. Albo niech paniusia weźmie po prostu moją przedmowę do *Lamiel*, która paniusią tak oburzyła i niech paniusia czyta:

...Wówczas, aby pokonać nudę i oplukać się z hipokryzji, Lamiel musiała szukać aż miłości bandyty; dziś chodziłaby może na uniwersytet, pracowałaby w laboratoriach, latała aeroplanem...

Bo, paniusiu złota, o to właśnie chodzi: Lamiel, to jest typ dzisiejszej młodej dziewczyny, genialnie przeczytej przez Stendhala, a pomieszczonej w warunkach życia z roku 1830 i wypaczonej przez te warunki. Tak, tak, paniusiu; taki jest podział pracy: jedni walczą o nowe życie i tworzą je, a drudzy, siedząc na cudzym trudem wzniesionym Kapitolu, gęgają bez przerwy wobec każdej myśli: „Protestujemy!”.

Niech mi paniusia wierzy, że nie zajmowałbym się paniusią ani paniusinym protestem, ale jest on zbyt symptomatyczny. Stwierdza on przede wszystkim to, na co zwracam uwagę od dłuższego czasu, mianowicie jak forsownie starają się pewne sfery cofnąć nas wstecz w cywilizacji, powiedzmy po prostu: ogłupić nas. Zdawałoby się, że są już pewne rzeczy ustalone. Tak na przykład, z dawien dawna, chlubił się tym, że Polak Kazimierz Stryjeński, pierwszy wydawca *Lamiel* i wielu tekstów Stendhala, był tym, który na nowo pokazał Francji tego pisarza, że był pierwszym prezesem „klubu stendhalistów”, etc. Pięćdziesiąt lat temu ukazały się u nas pierwsze przekłady Stendhala, które pochłaniał w ekstazie młody Żeromski. I naraz paniusia nie pozwala wydawać Stendhala po polsku, paniusia protestuje! A paniusia to nie byle kto! Paniusia to potęga. Protesty paniusi towarzyszą zwłaszcza od dłuższego czasu mojej skromnej pracy na wszystkich polach. Bo paniusia jest dziś wszędzie. Czasem, dla niepoznaki, przebierze się w togę profesora uniwersytetu; czasem oblecze się w patetyczne spodnie „czołowego” publicyści...

„Protestujemy!”, wciąż słyszę to słowo. Jest to już tak nudne i głupie, że nie wiadomo, czy śmiać się, czy ziewać.

Oto więc są akta sprawy między mną a paniusią. A gdyby tak kto, zainteresowawszy się tym sporem, przeczytał samą *Lamiel*? Byłby to najpozytywniejszy rezultat paniusiego protestu. W takim razie, niech żyją protesty!

1930

## TECHNIKA PRACY

Mój Boże, jak ten czas leci! Zdaje mi się, że to wczoraj, a to już rok okrągły, jak siedziałem z głową utopioną w rękach i dumiałem głęboko i beznadziejnie, o czym by napisać „felieton na święta”. Bo, wedle obyczajów każdej szanującej się redakcji, musi być felieton na święta. Zdawałoby się: pisz o tym, co cię obchodzi. Właśnie! „Felieton na święta” musi mieć zupełnie odrębny charakter: musi być właściwie o niczym, bo każda kwestia nie nadaje się na święta; albo jest za smutna, albo za płocha, albo nieprzyzwoita, albo... czy ja wiem co, ale zawsze jest jakieś „albo”. No to pisz o niczym, powie ktoś: dla rasowego felietonisty nie ma nic łatwiejszego. Ba, właśnie kiedy ja nie mam w sobie nic z „rasowego felietonisty”: ciągle mi się chce pisać o czymś...

W ogóle zastanawiałem się nieraz, bodaj na swoim przykładzie, jak u nas nisko stoi technika pracy. Istna epoka krzemienia! Nie mówię już o tak rozpowszechnionym używaniu piór, gdy maszyna do pisania dosłownie potraja wydajność pisarza, podnosząc jego mleczność do wyżyn holenderskiej krowy; ale technika intelektualna. Pisz się to, co

Obraz świata

Literat, Praca

w danej chwili człowiekowi przyjdzie na myśl, i koniec. Wypisuje się wszystko, do dna, bez troski o jutro. A skąd ta pewność, że co dzień przyjdzie coś na myśl w odpowiedniej ilości, nie mówiąc o jakości? Czy pisarz nie powinien dbać o to, aby mieć zawsze pełny rezerwuar? Podobno tak czynią literaci w krajach o starszej kulturze. Nasi autorowie<sup>212</sup> pracują wyłącznie talentem; stąd niebezpieczeństwo wyczerpania i stosunkowo wysoki procent przedwczesnych ramolów. Otóż, cywilizowany literat ma przy sobie notatnik, z którym się nigdy nie rozstaje. Tam sobie zapisuje wszystko, co mu przyjdzie w danej chwili do głowy, co usłyszy, co przeczyta — dowcip, anegdotę, myśl (lub coś podobnego do myśli), aforyzm, fakt, etc. O ileż takiemu łatwiej jest później napisać komedię lub felieton: nadziewa dialog dowcipem jak rodzynekami, w miarę, nie za mało, ale i nie za dużo, aby starczyło na potem; kiedy chce napisać felieton, sfastryguje kilka kawałków, i gotowe! A my! Ileż człowiekowi przepada myśli, które puszcza przed siebie bez troski jak dymek z papierosa. Koło ilu rzeczy przechodzi niedbale i zapomina je potem! Wciąż improwizuje się, zamiast pracować metodycznie.

Przy takiej dzięki gospodarce duchowej, przerażający bywa zwłaszcza stan literata, który wróci z urlopu. To katastrofa! I jeszcze jeden dowód więcej, jak szablonowo ludzie urządzają sobie życie. Urlop — to jest pojęcie przeniesione z zajęć stałych, uregulowanych, niejako bezosobistych. Dyrektor banku jedzie na urlop, zastępuje go wicedyrektor, warsztat idzie dalej. Pan dyrektor wraca wypoczęty, zastaje kolumny cyfr uśmiechające się do niego przyjaźnie, siada do biurka, za dwie godziny jest w nich w domu. To samo komornik, stroiciel fortepianów, kat, cukiernik, etc. Inaczej literat. Warsztatem jest on sam: oderwać się od codziennej pracy, to tak, jakby w fabryce zagasić ów wielki komin, w którym się podsycy ogień nawet podczas strajku, bo wiadomo, co kosztuje rozpalenie go na nowo. Pod koniec sezonu jest pełen myśli, planów, w głowie mu się pali; przerywa wszystko, bo zwyczaj każe brać w lecie urlop; wraca, zastaje chłód, zgliszcza. W głowie pusto: wszystko, czym się przejmował, stało mu się, pod wrażeniem szumiących drzewek i gwiaździstego nieba — bo ten sam szablon każe spędzać urlop na łonie natury! — stało mu się obojętne. Na mnie na przykład działa przerażająco natura. Literatura polega na fikcji, że to, co człowiek robi, to są rzeczy ważne, które wszystkich obchodzą; widok zielonej żabki, której problematy literackie są kompletnie obojętne, wystarczy, aby zabić w człowieku wiarę w siebie. A może ta żabka ma rację — myślę sobie podświadomie — może wszystko jest w istocie tak głupie i niepotrzebne, jak to czytam w jej tajemniczych oczach.... Ach, jakież to delikatny fach być pisarzem!

I oto jakże inne byłoby uczucie literata, gdyby, wracając, znalazł biurko doskonale zagospodarowane, szuflady pełne aktów<sup>213</sup>, materiałów do obrabiania, surowców. Zawsze wydawał mi się godny zazdrości los malarza, przez to, że jego sztuka ma stosunkowo tak znaczną domieszkę *rzemiosła*. Doszedłszy do pewnych zdobyczy techniki, malarz utrwala je niejako; może potem trzydzieści lat reprodukować samego siebie, ba, coraz doskonalej. Ładnie by literat wyglądał, gdyby tak zechciał! Cóż pomogło na schyłku samemu Sienkiewiczowi, że w *Trylogii* wznosił się do szczytów? Otóż, przetłumaczyć *Trylogię* na sztukę jakiegoś Fałata czy Malczewskiego, a Sienkiewicz byłby mógł trzydzieści lat dumnie bić monetę ze swego mistrzostwa. Pisarz musi wciąż podawać swoje flaki na gorąco, i biada mu w dniu, w którym ostygną!

Chodziłoby tedy o to, aby w literaturę chytrze wprowadzić jak największą dawkę *rzemiosła*. Stworzyć sobie biuro, być w nim urzędnikiem i awansować!... to ideał. Do tego przede wszystkim powinno być archiwum, „dziennik podawczy”, do którego życie wnosiliby co dzień swoje akty<sup>214</sup>. Uznaję tę zasadę, ale nigdy nie miałem cierpliwości wprowadzić jej w życie. Parę razy postanawiałem sobie założyć takie archiwum. Tyle się rzeczy widzi, słyszy, myśli co dzień! Kiedy czytam rozkosznego *Szwejka*, uświadamiam sobie, ile wspomnień zatraciłem na zawsze z czterech lat wojny austriackiej, w której sam byłem po trosze takim biednym Szwejkiem w mundurze oficerskim! A z samych dzienników, z tego, co się w nich spotyka co dzień, czy mało byłoby pociechy? Kiedy

Natura

Twórczość

Literat, Sztuka

<sup>212</sup>autorowie — dziś popr. forma M. lm: autorzy. [przypis edytorski]

<sup>213</sup>aktów — dziś popr. forma D. lm: akt. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>akty — tu dziś raczej: akta. [przypis edytorski]

Karol Kraus<sup>215</sup> założył przed ćwierć wiekiem swoją słynną „Fackel”, zaczął od tego, że wylawiał i oświetlał brednie, które napotykał, przeglądając inne gazety. Była to „ośła łąka” wiedeńskiej prasy. Przypomina mi się, że kiedy pracowałem w „Czasie” — epoka, którą zawsze najmilej wspominam! — lub raczej zanim w nim pracowałem a byłem tylko „przyjacielem pisma” i częstym gościem redakcji — delectowałem się księgą, którą założył tam ówczesny współpracownik „Czasu”, jeden z najdowcipniejszych ludzi i najbardziej lubieżnych smakoszy ludzkiego głupstwa, Witold Noskowski<sup>216</sup>. W księdze tej były naklejone „kawałki” uszczknięte na łamach pism. Jeden tom zawierał baki znalezione w innych dziennikach, a drugi tom baki, które się wkradły do... samego „Czasu”, i tymi się ta bardzo kulturalna i sceptyczna redakcja bawiła najserdeczniej. A czemu mi się przypominała ta księga? Bo właśnie jedyny dokument, który znalazłem w moim niedoszłym archiwum, zawdzięczam „Czasowi”. Przed kilku laty, w roku 1922 czy 1923, z rozkoszą wyciąłem i wkleiłem do zeszytu następującą notatkę, znaną w kronice tego arcyważnego i namaszczonego pisma. Przytaczam, nie zmieniając ani słowa:

*Krytyczne położenie eunuchów.* Jak donoszą z Konstantynopola, weszło w Turcji w życie z dn. 4 października nowe prawo o rozwodach. Odtąd sprawy rozwodowe podlegać będą kompetencji sądów świeckich. Poza tym małżonkowie zostali pod względem prawniczym zrównani, haremy zostały skasowane, poligamia zaś będzie w przyszłości karana pięcioletnim więzieniem. Tym samym eunuchowie zostali w zupełności pozbawieni pracy i chleba. Podobno zamierzają oni założyć wielkie stowarzyszenie celem obrony swoich interesów. Eunuchowie spodziewają się za pomocą tegoż związku wywalczyć swe prawa na międzynarodowym forum w Lidze Narodów.

Praca, Prawo

Kiedym się bawił teraz na nowo tą „kroniczką”, mimo woli wspomniałem sobie mego kochanego Witolda i jego księgę. Czy też ma ktoś w „Czasie” tyle szacunku dla tradycji, aby prowadzić dalej jego dzieło? A sam Witold Noskowski, czy je kontynuuje na swojej nowej placówce? Chybaby mu przydzielono specjalnego intrologatora, boby nie nastarczył z naklejaniem...

Tak więc ta notatka o Związku Eunuchów, to wszystko, co znalazłem dla poratowania mojej wyobraźni. Trochę chudo — zwłaszcza na święta! I czy to się w ogóle nadaje na święta? W inny dzień mniej uroczysty, można by ten temat rozwinąć, nawiązać do krytycznego położenia naszych eunuchów krajowych, zapuścić się nawet w domysły, kto by kandydował na prezesa, gdyby im przyszła ochota stworzyć związek zawodowy... Ale na święta to się stanowczo nie nadaje. Pokój ludziom dobrej woli!

Prawda, znalazłem jeszcze coś, tym razem w pugilaresie. Dostałem to jako autentyczny wyjątek z protokołu komornika. Urywek ten brzmi:

...przyszedłszy, nie zastałem dłużnika w domu. Wobec tego, zająłem dwa gipsowe mickiewicz<sup>217</sup> i fotel. Przy bliższym obejrzeniu jeden z mickiewiczów okazał się być słowackim, fotel zaś okazał się być klozetem pokojowym, gdyż dłużnik wychodzi na dwór w pokoju. Zwróciłem mu fotel jako przedmiot codziennej potrzeby, a za tę czynność policzyłem 45 zł.

Pieniądz, Patriota, Polak

Spyta ktoś, skąd ja do tego przyszedłem? Było tak: Odczytał to raz u mnie w domu z karteczki młody student, przyjaciel mego syna. Powiadam do niego: dam ci za tę karteczkę piętnaście złotych, jeżeli mi zaręczysz, że jej nie umiesz na pamięć i że jej nigdy nie będziesz reprodukował. Trochę się chłopak certolił, ale ostatecznie wziął piętnaście złotych i oddał mi karteczkę. „Na co to panu? — spytał. — Na pasek<sup>218</sup>. Sprzedam może Jarosyemu<sup>219</sup>, może Walterowi; komornik jest aktualny, mogę zarobić”. I oto kiedy

<sup>215</sup>Kraus, Karol, właśc. Kraus, Karl (1874–1936) — austriacki pisarz, publicysta, w latach 1899–1936 wydawca polityczno-literackiego czasopisma „Die Fackel” (pochodnia). [przypis edytorski]

<sup>216</sup>Noskowski, Witold (1873–1939) — krytyk literacki, dziennikarz. Tekściarz i kompozytor kabaretu Zielony Balonik. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>dwa gipsowe mickiewicz (...), jeden z mickiewiczów okazał się być słowackim — dwa popiersia Mickiewicza i Słowackiego; pisownia małą literą oryginalna, świadczy o przedmiotowym traktowaniu tych pamiątek narodowych przez piszącego komornika. [przypis edytorski]

<sup>218</sup>na pasek — tu: na handel; dla spekulacji. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>Jarosy, Fryderyk (1890–1960) — reżyser teatralny, artysta kabaretowy. [przypis edytorski]

chciałem sprzedać, podano w wątpliwą ów dokument, zostałem z nim niby z fałszywym dolarem i tak samo jak właściciel fałszywego dolara nie tracę nadziei, że mi się go uda komuś wsunąć. Może tobie, czytelniku?

No i wytrzymałem całe moje archiwum, zostałem biedny jak mysz kościelna. Już mnie dreszcz przechodzi, co będzie na następne święta?

Ale pal licha! Wzięli diabli krowę, niech wezmą i cielę! Jeszcze coś wygarnę: tym razem historyczno-literackie. Ze słynnych *Oś*, wydawanych przez Alfonsa Karr<sup>220</sup> gdzieś około roku 1840, wynotowałem sobie kiedyś następującą historyjkę:

Pytano pewnego dziennikarza, czy w istocie myśli to, co napisał z okazji jakiejś sztuki teatralnej. Publiczność — odpowiedział — potrzebuje, aby jej dostarczać sądów; płacą mi więc pięćset franków na miesiąc, abym dawał sąd o nowych sztukach. Daję tedy, ale nie mój; mój by kosztował drożej.

Literat

No, teraz to już naprawdę koniec. I znów kłopot: na zwykły dzień byłoby dosyć, ale na święta może mało. Felieton na święta ma, obok innych niedogodności, to, że musi być duży. Szynki zamknięte, ludziska muszą żyć duchem. Spróbuję jeszcze ostatniego ratunku; zajrzę do mojej skrzynki listowej, tyle tam leży listów od czytelników, na które nie miałem czasu odpowiedzieć. A doprawdy czasem zdarzają się tacy, którzy piszą wcale do rzeczy. Ot, jak się wam wydaje taki list, który przyszedł od skromnego (jak sam o sobie pisze) człowieka z prowincji, p. Zielińskiego z Częstochowy:

Szanowny Panie! Niejednokrotnie już prasa zamieszczała i zamieszcza różne skandaliczne historie, które zdarzają się wśród tzw. elity towarzyskiej. Nigdy jednak nie udało się mi wyczytać nazwiska wplątanych osób, tylko zawsze mniej więcej tak: znany w X... radca Y, baronowa U, doktor J., etc. Natomiast zawsze podaje się dokładnie imię i nazwisko bohatera jakiegoś skandalu, o ile nim był taki sobie zwyczajny szary człowiek, jakich w Polsce jest 29 milionów. Mało tego — wyolbrzymia się niekiedy niewinne historie do rozmiarów zbrodni. Później kiedyś, drobnym druczkiem na ostatniej stronie, zamieszcza się sprostowania, które nigdy nie zdołają sprostować wielkiej krzywdy, jaką się dokonało. A więc baronowa Y, która kradła futra, radca X złapany w tajnym domu schadzek na wyrafinowanej rozpuście, i wielu im podobnych, mają więcej wstydu i ambicji niż zmarznięty chłopiec, który kradnie węgiel z wagonu, niż, jak to miało miejsce ostatnio, dziewczyna która z trupów zdiera koszulki dla mającego się narodzić, a już z góry wyklętego bękart?! Dlaczego prasa, która chętnie się mianuje rzecznikiem sprawiedliwości i demokracji, tak skrzętnie ukrywa brudy i błędy sfer uprzywilejowanych, a z drugiej strony z takim triumfem tłustym drukiem i lokciowymi literami krzyczy o błędach ludzi biednych? Albo odkryć oblicze wszystkim, albo nikomu!...

Piszę to do Szanownego Pana, znając go z...

Nie, dalej skromność nie pozwala mi przytoczyć. Ale myślę, że listem mego nieznanego przyjaciela, doprawdy nie pozbawionym zdrowego sensu, można zakończyć z chwałą ten świąteczny felieton. I przysięgam sobie, że natychmiast zacznę zbierać materiał na rok następny. Grunt to technika pracy.

## WYBORY A DZIECI

Najmilszy stan, to być człowiekiem w sile wieku. Taki ma wszystko: ma przeszłość, ma ociupinkę terażniejszości, ma jeszcze przyszłość, siedzi sobie okrakiem między wczoraj a jutrem, buja nogami i bawi się. Bo świat jest zabawny zwłaszcza w zestawieniach, w ciągłych zmianach perspektywy.

I tak na przykład, zaledwie pułkownik Sławek<sup>221</sup> bąknął o rozpisaniu nowych wyborów, samo słowo „wybory” potrąciło we mnie jakieś wpół zapomniane obrazy. Najod-

Dorosłość

<sup>220</sup>Karr, *Alphonse* (1808–1890) — fr. pisarz, dziennikarz; wydawca miesięcznika satyrycznego *Les Guêpes* (fr.: *Osy*). [przypis edytorski]

<sup>221</sup>Sławek, *Walery* (1879–1939) — polityk, premier Polski w latach 1930–31 i w 1935; pułkownik Wojska Polskiego, marszałek sejmu. [przypis edytorski]

leglejsze wspomnienia dzieciństwa: wybory w dawnym Krakowie. Cichy, cichutki Kraków. Zaczynało się dość poważnie: plakowano pisma samego cesarza zaczynające się od sakramentalnych słów: „Kochany hrabio Taaffe<sup>222</sup>”... Ale potem! Naraz gwałt, wrzaski, wymyślania, hasła, wielkie słowa, masę pijanych ludzi po ulicach — i skończyło się, ktoś pojechał do Wiednia i znów cicho. A starzy ludzie kiwali głowami ze smutkiem: „wszystko (powiadali) ta demokracja, ta „Nowa Reforma”<sup>223</sup>. Dawniej był jeden dziennik — „Czas” — i była zgoda; zeszło się kilkunastu ludzi, uradziło, kto ma posłować, nie było tych gorszących kłótni. A całe to piwo warzy ten wariat Pawlikowski<sup>224</sup>: gdyby on nie dopłacał do „Reformy” dziesięciu tysięcy guldenów rocznie, musieliby ją zamknąć i byłaby jedność w narodzie”.

Władza, Walka klas

Takie to były czasy! Demokracja — to był na wskroś pański dom Mieczysławów Pawlikowskich: „lud” to byli dzisiejsi burżuje. Socjalistów jeszcze nie było. I była jeszcze „wielka własność”, gdzie kilku ludzi mianowało posła. Dużo się zmieniło, ale do tego jednego wróciliśmy: znów dziś kilku ludzi mianuje posłów.

Wychowanie, Dzieciństwo,  
Kłamstwo

Ale nie o tym chciałem mówić. Raczej o tym, czym były wybory dla nas, dzieciaków. Te dni, to były istne saturnalia, wielkie święto odwetu. Wyobraźcie sobie malca, któremu dorosli suszą głowę, że nie trzeba kłamać, że trzeba szanować starszych, że nie trzeba się złościć. I naraz, ci poważni, ci dorosli, często znajomi rodziców, przez kilka dni wymyślają sobie jak opętani afiszami, nalepkami, na wszystkich rogach ulic, zarzucają sobie nawzajem kłamstwa, przekupstwa, wszystkie zbrodnie i występki. No a dopiero w gazetach co można wyczytać o każdym z nich!... Śliczne rzeczy. Bo w owych czasach technika wyborów (a tym samym wymyślania) była inna niż dziś. Celowało się nie w bezduszne „numery”, ale w żywe osoby. To było o wiele soczystsze i zabawniejsze. „Precz z korupcjonistą! Precz z warchołem!” — Złodziej grosza publicznego, pasożyt, to jeszcze najniewinniejsze. A my, bębny, pławiliśmy się w rozkoszy.

Poza tym uświadomienie polityczne w mojej klasie było słabe. Gardziło się „szwarcgelbami<sup>225</sup>”, jak nasz dyrektor Stawarski, życzący co rok maturzystom w swojej przemowie, aby wyszli na pożytek „cesarzowi, Bogu i ojczyźnie”. Słowo „stańczyk” też było źle widziane. Raz, pamiętam, starsi uczniowie zmobilizowali nas na „kocią muzykę” pod oknami Pawła Popiela<sup>226</sup>, ale czemu, o co, nie bardzo się wiedziało. Kocia muzyka jest sama w sobie rzeczą tak przyjemną, że nie wymaga ścisłego umotywowania. Jedyne polityk w klasie, to był Staś Kasznica<sup>227</sup>. To był męczennik swoich przekonań; przez jakiś czas co dzień był bity, bo kiedy mu któryś z klasy rzucił: „stańczyk”, stawał z płomiennymi oczami i wołał: „Tak, jestem stańczyk i szczerzę się tym, że jestem stańczykiem”. I, mimo że wątpy, walczył z nerwową siłą przeciwko gradowi spadających nań kulaków. Istne sceny z rewolucji francuskiej! Nieraz Kasznica — mieliśmy wówczas lat ze trzynaście — starał się wprowadzić mnie w arkana polityki. Rozróżniał dwojakich stańczyków: prawdziwych jak Stanisław Tarnowski<sup>228</sup>, i fałszywych, zgubnych, jak Michał Bobrzyński<sup>229</sup>. Byliśmy w wielkiej przyjaźni, ale nigdy nie mógł sprawić, abym słuchał tych subtelności serio: toteż on jest dziś senatorem, a ja błaznem.

Polityka

Ale Kasznica był wyjątkiem; ówczesna dzieciarnia była w polityce jak tabaka w rogu. Wybory były przede wszystkim uciechą. Idąc do szkoły, widziało się na murze afisze bezczeszczące jakiegoś kandydata; wiedzieliśmy, że nim wyjdziemy z klasy, już afisze będą zdarte, a miejsce ich zajmie odpowiedź, w której przeciwnik nie pozostanie mu dłużny. Bawiła nas niewyczerpana inwencja formy przy monotonii treści. No i szybkość! Dla

<sup>222</sup>Taaffe von, Eduard (1833–1895) — polityk austriacki, minister spraw wewnętrznych i premier. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>Nowa Reforma — krakowski dziennik ukazujący się w latach 1882–1928. [przypis edytorski]

<sup>224</sup>Pawlikowski, Mieczysław Gwałbert (1834–1903) — pisarz, działacz społeczny i polityczny, publicysta; uczestnik powstania styczniowego. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>szwarcgelb (z niem. Schwarzelber: czarno-żółty) — Austriak, monarchista austriacki; określenie od barw flagi Habsburgów. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>Popiel, Paweł (1807–1892) — konserwatywny polityk, publicysta. [przypis edytorski]

<sup>227</sup>Kasznica, Stanisław (1874–1958) — prawnik, działacz polityczny. [przypis edytorski]

<sup>228</sup>Tarnowski, Stanisław (1837–1917) — historyk literatury, krytyk literacki, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezes Polskiej Akademii Umiejętności. [przypis edytorski]

<sup>229</sup>Bobrzyński, Michał (1849–1935) — historyk, polityk. [przypis edytorski]

chłopców, dla których technika druku była czymś tajemniczym, chyżość tej afiszowej dyskusji na murach była fantastyczna.

Były i inne sposoby, imponujące wówczas w Krakowie swoim amerykanizmem; nie tylko rozlepiano afisze, ale obnoszono je na kijach! Kiedy raz kandydował ośmieszony hr. Zyzio (Cieszkowski)<sup>230</sup>, paru pijanych drabów obnosiło plakat z napisem, który zapamiętałem, nie wiem czemu, do dziś: „Zostawmy hrabiów salonom, my ludzie pracy wybierajmy Tadeusza Romanowicza<sup>231</sup>”. Co na to odpowiedział hr. Zyzio, nie pamiętam. Pewnie coś o tradycji i o wierze ojców. Wkrótce potem musiał zmykać do Ameryki.

Były zebrania wyborcze, na których namiętności wrzały. Trząsł się Kraków po mowie Asnyka, w której „czerwonemu” poecie wymknął się zwrot o „zewwierżeniu arystokracji”. Ponieważ Asnyk był parę razy na herbacie u Tarnowskich na „Szlaku”<sup>232</sup>, uznano jego znalezienie się za czarną niewdzięczność. Inny kandydat, „dobrze myślący” Tomkowicz<sup>233</sup>, miał dość zabawną przygodę. Był to człowiek bywający w świecie, anegdociarz, dowcipny, ale dowcipem można powiedzieć „kameralnym”, jaki wówczas, w epoce Kazimierza Morawskiego<sup>234</sup>, księdza Pawlickiego<sup>235</sup>, stał w Krakowie bardzo wysoko. Otóż, Tomkowicz, kandydując na posła, przygotowywał sobie mowę wyborczą zaczynając się od słów: „jestem dobrze urodzony”; miał dodać po artystycznej pauzie: „bo jestem urodzony w Krakowie”. Nieborak spodziewał się burzy okłasków, tymczasem nie zdał sobie sprawy, że nie przemawia w salonie, ale w ujeżdżalni: jakoż po słowach; „jestem dobrze urodzony” rozległy się ryki, piski, gwizdania, nie pozwolono mu dojść do słowa. Stał z kwadrans, dając na próżno znaki na migi, że mu zepsuto pointę; nic nie pomogło: zlął w końcu i poszedł do domu; i to „jestem dobrze urodzony” było jedyną mową kandydacką, jaką wygłosił w życiu. To był przełom dawnego a nowego Krakowa.

Powoli nasze uświadomienie polityczne rosło. Dostaliśmy nowego nauczyciela języka polskiego; nazywał się Maślak. Zdziwiło nas, czemu nauczyciel, wykładając literaturę polską, mówi stale: „wasza literatura”. Z początku sądziliśmy, żeśmy się przesłyszeli, ale gdy się to powtarzało, zagadaliśmy gospodarza klasy<sup>236</sup>. Z pewnym zakłopotaniem przyjął nasze zwierzenie i objaśnił nas, że prof. Maślak jest — Rusin<sup>237</sup>. I tak dowiedzieliśmy się o kwestii ruskiej, o której się w Krakowie nam, dzieciakom, nie śniło. Bo nikt nie ma pojęcia o ciemnocie co do spraw życia bieżącego, w jakiej utrzymywała chłopców ówczesna galicyjska szkoła.

Wielkim wydarzeniem dziecięcego życia politycznego był wybór na posła do parlamentu nauczyciela historii, Augusta Sokołowskiego. Był to profesor surowy, wymagający; dobrze wykladał, mówiono o nim, że omal nie został profesorem uniwersytetu; imponował nam przy tym nienagannym strojem, zawsze czystym kołnierzykiem i niewzruszoną flegmą. W istocie miał się habilitować, ale „utrącono” go, zdaje się z przyczyn politycznych. Była to niezagojona rana; swoje nauczycielstwo gimnazjalne traktował zawsze z pobłażliwym lekceważeniem, a żądza odwetu trawiła mu serce. Parlament, Wiedeń — to dla ówczesnego bakalarza była kariera tak zawrotna, że dziś na próżno szukam dla niej porównania. Kandydował raz, przepadł; coś tam potem rozwiązano, czy też ktoś umarł, dość że były nowe wybory: przeszedł. Cóż za ewenement w szkole! Był właśnie naszym „gospodarzem klasy”; jak nie obejść podobnej okazji! Padło słowo: fakeducg<sup>238</sup>! Była to w owym czasie najwyższa skala owacji: orszak z pochodniami. Kupowało się smolne łuczywa, a wystarczyło oczywiście wyjść z nimi na ulicę, tłumy były pewne. Po drodze chciano zrobić „kocią muzykę” pod mieszkaniem kontrkandydata, ale nikt nie wiedział, gdzie mieszka; ja wiedziałem, bo to był przyjaciel mego ojca i często bywał u nas w do-

<sup>230</sup> Cieszkowski, Zyzio hr. — prawdopodobnie chodzi o hrabiego Zygmunta Cieszkowskiego, działacza kulturalnego, sekretarza Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie (w latach 1887–1894). [przypis edytorski]

<sup>231</sup> Romanowicz, Tadeusz (1843–1904) — działacz polityczny, związany z ruchem narodowym; uczestnik powstania styczniowego; poseł na Sejm Galicyjski. [przypis edytorski]

<sup>232</sup> u Tarnowskich na „Szlaku” — krakowski Pałac na Szlaku, mieszczący się przy ulicy Szlak. [przypis edytorski]

<sup>233</sup> Tomkowicz, Stanisław (1850–1933) — historyk sztuki i dziennikarz. [przypis edytorski]

<sup>234</sup> Morawski, Kazimierz (1852–1925) — filolog klasyczny, profesor, rektor UJ, prezes Polskiej Akademii Umiejętności, odznaczony Orderem Orła Białego. [przypis edytorski]

<sup>235</sup> Pawlicki, Stefan — filozof, profesor, rektor UJ, ksiądz katolicki. [przypis edytorski]

<sup>236</sup> gospodarz klasy — tu: wychowawca, nauczyciel opiekujący się klasą. [przypis edytorski]

<sup>237</sup> Rusin — tu: Ukraińiec. [przypis edytorski]

<sup>238</sup> fakeducg (niem. *fäckelzug*) — nocna parada z płonącymi pochodniami. [przypis edytorski]

mu. Poprowadziłem tłumy: cóż za rozkosz choć przez chwilę być tak ważną figurą! Potem znaleźliśmy się pod domem, gdzie mieszkał August Sokołowski. Słyszac okrzyki, wiwaty, ukazał się w oknie, w otoczeniu politycznych przyjaciół oświecających go lampami. Podziękował nam gestem i wygłosił mowę polityczną, w której przyrzekł nam, że wstąpi do Koła Polskiego, ale że obierze — to były jego słowa — „wdzięczną drogę opozycji”. Przy moim niewyrobieniu politycznym, nie mogłem zrozumieć, skąd on wie, że będzie oponował, kiedy nie wie jeszcze, co tamci będą gadali? Ale fakelcug udał się świetnie, z nieodzownym zakończeniem: jedni poszli na Kazimierz „bić Żydów”, nie wiadomo za co, bo Żydzi „jak jeden mąż” oddali głosy za „szczelym demokłatą” (nie wymawiał *r*) Augustem Sokołowskim; a inni poszli do domu publicznego. Byłem zbyt młody i zbyt nieśmiały, aby im towarzyszyć.

To były sielankowe czasy parlamentaryzmu w Krakowie. Potem nagle przyszedł socjalizm, płomienny Daszyński<sup>239</sup>, i owa osławiona „piąta kuria”<sup>240</sup> mająca oszukać gniew ludu; jeszcze potem powszechne głosowanie. Technika wyborów się zmieniła. Może to i szkoda. Za mało robi się dla dzieci.

## TYGRYSY CZY MATOŁKI?

Może nie wszyscy wiedzą o tym, że nasza Komisja Kodyfikacyjna w swoim projekcie prawa karnego usunęła karę śmierci. Przypuszczam, że nie wszyscy o tym wiedzą, ile że ogół odnosi się do prac Komisji nad nowym kodeksem z dziwną biernością. Zdawałoby się, że w tak wyjątkowych okolicznościach, gdy dojrzały naród z pełną świadomością tworzy sobie swoje prawa, każde posunięcie kodyfikatorów wywoła dyskusję, komentarze. Komisja pragnie nawet tego; chciałaby mieć w społeczeństwie współtwórcę, pomocnika; w tym celu ogłasza drukiem projekt kodeksu w każdorazowej jego fazie; ale na próżno, nikt się nim nie interesuje. Zarówno ulgi jak srogości pp. prawodawców spotykają się z jedną apatią. Tak jak obojętnie przyjęto zniesienie kar za sodomie, tak samo, gdyby pan Makowski z panem Rappaportem, zszedłszy się na ten upał przy mazagraniu<sup>241</sup>, uchwalili np. sto bambusów w pięty za pomaganie kuzynki w trzecim stopniu pokrewieństwa, wszyscy przyjęliby to z równą flegmą.

Toż samo w stosunku do kary śmierci. Jeden z najbardziej zasadniczych punktów nowoczesnego prawa, rzecz która od lat była w innych krajach przedmiotem tyłu walk i dyskusji! I oto teraz, gdy przysłała u nas okazja praktycznej w tej mierze decyzji, znów ta sama obojętność. Tak jeszcze nie przywykliśmy do decydowania o sobie!

Komisja Kodyfikacyjna nie lubi być z zasady liberalniejsza od społeczeństwa; czekała, aby ktoś żądał od niej usunięcia kary śmierci, aby ją ktoś zgwałcił, zmusił; — czekała na próżno, i — ostatecznie usunęła karę śmierci sama.

Faktycznie, rzecz prosta, nowy kodeks nie obowiązuje jeszcze, brak po temu formalności, ostatecznych sankcji. Niemniej faktem jest, że prawodawstwo nasze już się wypowiedziało, że *moralnie w prawie polskim kara śmierci nie istnieje*, że nie ma na nią miejsca. Zdawałoby się, że fakt ten powinien stanowić poważną dyrektywę dla naszych sądów; że sprawą dobrych obyczajów sądownictwa będzie od tej chwili kary tej nie wymierzać, a przynajmniej o ile można jej unikać. Wprawdzie poszczególne dzielnice rządzą się prowizorycznie ustawami odziedziczonymi po zaborcach, ale to prowizorium, które może być konieczne dla ogólnego porządku, nie może chyba odnosić się do rzeczy tak zasadniczej, jak życie ludzkie. Niedopuszczalne jest, aby to życie było inaczej warte w jednej dzielnicy, a inaczej w drugiej, aby było wystawione na loterię przypadku. Należałoby tedy milczącą zgodą przyjąć, że już dzisiaj prawo w Polsce kary śmierci nie zna.

Tymczasem co się dzieje? W dzielnicach, w których istnieje jeszcze — aż do unifikacji kodeksu — kara śmierci, nigdy sądy tak lekkomyślnie się z nią nie obchodziły jak właśnie teraz, nigdy wyroki śmierci nie szalały tak jak w tej chwili. Oto w Małopolsce, w ciągu miesiąca, wydano *pięć wyroków śmierci*, jeden głupszy i dzikszy od drugiego. Zaczęło się we Lwowie wyrokiem śmierci przez powieszenie („zostaniesz powieszony za szyję i będziesz wisiał tak długo, aż nastąpi śmierć”, tak brzmi piękna starodawna formuła

<sup>239</sup> Daszyński, Ignacy (1866–1936) — współzałożyciel Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej, marszałek sejmowy w latach 1928–1930. [przypis edytorski]

<sup>240</sup> „piąta kuria” — nowa ordynacja wyborcza. [przypis edytorski]

<sup>241</sup> *mazagran* — napój kawowy z dodatkiem alkoholu. [przypis edytorski]

wyroków śmierci w Anglii) na trzech młodych ludzi za przechowywanie czy też powielanie druków komunistycznych. Trudno orzec, czy wyrok bardziej okrutny, czy bardziej bezmyślny, ale szkodliwy i *antypaństwowy* na pewno. Wykonany nie będzie — do tegośmy jeszcze nie doszli — a co nam zaszkodzi, to zaszkodzi. W czasie świeżego zjazdu Pen Clubu<sup>242</sup> i wizyty wielu cudzoziemców, dużo było o tym wyroku mowy; okazało się, że obiega on całą prasę europejską, że prasa niemiecka zwłaszcza rozpisuje się na ten temat przeciw „polskiej reakcji”. Pisz się o krwiożerczych faszystowskich sędziach, o sługach tyranii, ale ani jedno z pism nie wspomni, że chodzi tu o *sąd przysięgłych*, że ci rzekomi „słudzy tyranii” to są w istocie wolni „przedstawiciele ludu”, czyli po prostu dwunastu tępych ćwoków, którzy nie rozumieją nic, nie orientują się w niczym, nie umieją obchodzić się z delikatnym narzędziem prawa. Podobno byli wręcz skonsternowani, kiedy usłyszeli ostateczny rezultat własnego wyroku i kiedy się spostrzegli, co za następstwa pociągnęła ich odpowiedź na misterne pytania sądu! Na gwałt zaczęto... czynić przygotowania do kasacji!

Sąd

Jeszcze nie minęło fatalne wrażenie, wywołane tym wyrokiem, nowa sensacja: przysięgli w Tarnowie skazali *na powieszenie* matkę za zabicie nieślubnego niemowlęcia. Gdzie ci ludzie żyją, chyba na księżycu! Toć od roku blisko toczy się w Polsce wielka dyskusja na temat „piekła kobiet” i tragedii nieślubnego macierzyństwa. Wypowiadali się na ten temat prawodawcy, prokuratorzy, lekarze, działacze społeczni, korporacje; wszyscy wołali głośno, że nieludzkim i głupim jest zrzucić całe brzemie odpowiedzialności na kobietę tam, gdzie sprawców złego jest dwoje (przy czym ten drugi może łatwo zasiadać jako sędzia na ławie przysięgłych); że barbarzyństwem jest karać ją z całą bezwzględnością, gdy się nie czyni nic dla ulżenia jej doli; że zbrodniczą obłudą jest ujmować się krwawo za dzieckiem, gdy się nic nie czyni dla jego ochrony. Duch humanitaryzmu powiał z całej tej dyskusji. I znów te ćwoki — tym razem tarnowskie — wyciągnęły z tego jeden wniosek: powiesić!

Też wyrok, który nigdy nie będzie wykonany. Posypały się z jego powodu protesty stowarzyszeń kobiecych; przypomniano zarazem, że instytucja przysięgłych nie może reprezentować całego społeczeństwa i sądzić tragedii specyficznie kobiecych, skoro ze składu tych sądów wyłączono kobiety, rzekomo zrównane w pełni praw obywatelskich z mężczyznami. Słowem, wyrok ten, mimo iż równie bezmyślny, oddał może pewne usługi przez to, że zelektryzował leniwą opinię.

Przemawiając z mojej strony przeciw temu wyrokowi, wyraziłem przypuszczenie, że pp. przysięgli nie wydaliby tak srogiego werdyktu, gdyby chodziło o mężczyznę, który np. zabił w „afekcie” kobietę. (Wymiar sprawiedliwości łatwo podlega zabarwieniu uczuciowemu: swojego czasu, znany był wyrok sędziów w Monachium, skazujący na pół roku ciężkiego więzienia kelnera za to, że lał za dużo piany do piwa).

Otóż stwierdzam, że pomyliłem się gruntownie, przypisując pp. przysięgłym chociażby te specyficznie męskie uczucia ludzkości.

Jakby w odpowiedzi na moje uwagi, zapadł tuż potem, w ostatnich dniach, nowy wyrok — znowuż sąd przysięgłych w Małopolsce, w Krakowie — tym razem na mężczyznę, na jakiegoś chłopka, który zastrzelił dziewczynę, bo nie chciała wyjść za niego. Skazano go na powieszenie. Nowy idiotyzm. Zapewne, zabijać dziewczynę, to nie jest sposób regulowania pretensji miłosnych, ale z drugiej strony zbrodnia ta w niczym nie usprawiedliwia takiego wyroku. Nawet stanąwszy na gruncie kary śmierci, której — powtarzam — prawo polskie nie uznaje, nie można tak niwelować, nie można traktować na równi z bandytą, z mordercą-recydywistą, człowieka działającego pod wpływem chwilowego szału, człowieka, który po ekspiacji mógłby spokojnie wrócić na łono społeczeństwa. Cóż w takim razie, aby zaspokoić poczucie sprawiedliwości i stopniowania kary, będą czynić sądy z najgorszymi zbrodniami? Chyba wrócimy do rozrywania ich końmi, lub, aby iść z duchem nowoczesnej techniki, rozrywania motocyklami?

Sprawiedliwość, Kara

Można żartować na ten temat, bo, powtarzam, do wykonania ani jednego z tych idiotycznych wyroków nie przyjdzie; bądź co bądź dowodzą one, że coś się psuje w tej dziedzinie, że instytucja przysięgłych, których pierwszym zadaniem jest sądzić po ludzku,

<sup>242</sup>*Pen Club* — międzynarodowe zrzeszenie pisarzy stworzone w 1922 r. w Londynie przez Catherine Amy Dawson Scott. Polska filia została założona przez Stefana Żeromskiego. [przypis edytorski]



mija się zbyt często ze swoim celem. W ogóle dość dalecy dziś jesteśmy od zabobonów „ludowładczych”, które niegdyś kazały widzieć w sądach przysięgłych idealne narzędzie sprawiedliwości. Przeciwnie, do instytucji tej odnoszą się w ostatnim czasie doświadczeni i humanitarni prawnicy nader krytycznie, widzą w niej bardzo poważne wady. Gdy inne kraje, reformując swoje sądownictwo, kasują sądy przysięgłych, myśmy przyjęli je bezkrytycznie. Warto byłoby jeszcze przedyskutować tę rzecz na nowo. Te trzy wyroki najzupełniej uprawniają do rewizji.

Bo to już zaczyna być masowe zjawisko, to wywijanie pp. przysięgłych pętlą stryczka, tam gdzie zwykły sąd poprzestałby na paru latach więzienia. Niechże jakaś specjalna komisja ekspertów uda się do Małopolski celem zbadania stanu psychicznego pp. przysięgłych; niech się wyjaśni, skąd się bierze ta psychoza krwiożerczości; niech się dowiemy, czy to są tygrysy, czy tylko matolki, które, uzbrojone w przeżytki austriackiego kodeksu, urągają bezmyślnie ludzkim zasadom naszych prawodawców.

Co do mnie, nie chcę czynić pp. przysięgłym tej krzywdy, aby wierzyć w ich szczególną krwiożerczość; wolę raczej przyjąć ową drugą ewentualność, choćby nawet ona miała być któremu z panów sędziów osobiście przykrzejsza. Raczej skłonny jestem widzieć tu jakąś ciuciubabkę biurokratyczną, wynikłą z niedostatecznego orientowania się panów przysięgłych w technice sądowej, z tego, że kto inny pytania stawia, kto inny na nie odpowiada, a kto inny wydaje werdykt, przy czym odpowiedzialność rozkłada się tak misternie, że nie wiadomo w końcu, kto ją ponosi. Trzeba by to jakoś zunifikować, bodaj w ten sposób, aby ten, kto skazuje, wykonywał wyrok. Prawo żąda, aby prokurator był obecny przy egzekucji; posuńmy się jeszcze o krok: może by panowie przysięgli sami wieszali? Hulać, to hulać!

Prawo

## MÓJ WRÓG Z ALGIERU

Każdy ma swoich wrogów, ale zwykle o miedzę. Ja szczyć się tym, że mam wroga w Algierze. Nie wiem, kto on zacz, ani jak się nazywa; poznaję go tylko po znaczku pocztowym. Co jakiś czas otrzymuję z Algieru swój własny artykuł, pozakreślany czerwonym ołówkiem, opatrzonej mniej lub więcej grubiańskimi uwagami. Tym razem przesłał mi, ów nieznajomy cenzor, niedawny mój felieton pt. „Znasz-li ten kraj” z następującym dopiskiem:

Chociaż dla galileuszy rozum nie jest obowiązkowy, jednak coś niecoś wiadomości o tym, co piszą, ich również obowiązuje. *Connais tu le pays, où fleurit l'oranger* nie jest Moniuszki (!!!) lecz Gounoda.

Szanowny czytelniku z Algieru! Nie znając pańskiego nazwiska ani adresu, odpowiadam panu uprzejmie na tej drodze, iż

- 1) wyzwiska dzielnicowe są u nas dawno niemodne;
- 2) Moniuszko napisał pieśń do słów Adama Mickiewicza *Znasz-li ten kraj* (podług Goethego);
- 3) aria *Connais-tu le pays* jest z opery *Mignon*, a tym samym (co zresztą obojętne) jest nie Gounoda, ale Thomasa<sup>243</sup>. Czyli, co słowo, to bąk.

A teraz, kochany panie z Algieru, ciekaw jestem bardzo, jak się pan zachowa. Czy też będzie się pan poczuwał do tego, aby przeprosić niesłusznie napastowanego spokojnego pisarza? Niech się pan dobrze zastanowi, co pan uczyni. Czterdzieści wieków ludzkiego głupstwa patrzy na pana z pobliskich<sup>244</sup> piramid.

Swoją drogą, zadumałem się nad tym, kto to być może ten czytelnik z Algieru. Co za losy go tam zagnały? Czemu się tam marnuje? Sądząc z tej próbki, mógłby zająć w kraju poczesne stanowisko; pomnożyłby zwartą falangę pogromców Boya, byłby im walną odświeżką w dyskusjach, wspierałby ich rzeczowymi argumentami, karierę by chłop zrobił. Kto wie, może z czasem wyszedłby na czołowego publicystę...

<sup>243</sup> Thomas, Ambroise (1811–1896) — fr. kompozytor. [przypis edytorski]

<sup>244</sup> Niech się pan dobrze zastanowi, co pan uczyni. Czterdzieści wieków ludzkiego głupstwa patrzy na pana z pobliskich piramid. — Otrzymałem na to nowy list, podpisany „Wróg z Warszawy”, bardzo obelżywy i pouczający mnie, że piramidy egipskie nie są w Algierze. [przypis autorski]

Kto by wątpił o tym, ten niech sobie przejrzy głosy, jakie się rozlegały w pewnym odłamie prasy z powodu sztuki *Cyjankali*<sup>245</sup>. Ach, i na ten rozgardiasz patrzy z piramid czterdzieści wieków głupstwa!

Te demonstracje! Grają w Warszawie sztukę pierwszy raz, jeszcze nieznaną. Pierwszego wieczora przychodzi do teatru tłum młodzieży, uzbrojonej z góry w bomby cuchnące, z mocnym postanowieniem przerwania widowiska. Powtarza się to samo na premierze prasowej, z tą różnicą, że przynoszą w kieszeniach kamienie i że bomby cuchnące padają w stronę recenzentów, którzy tam przyszedli pełnić swój obowiązek! Zdawałoby się, że głos krytyków teatralnych, bez względu na barwę pisma, w jakim piszą, może być tylko jeden: głos najżywszego potępienia. Przeciwnie: tu i ówdzie obłudne restrykcje przeciw „metodom”, ale równocześnie powoływanie się na „żywiolowy odruch” publiczności, i — w rezultacie — aprobata!

Żywiolowy odruch! Może i mógłby być jaki. Są w *Cyjankali* pewne sceny, na które wyobrażam sobie, iż mógłby ktoś z publiczności zareagować protestem. Ale niechże to będzie w istocie odruch i niech to będzie publiczność, a nie garść chłopaków wysyłanych systematycznie na każdy posterunek ciemnoty. W Poznaniu na zeszłorocznym odczycie Kadena-Bandrowskiego<sup>246</sup> byli tacy, którzy nawet nie wiedzieli, na czyj odczyt ich posłano; skoro się pokazał Kaden, ryczeli jak opętani: „Precz z Boyem-Żeleńskim”, a niektórzy, gorliwsi: „Precz z Francją” (!). Tyleż uświadomienia wykazali manifestanci i tutaj. Nie doczekali nawet dla przyzwoitości punktu, gdzie można było demonstrować; cisnęli swoje bomby cuchnące zaraz z początku, w chwili, gdy biedna matka czworga dzieci pyta, skąd wziąć dla nich mleka i chleba. Nic dziwnego, że potem, kiedy przyszły istotnie drażliwe sceny, nie mogło być mowy o żadnym odruchu ani proteście. Nawet dla zorganizowania głupstwa trzeba pewnej inteligencji.

Dostałem list od świadka tych wydarzeń. Píše, że zgroza go brała, gdy patrzył, do jakiej roli daje się użyć nasza młodzież. „Co za lekarze (pyta) wyrosną z tych młodych medyków, którzy zgniłymi jajami walczą o monopol dla akuszerki i bronią zakażenia krwi jako jedyne rozwiązanie trudnej kwestii społecznej?”. W istocie cóż za paradoksy w naszym życiu! Więc burzycielami, którzy szturmują do zmurszałej i morderczej ustawy, są tacy „komuniści”, jak siedemdziesięcioletni prezydent Sądu Apelacyjnego Czerwiński, jak nie mniej poważny prezes Sądu Najwyższego Mogilnicki, a broni świętych okopów cuchnącymi gazami przeciw tym „komunistom” młodzież! Trudno o komiczniejszą zamianę ról; ale to jest cechą świętoszków, organizatorów tej całej hecy, że nie mają za grosz poczucia humoru.

Mimo woli uśmiechnąłem się do siebie. Przypomniała mi się jedna wizyta. Swojego czasu, recenzent pewnego pisma zagrzewał młodzież (tę samą), aby „żywiolowo” (tak samo) protestowała przeciw *Dziejom Grzechu* w Teatrze Polskim. W jakiś czas potem, krytyk ów napisał dość w istocie plugawą farsę. Widocznie powstała idea odwetu, bo w kilka dni po premierze przyszło do mnie dwóch studentów. Zwierzyli mi się, że młodzież chce demonstrować przeciw sztuce i że przyszedli poradzić się mnie jako krytyka, który akt i która scena byłyby do tego celu najwłaściwsze. Ci przynajmniej traktowali rzecz sumiennie! Wyśmiałem chłopców i odesłałem ich do domu; ale daję słowo, że przy odrobinie zachęty z mojej strony, najzupełniej było w mojej mocy inspirować „żywiolowy gniew ludu”.

Ale czegoż dziwić się młodzieży. Czytajcie niektórych dorosłych, co wypisują dzisiaj. W stosunku do samego zagadnienia, cóż za poziom, co za ciemnota! Można się na nie patrzeć tak czy inaczej; ale nie wolno nie wiedzieć, że regulacja urodzeń i wszystko, co się z nią wiąże, to jeden z najistotniejszych problemów dzisiejszej doby, rzecz, nad którą głowią się prawodawcy, o którą toczą się zacięte walki w społeczeństwach, która w każdym kraju przedstawia się z gruntu inaczej, że to jest wielki ruch, który może zmienić postać świata. Krytyk teatralny, wciąż z zawodu swego zmuszony ocierać się o wszelkie zagadnienia, nie może mieć horyzontów Pipidówki. Cóż więc pomyśleć, kiedy w jednej z recenzji czyta się takie np. figlarne ironizowanie:

<sup>245</sup> *Cyjankali* — sztuka Wolfa Friedricha (1888–1953), wystawiona przez Leona Schillera. *cyjankali*, przest. *cyjankali* a. *cyjankali* — daw. nazwa cyjanku potasu, silnej trucizny. [przypis edytorski]

<sup>246</sup> *Kaden-Bandrowski, Juliusz* (1885–1944) — pisarz, publicysta, oficer Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego. [przypis edytorski]

Rozwiązanie zagadnienia? Nic prostszego... Skoro 800.000 kobiet i tak się operacjom poddaje — należy te niedozwolone zabiegi ulegalizować. Wychoząc z założeń tego rozumowania, można by ułożyć inny jeszcze prostszy sylogizm: skoro rocznie dokonywanych jest pięć milionów kradzieży, należy kradzież ulegalizować...

O, piramidy, zasłońcie twarze! Czy ten dziennikarz nic nie słyszał o pracach naszych kodyfikatorów, którzy właśnie idą *po linii legalizacji poronień*, w wypadkach poważnej konieczności i że rozszerzają tę konieczność na tzw. „wskazania społeczne”? Czy nic nie słyszał o opiniach zjazdu prawników, o rezolucjach towarzystwa kryminologicznego, o głosach tuzów naszego sądownictwa, że tak sobie rozkosznie szczebiocze na ten krwawy i tragiczny temat? Zamiast wdawać się w dyskusję, odpowiem jedną historyjką, ściśle autentyczną.

Jeden z naszych sędziów wszczął rozmowę z młodym i ruchliwym adwokatem na temat poronień. W pewnym momencie sędzia zniża głos i mówi: „Panie, pan jest kawaler, zna pan tylu ludzi, tylu lekarzy, niech mnie pan ratuje. Żona moja zaszła w ciążę, a my absolutnie nie możemy sobie pozwolić na jeszcze jedno dziecko. Jestem w rozpacz, nie mam pojęcia, gdzie by się obrócić i żeby to nie za wiele kosztowało. Niech mi pan powie”... Tamten odpowiedział: „Dobrze, panie sędzio, ale pod jednym warunkiem. Da mi pan słowo honoru, że pan nigdy nie wyda wyroku przeciw kobiecie w tym położeniu”. I sędzia to słowo honoru dał... Otóż, nie mogę sobie wyobrazić sytuacji, w której sędzia zagadnąłby młodego prawnika tak: „Drogi panie, pan jest młody, ruchliwy, niech mi pan powie, gdzie by można było coś bezpiecznie zwędzić”. A tamten żeby odpowiedział: „Dobrze, panie sędzio, powiem panu, ale pod warunkiem, że pan nigdy nie skaże żadnego złodzieja”.

Tak więc porównanie z kradzieżą nie tylko kuleje, ale leży, leży na pysk. Częsty los porównań... Ale jak nazwać, czy tylko ignorancją, wystąpienie innej znów gazetki, która, aprobując oczywiście bombardowanie cuchnącymi bombami recenzentów i zaproszonych do teatru gości, pisze, między innymi: „*Cyjankali* usprawiedliwia zbrodnię karana przez nasz kodeks karny...”

Jaki nasz? Czyj nasz? Czy ten publicysta, który przecież nie jest z Algieru — nie wie, że *naszego* kodeksu karnego jeszcze nie ma, a działają na naszych ziemiach zastarzałe kodeksy państw zaborczych, rosyjski, austriacki i pruski? *Nasz* kodeks istnieje dopiero jako projekt kodeksu, już ogłoszony drukiem, ale jeszcze nie prawomocny. Czy ten mądrała nie wie, że *nasz* kodeks — w drugim czytaniu — właśnie rozwiązuje kwestię w duchu sztuki Wolffa; że, wedle jego brzmienia, dziewczyna w położeniu Hety nie tułałaby się w rozpacz, ani nie szła w mordercze ręce akuszerki, ani nie ginęłaby na zakażenie krwi, bo *każdy* lekarz będzie mógł z czystym sumieniem udzielić jej pomocy? A jeżeli wie, to czy nie jest co najmniej dziwne ze strony polskiego dziennikarza zatajać humanitarne ustawy przyszłego polskiego kodeksu, a wygrywać przeciw niemu stary kodeks carski jako nasz? O, jakże głęboko wycisnęło się w niektórych mózgach piętno niewoli!

Widzę, że daleko odbiegłem od mojego wroga z Algieru. Jakby tu do niego wrócić, aby skończyć tę gawędę? Chyba zaproszeniem, serdecznym zaproszeniem. Wracaj do kraju, kochany rodaku. Wracaj, póki jeszcze grają sztukę *Cyjankali*. Wmieszasz się do dyskusji, znam cię, czym prędzej się wmieszasz; i, choć z wykształcenia jesteś — jak widzę — raczej muzykologiem, jestem przekonany, że powiesz nam ważkie i interesujące słowo także i w tej kwestii. A piramidy będą słuchać i kiwać głowami...

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/slowa-cienkie-i-grube>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Boy-Żeleński, Nasi okupanci, Biblioteka Boya, Warszawa [1932]

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Justyna Lech, Marta Niedziałkowska, Paulina Chormańska.

Okładka na podstawie: [außerirdische sind gesund@Flickr](mailto:außerirdische.sind.gesund@Flickr), CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-5169-6

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły](#) na stronie Fundacji.